

Wydawnictwo
ab

Alicja
Gęścińska

PEWNEGO RODZAJU
MIŁOŚĆ





Alicja Gęścińska

PEWNEGO RODZAJU MIŁOŚĆ

przełożyła Małgorzata Diederer-Woźniak



Bo miłość to życie, a życie to wieczność.
Emily Dickinson, *Że zawsze kochałam* [w:] *Poezje*, tłum. Kazimiera
Iłakowiczówna

1

Walka pamięci

Pokoje pachną stęchlizną jak wszystkie pomieszczenia, w których mieszka się za długo, choć zbyt mało. Pachną przeżyтым tam życiem, kurzem zbierającym się powoli w szczelinach i szparach nic nieznaczącego istnienia. Zapach, po którym, oprócz nicości, niczego nie można się już spodziewać. Zabija w zarodku wszystkie inne zapachy i bez zapowiedzi z dnia na dzień zajmuje wszystkie pomieszczenia. Pięć lat temu. Może dziesięć. Ten zapach wdarł się nawet do dziecięcych pokoi we wspomnieniach Elżbiety, bo mimo wysiłku nie zdołała sobie przypomnieć żadnego innego zapachu tego miejsca.

Nie chce siadać. Nikt nie zaproponuje jej filiżanki herbaty, nie wyciągnie pudełka z ciasteczkami i nie zapyta, co u niej słychać. Już nie. Postanawia nie zdejmować beżowego płaszczka sięgającego kolan i kręci przecząco głową w stronę stojącego wieszaka, jak gdyby to on prosił, by zdjęła okrycie i usiadła.

Po raz pierwszy jest sama w tym domu. Nie odwiedzała go często. Ostatni raz chyba dziewięć miesięcy temu. To musiało być kilka dni po Bożym Narodzeniu, ale jeszcze przed Nowym Rokiem. Nie potrafiła powiedzieć dokładnie kiedy. W mrocznej porze dwóch zbyt szybko następujących po sobie świąt, pierwszego, które zamyka kolejny rok, i drugiego, kiedy fetuje się iluzję nowego początku, próbowała znaleźć czas dla niego. Wtedy również nie zdjęła płaszcza.

Odwraca się od wieszaka i wiszącego obok obrazu. Wiejska scenka z psem myśliwskim, pamiątka rodzinna dziedziczona od trzech pokoleń. Zajmował dawniej poczesne miejsce w domu, gdzie jej ojciec się urodził i wychował. Elżbieta nie lubi ani polowań, ani psów. Kiedy się teraz zastanawia, uświadamia sobie, że nie lubi też obrazów. Ściany w jej mieszkaniu są puste i prawie klinicznie białe.

Ojciec kochał ten obraz. Wystarczyło, że patrzył nań przez chwilę, a ogarniał go spokój i znów czuł się w tym świecie jak u siebie. Nigdy nie widziała w jego oczach tyle spokoju i poczucia bezpieczeństwa, kiedy patrzył na nią. Może dlatego nie cierpiała tego psa.

Wychodzi z holu, żeby oderwać się od przykrego uczucia, jakiego doznała za sprawą namalowanego psa. Przechodzi powoli i bezszelestnie z jednego pokoju do drugiego. Z salonu do kuchni, z kuchni do pracowni. Czasami dotyka jakiegoś mebla, bębni delikatnie opuszkami palców, sama nie wie dlaczego. Unika własnych myśli. Przynajmniej próbuje. Myśli mogą ją zawieźć tylko do krainy dzieciństwa. Nie chce niczego rozpamiętywać w tym domu, gdzie nie pozostało nic prócz wspomnień i resztek po życiu, które je kiedyś tworzyło.

Zdaje sobie sprawę, że stara się nie poświęcać zbyt wiele uwagi zarówno temu, co tutaj widzi i odczuwa, jak i wyczuwa. A że chce czuć jak najmniej, czuje jednak znacznie więcej. Rozgląda się dookoła pustym wzrokiem pasażera, który

patrzy na krajobraz przesuwany się za oknem pociągu i prawie nic nie widzi. Jedyne, co można wyczytać z oczu podróżnego, to pragnienie, żeby ta podróż skończyła się jak najprędzej. Jej zamglone spojrzenie nie zmienia się, kiedy wzrok zatrzymuje się dłużej na jakimś meblu. Walkę pamięci przegrywa cicho. Atak każdego wspomnienia powoduje, że serce Elżbiety zaczyna bić szybciej ze strachu, żeby nie pochłonęła jej przeszłość. Z doświadczenia wie, że niechciane wspomnienia są dla duszy niczym ruchome piaski. Rozpoznaje to u wszystkich swoich pacjentów, niezależnie od tego, z czym przychodzą. Im bardziej człowiek walczy ze wspomnieniami, tym bardziej się w nich pogrąża.

Czy nasze wspomnienia są naprawdę naszymi wspomnieniami, czy może to one nami władają? Często zastanawiała się nad tym w pracy. Wszyscy myślimy, że jesteśmy panami własnych myśli, ale w istocie to one panują nad nami, nie odwrotnie. Myśli pozwalają nam wierzyć, że sterujemy naszym życiem, a tymczasem to one wyznaczają kurs. Jeśli ktoś jest samotny i ma dużo czasu na rozmyślanie, w pewnym momencie wpadnie w pułapkę własnej wyobraźni i zapłacze się w jej wytwory. Każda terapia sprowadza się w znacznej mierze właśnie do uporządkowania rozbieganych myśli.

„Poczekaj i nie sprzedawaj wszystkiego od razu. Daj sobie czas na żałobę” – powtarzała przez ostatnich kilka dni Sara, z którą dzieliła gabinet. Elżbieta знаła wady i zalety teorii żałoby. Nawet najbardziej szczere słowa wypowiedziane w dobrej wierze mogą się okazać kiepską radą. Elżbiecie nie jest potrzebny czas i nie złości się na życie, które powoli opuściło jej ojca. Życie było dla niego łaskawe, za łaskawe. Nie może pozbyć się uczucia, że jego życie było zbyt długie. Czy trzeba go jeszcze żałować? Osiemdziesiąt sześć lat. To prawie nieprzyzwoicie długo, kiedy tylu ludzi, którzy mają mnóstwo marzeń i planów, musi zadowolić się krótszym życiem.

„Rodzice zawsze umierają za wcześnie, wiek nie ma znaczenia. Rozpacz jest jednakowo wielka” – to kolejna sentencja Sary. Elżbieta w niej także nie widziała zbyt wiele prawdy, która by mogła dodać jej otuchy, chociaż coś podobnego powiedziała przyjaciółce potrzebującej pocieszenia. Sama nigdy nie wierzyła w te słowa. Ani wtedy, kiedy je wypowiedziała, ani z pewnością teraz. Gdyby ludzie mówili tylko to, w co wierzą, to alboby mówiono bardzo niewiele, alboby bez przerwy wybuchały kłótnie.

Co za bzdura, myśli znowu Elżbieta. Czy nie lepiej odejść wcześniej? Odnosi wrażenie, że nie wolno tak myśleć, i czuje się winna, ale nic nie może na to poradzić. Może wtedy lepiej znosiłaby ostatnie lata? Bez ciągłego, uwierającego poczucia winy, że nie ma ochoty odwiedzać starzejącego się ojca. Ojca, który za nią tęskni, ale niczego od niej nie wymaga poza odwiedzinami od czasu do czasu, jeśli wizyta pasuje do jej rozkładu zajęć. Może te lata byłyby i dla niego bardziej znośne, gdyby nie miał poczucia, że dorosła córka go nie odwiedza, jeśli to nie jest

konieczne.

Meandrujące myśli Elżbiety przerywa niespokojne szczekanie. Wygląda przez okno i widzi dwa psy biegające po ogrodzie sąsiadek z naprzeciwka. Jeden z nich to doberman z białym bandażem na spiczastych uszach. Psy skaczą, krążą wokół swoich pań i ogromnej flagi z tęczą wetkniętej w trawnik. Już od trzech lat stoi obok niej mniejszy plakat z napisem: „LGBT for Obama, 2012”. Zdaje się, że kobiety niezupełnie panują nad psami, bo kiedy je wołają, psy wcale nie reagują.

*

Elżbieta chce usiąść przy pianinie, ale się waha. Podnosi niepewnie wieko klawiatury. Klawisze są mniej pożółkłe, niż pamiętała; mają raczej kolor miękkiej, złamanej bieli niż zestarzałej żółci, kojarzącej się z odcieniem zębów palacza. Zastanawia się, czy ojciec kazał odnowić i wybielić klawiaturę, lecz ta myśl pierzcha, kiedy jej uwagę przyciągają oderwane końcówki kilku klawiszy. Obłamania kolejnych białych klawiszy: c, d, e, f oraz g wyglądają jak połamane paznokcie. I to w środkowej części klawiatury, której używa się najczęściej. Kiedy ojciec grał *Preludium e-moll* Chopina, dolegał mu trochę mały palec lewej ręki, szczególnie w trakcie ostatnich akordów. Kciuk i mały palec muszą spoczywać na końcówkach klawiszy, żeby objąć oktawę, ale jego małe dłonie z trudem pozwalały na takie rozpostarcie ręki, palce łatwo ześlizgiwały się z klawiszy.

Zapomniała o tym, chociaż za karę musiała stać w kącie. To był przełom w jej młodym życiu, była zmuszona pomyśleć, jak należy się obchodzić z cudzymi rzeczami. Ojciec nigdy nie posyłał jej do kąta. Uderzała głową drewnianej lalki w klawisze, aż ich odłamki rozpryskiwały się po podłodze. Nie pamiętała, dlaczego to zrobiła. Niewiele osób potrafi sobie przypomnieć wydarzenia z wieku trzech lat, a ci, którzy uważają, że pamiętają, tylko je rekonstruują na podstawie zdjęć i opowieści z drugiej ręki, aż stają się prawdziwym, żywym wspomnieniem. Prawdziwe i fałszywe wspomnienia. W myślach widziała siebie, jak stoi w kącie, chociaż nigdy przecież nie mogła widzieć stojącej tam dziewczynki. To ona jest tą dziewczynką z dwoma warkoczykami, głośno szlochającą: „Pianino boli, przepraszam pianino”. Ta historia była często powtarzana, kiedy tylko ktoś zapytał, dlaczego klawisze z kości słoniowej kosztownego bechsteina są obłamane.

Początkowo ojciec opowiadał tę historię z tłumioną irytacją, która z czasem zniknęła, a w jej miejsce pojawiła się w jego opowieści czułość. Układał słowa tak, jakby obejmował Elżbietę. „Chciała zobaczyć, jak lalka zagra na pianinie, wskutek czego klawisze się połamały. Bardzo twórczy pomysł, muszę powiedzieć, a pianino wygląda teraz znacznie lepiej. Nabrało charakteru”. Tak uważał. Traktował klawisze obłamane przez Elżbietę podobnie, jak niektórzy ludzie traktują blizny, uważając je za powód do dumy. Stały się symbolem, wspomnieniem czasów, kiedy miał córkę blisko siebie.

Elżbieta nie ma ochoty liczyć, ile lat temu to było. Siada do pianina. Na niewygodnym, chwiejnym stołku, który przy regulowaniu wysokości wydaje przenikliwy pisk, a siedzenie opada lekko z lewa na prawo. Siedzi się bardzo niewygodnie. Pozostaje zagadką, dlaczego ojciec nigdy nie wymienił tego stołka na porządny taboret.

Dolna część jej płaszczka tkwi między pośladkami a siedzeniem stołka. Dlatego rękawy naciągają się pod pachami, co przeszkadza, kiedy kładzie dłonie na klawiaturze. Grać już chyba nie potrafi, nie z powodu rękawów, które przeszkadzają, ale dlatego że już od dawna nie grała. Na pierwszy rzut oka partytury leżące przed nią wydają się zbyt trudne. Patrzy więc tylko na swoje ręce, aż powoli dociera do niej, że palce przyjęły określoną pozycję.

Ogarnia ją dziwne uczucie, kiedy zdaje sobie sprawę, że ręce zapamiętały coś, co głowa widocznie zapomniała. Na twarzy Elżbiety pojawia się stłumiony uśmiech, prawy kącik ust unosi się lekko do góry. Ostatnio zawsze tłumi uśmiech.

Który utwór tak się zaczynał? Waha się, czy uderzyć w klawisze. Czy ręce same zaczną grać, kiedy usłyszą dźwięki? Nie ma odwagi spróbować. Z jakiegoś powodu wydaje jej się to niestosowne. To pewnie jakieś preludium Bacha. Ojciec uczył ją gry na pianinie przeważnie na utworach Bacha. Ciągle ten Bach.

Unosi pośladki, żeby poluzować płaszcz, i siada. Przykre uczucie nie ustępuje do końca. Przeszłość nadal ją dławi w piersiach. Nadchodzi moment, kiedy musi sprzedać rzecz tak cenną dla ojca. Dlaczego odszedł? Dlaczego opuścił matkę? Dla kogo? Dla nikogo? Dlaczego wolał być sam? Zabroniła sobie stawiać te pytania ponad piętnaście lat temu, teraz cisną się jej do głowy wszystkie naraz. Oddycha głęboko, żeby burza minęła. Tego prostego zabiegu uczy swoich pacjentów. Trzeba zrobić po prostu kilka głębokich wdechów i wydechów, skoncentrować się na oddychaniu. Czasami to wystarczy, żeby poczuć się lepiej.

Nie istnieje nic oprócz oddychania. Te słowa rozbrzmiewają jej w głowie jak zacinająca się płyta. Nic oprócz oddychania – trzeszczy igła świadomości w rowkach myśli. Palcami wyciera kurz spomiędzy czarnych klawiszy. To zajęcie, połączone z oddychaniem, uspokaja ją. Po odkurzeniu klawiatury przychodzi kolej na świeczniki umieszczone z prawej i lewej strony pianina. Czubki palców zbierają szary osad czasu z ich licznych wygięć. Tkwia w nich nowe świece, paliły się najwyżej jakieś dwie godziny. Na świecie dużo się zmieniło, odkąd ojciec przeprowadził się tutaj, do tego domu na Farview Way, ale to osobliwe, że wszystko w tym miejscu zatrzymało się w czasie. Ojciec przez ponad dwadzieścia lat praktykował te same rytuały, a podczas godzinki gry na pianinie zawsze zapalał świece. Grał codziennie, aż do dnia, kiedy został zabrany do szpitala. Dowiedziała się o tym od sąsiadki, emerytowanej nauczycielki, której rytm dnia wyznaczał krokomierz. Lekarz poradził jej przechodzić codziennie pięć tysięcy kroków – miała chore kolana, ale siedzenie w bezruchu mogło pogorszyć sytuację. Bez

względu na pogodę spacerowała codziennie cztery razy po swojej ulicy, a wszystkie pozostałe zajęcia musiały się dopasować do tego harmonogramu.

– Moje letnie wieczory nigdy już nie będą takie same – powiedziała Elżbiecie dzień przed śmiercią ojca. – O ósmej zawsze zaczynał grać. Nie miał klimatyzacji, więc otwierał wszystkie okna i muzykę dobrze było słyhać. Siadałam, kiedy zaczynał, i siedziałam, dopóki nie skończył. Nigdy mu tego nie powiedziałam, ale spędziliśmy razem wiele godzin. On przy pianinie, ja na fotelu. Oddzielała nas tylko trawa i drzewa stojące między naszymi domami.

To była ta sama sąsiadka, która umieściła nekrolog w gazecie, co Elżbieta świadomie usiłowała wyrzucić z pamięci.

– Masz tyle spraw na głowie. A na pewno są jacyś ludzie, koledzy i studenci, którzy będą chcieli go pożegnać – oświadczyła Elżbiecie.

Sąsiadka zadzwoniła z tą wiadomością na dzień przed ukazaniem się nekrologu. Co miała zrobić? Mogła tylko podziękować za troskę. Nigdy by nie zdołała wytłumaczyć, że właśnie tych żegnających ojca ludzi nie chciała widzieć.

Dzień przed pogrzebem nie mogła usnąć z powodu gorąca. Wczesna wrześnieowa noc nie spełniła obietnicy ochłodzenia. Następny dzień miał być najcieplejszy w roku. Nikt nie życzy sobie pogrzebu w takim dniu, trudno skazywać przybyłych żałobników na czarne stroje, chyba że zmarły chce jeszcze zemścić się na tych, co żyją. Elżbieta obawiała się, że utknie wśród masy spoconych ludzi, którzy cenili jej ojca. I być może znali go lepiej niż ona. A że był dość stary, na szczęście nie było już wielu takich, którzy chcieli go po raz ostatni pożegnać.

– Ach ta sąsiadka – wzdycha Elżbieta głęboko.

Od czasu pogrzebu myśli o niej trochę nieśmiało, nawet z lekkim zażenowaniem. Czowała się bardzo niekomfortowo, kiedy podczas mszy zobaczyła płaczącą sąsiadkę, gdy tymczasem ona, jedyna córka, nie potrafiła wycisnąć z siebie nawet jednej łzy. W czasie uroczystości wielokrotnie próbowała nie okazywać obojętności wobec dawnych studentów i kolegów ojca, z których nie rozpoznawała i nie знаła prawie nikogo oprócz Eryka. Sąsiadkę natychmiast otoczyła grupka ludzi. Zużyła już jedną paczkę chusteczek i całkowicie pogrążona w rozpacz zaczęła drugą. Większość wychodzących z kościoła najpierw jej ścisnęła rękę ze współczuciem, a dopiero potem żałobnicy składali kondolencje Elżbiecie. To była nieprzyjemna sytuacja nie dlatego, że ją pomijano. Elżbieta nie miała ochoty ścisnąć tych wszystkich rąk, chciała jak najszybciej wrócić do domu, a sąsiadka, wywołując współczucie, niepotrzebnie przedłużała ceremonię. Dwukrotnie. Najpierw w kościele, a potem na cmentarzu. Opuszczenie cmentarza wydawało się Elżbiecie niestosowne, kiedy nad świeżo wykopanym grobem składano kondolencje sąsiadce.

– Świat stał się teraz taki cichy, a ja nie miałam nawet okazji zapytać go, co

to był za utwór. Przez ostatnie miesiące grał wciąż to samo – powiedziała sąsiadka i wzięła ją pod rękę, co wzmocniło wrażenie, że opuszczały cmentarz jak matka z córką. Żegnając się, sąsiadka wzięła obie dłonie Elżbiety w swoje ręce i przytrzymała przez chwilę. Nie bardzo długo, ale Elżbiecie wydawało się, że trwało to z pół dnia. Kara, którą musiała ponieść za brak łez na pogrzebie ojca.

*

Bierze do ręki partyturę leżącą na pianinie. Pieśni Schuberta. Czy to właśnie grał? Schubert, bardzo go kochał. Jego nazwisko przypomniało jej kartkę urodzinową, którą dostała w zeszłym roku na swoje trzydzieste drugie urodziny. Ojciec napisał: „Wiesz, że Schubertowi nie dane było żyć dłużej niż trzydzieści dwa lata. Ciesz się czasem, jakim Bóg Cię obdarzył”. Okropne, pomyślała. Pogorszył jeszcze sprawę, dopisując wers z Dantego: „Smutno czas tracić temu, kto go ceni”¹. Wyrzuciła kartkę do starych gazet, a następnego dnia wyniosła na śmieci. Przerzuca partytury. Niektóre strony są bardziej pożółkłe od innych. Czasami nad nutami widnieją napisane ołówkiem cyfry, które mają wskazywać ułożenie palców. Można dzięki temu zobaczyć, które pieśni ojciec ćwiczył, a których nie, chociaż notatki robił z rzadka. Jego ręce potrafiły dość łatwo tłumaczyć nuty na dźwięki. W głowie rozbrzmiewał jej początek *Kolysanki* z suity *Dolly* Faurégo. Za namową ojca całe lato ćwiczyła z nim ten utwór na cztery ręce. Razem siedzieli przy pianinie. Początkowo robiła to z zapałem. Miała cichą nadzieję, że ojciec wróci do domu, jeśli nauczy się dobrze grać na pianinie, chociaż nie wiedziała, dlaczego miałyby się to ze sobą wiązać. Może dlatego, że ojciec zawsze chętnie otaczał się muzyką. Ja będę jego muzyką, pomyślała wtedy. Jego domem z dźwięków.

Jednak kiedy utwór okazał się za trudny, zainteresowanie przekroczyło jej cierpliwość i robiła niewielkie postępy. Entuzjazm opadł, aż w końcu całkiem zgasł. Szukała wymówek, żeby nie zasiadać z ojcem do pianina. Widziała w jego oczach rozczarowanie, ale wolała go zawieść, niż ciągle od nowa mieć do czynienia z własną ignorancją. Trudniej jest rozczarować siebie niż kogoś, dlatego lepiej nie podejmować żadnego trudu, niż trudzić się daremnie. Elżbieta do tej pory stosuje tę strategię, aby spokojnie płynąć przez życie, odtrącając od siebie każdą frustrację.

Po tym lecie ojciec nigdy nie nalegał, żeby grała na pianinie. Grał odtąd sam. Nigdy nie zmienił wieczornego rytuału. Po kolacji grał na pianinie, a przed pójściem spać czytał to, co napisał w ciągu dnia. Kiedy pewnego razu grał wyjątkowo długo, zapytała go z łagodnym buntem grzecznej nastolatki w głosie, dlaczego poświęca na pianino tyle czasu.

– Poświęcasz mnóstwo czasu na grę, ale pianistą koncertowym i tak już nie zostaniesz. Czy nie lepiej wykorzystać ten czas inaczej? Świat nie czeka na twoją

interpretację impromptu Schuberta. A kiedy ludzie chcą posłuchać muzyki klasycznej, to po prostu nastawiają płytę.

– Pewnie tak, ale ja nie gram po to, żeby mnie inni słuchali. Gram, ponieważ podczas gry, jako człowiek, dotykam rdzenia tego, co znaczy być człowiekiem. Dotykanie klawiatury to dla mnie za każdym razem przeżycie metafizyczne.

Elżbieta popatrzyła na niego tak, jakby odpowiedział w języku z manuskryptu Wojnicza.

– Nadal nie rozumiem, po co to robisz, przecież wiesz, że jesteś człowiekiem. Musisz sobie to codziennie na nowo udowadniać?

– Nie mogę wyjść z siebie, Elżuniu, zrezygnować ze swojego człowieczeństwa. Muszę grać. Nawet jeśli nikt mnie nie słucha.

Po chwili ciszy, która świadczyła o tym, że Elżbieta nie za dobrze wiedziała, o co mu chodzi, dodał:

– Traktuj to jak modlitwę przed snem. Nikt nie przestaje się modlić dlatego, że śpi obok niewierzącego.

Nigdy nie zrozumiała, co miało znaczyć to ostatnie sformułowanie. Do tej pory go nie rozumie i nic nie czuje, kiedy słucha pieśni lub impromptu Schuberta. Najwyżej podskórną niechęć, zarówno do Schuberta i jego niebywałego talentu, jak i do myśli, że powinna pielęgnować swój ułomny talent, otrzymany od Boga, w którego i tak niezbyt wierzyła.

Trudne przebudzenie

Zacząło się od kaca i jakiegoś mężczyzny, jak wiele moich dni w tamtym czasie. Był listopad 1990 roku, miałam dwadzieścia dwa lata i byłam daleko od domu. Za sprawą stypendium znalazłam się po drugiej stronie Atlantyku. Mogłabym się bardziej cofnąć w czasie, ale myślę, że wydarzenia sprzed tej nocy nie miały bezpośredniego wpływu na to, co się potem stało i co odtąd wciąż zajmuje moje myśli. Zmuszam się do odgrzebywania wszystkiego z pamięci, żeby nie zapomnieć.

Obudziłam się i zobaczyłam wąskie smużki światła wpadające przez zaciągnięte zasłony, wewnątrz ciemnego pokoju majaczyło niewyraźnie. Przez wążutkie szparki uchylonych powiek raziło mnie światło i poczułam ból rozchodzący się po głowie. Mikroskopijne, ostre szpilki wbijały się w mózg. Zostałam w łóżku, bo w głębi mojego ciała zagnieździło się zmęczenie.

Próbowałam patrzeć na blat kuchenny przede mną, żeby ustalić, w którym łóżku leżę. Dziwnie dużo czasu minęło od pojawienia się tej myśli do jej wyartykułowania. Co ciekawe, zastanawiałam się nawet, po której stronie oceanu się znajduję. To uczucie towarzyszyło mi podczas budzenia się w pierwszych tygodniach pobytu w Stanach Zjednoczonych, kiedy biały sufit nade mną nie od razu zdradzał, gdzie jestem. Jednak po trzech miesiącach pobytu udało mi się pozbyć tego doznania.

Oczy przyzwyczyły się powoli do nikłego światła. Nie rozpoznawałam zlewozmywaka, płynu do mycia naczyń ani ścierki w paski. Nie znajdowałam się w domu, w Belgii, ani w pokoju studenckim na kampusie uniwersyteckim, ani w żadnym znanym mi miejscu. To pomieszczenie było całkowicie obce. Próbowałam przekręcić głowę, żeby zobaczyć coś więcej, nie zmieniając pozycji. Najmniejszy ruch wymagał ogromnego wysiłku.

Drewniane krzesło z jakimś ubraniem. Moje ciuchy pomieszane z czyimiś. Gapiłam się na tę martwą naturę z minionej nocy i w głowie pojawiły mi się takie myśli. Widok mojego ubrania na krześle był dziwny. Zazwyczaj rzucałam je na podłogę, zanim zanurkowałam nago do łóżka. Wtedy już nie wierzyłam w pizamy. Była pełnia lata i upał, kiedy przyjechałam do Amherst. Przez kilka tygodni przyzwyczajałam się do dużej wilgotności powietrza. Pierwszej nocy obudziłam się spocona jak mysz. Zdjęłam pizamę i nigdy więcej jej nie włożyłam, nago spałam znacznie lepiej niż ubrana.

Czy to on podniósł moje ubranie z podłogi i położył na krześle? Wydawało mi się to bardziej prawdopodobne niż to, że sama zdobyłam się na taki wysiłek, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę ilość alkoholu, która krążyła w moim organizmie. To musiał zrobić on, myślałam z pewnym zdziwieniem. Ale który

facet, skrajnie podniecony, zbiera przed seksem ubranie z podłogi? Może zrobił to potem? Chociaż ta wersja nie wydawała mi się prawdopodobna. Faceci najczęściej potem natychmiast zasypiają.

Rozpoznałam swoją bluzkę i majtki, wydawało mi się, że widzę brązowe spodnie, których nie znałam. A może to była spódnica? Chyba spałam z facetem? Przestraszyłam się trochę tej myśli, chociaż spałam już z kobietą. Od wyjazdu z Belgii chętnie widziałam się jako uosobienie wolnej miłości. Przedtem byłam przykładną studentką. Zbyt przykładną. Zawsze najlepsza w klasie. Zawsze uprzejma. Zawsze pomocna. Na ostatnim roku studiów germanistyki w Leuven czułam, że powoli mam dosyć tej codziennej presji życia bez skazy. Muszę wyjechać, oderwać się od otoczenia, żeby oderwać się od siebie. Dobroć, którą wszyscy we mnie rzekomo wyczuwali i za którą byłam szczególnie chwalona przez rodziców, wydawała się bardziej rutyną, zwyczajem niż świadomym wyborem. Ale czymże jest dobroć, jeśli nie została wybrana świadomie? Co jest warta dobroć działająca na zasadzie automatycznego pilota: pozłotką moralności, cienką, błyszczącą warstwą na szarej ludzkiej niedoskonałości?

Czasami nie wiedziałam już, czy byłam dobra, czy zachowywałam się poprawnie, ponieważ nigdy nie postępowałam inaczej. Czy to z dobroci chodziłam na kawę do babci, także wtedy kiedy nie trzymała już moczu i ciągnęła się za nią smuga zapachu uryny? Czy dlatego, że cotygodniowa kawa u babci stała się przez lata przyzwyczajeniem? W wieku trzynastu lat, kiedy moi rówieśnicy po raz pierwszy palili papierosy i po raz pierwszy z odrazą wypijali do dna piwko, ja zaczęłam pić kawę. Zawsze czarną, bez cukru. Czy dzieliłam się moimi notatkami z kolegami ze studiów z życzliwości czy dlatego, że liczyłam na pozory przyjaźni? Może byłam po prostu oportunistką, ale czy oportunizm może być podstawą dobroci? Niektórzy twierdzą, że motywy czynów człowieka się nie liczą, dopóki jego działania albo ich następstwa są dobre, ale ja tak nie uważałam.

Musiałam wyjechać. Daleko. Roczne stypendium na uniwersytecie w Massachusetts wydawało mi się wyjątkową okazją, żeby dowiedzieć się, kim naprawdę jestem. Profesor Claes, u którego napisałam pracę licencjacką o rozterkach wiary w dziewiętnastowiecznej literaturze amerykańskiej, miał kolegę w Stanach, który mógł mi pomóc w przygotowaniach do uzyskania doktoratu. Planowałam, że dysertację zacznę pisać rok później. Nie wiedziałam jeszcze wtedy dokładnie, jakimi badaniami się zajmę, ale zaplątałam się w sieć słów poezji Emily Dickinson. Aby przygotować się do napisania pracy, studiowałam jej wiersze. Pisała, że Bóg jest pustelnikiem, ale również, że Bóg jest wymysłem człowieka, nie odwrotnie. Początkowo jej wiersze nie bardzo do mnie przemawiały, jednak stopniowo pokochałam ich kapryśną dyscyplinę i myśli. Bez większego zastanowienia przyjmowałam wszystkie oferty, które mogły umożliwić mi wyjazd do Ameryki. Gdzież można lepiej prowadzić badania, jeśli nie w Amherst,

miasteczku, w którym pustelnica poetka mieszkała przez całe życie? Może jej życie odludka było próbą zbliżenia się do boskości?

I tak oto znalazłam się w Dolinie Pionierów w Massachusetts, gdzie oprócz uniwersytetu UMass² znajdowały się jeszcze cztery uczelnie. Na początku sierpnia, w pierwszych tygodniach mojego pobytu, było tu bardzo spokojnie, bo rok akademicki jeszcze się nie zaczął. Z bujnej zieleni otaczającej budynki uniwersytetu wyzierał doskonale zdradliwy spokój. Rano chodziłam często do biblioteki uniwersyteckiej, gdzie na dwudziestym trzecim piętrze wieżowca Du Bois wypełnionego książkami podziwiałam przy filiżance kawy wciąż zmieniającą się panoramę miasta. Co dzień widok był inny. W przejrzysty poranek horyzont nad falistymi wzgórzami wydawał się bezkresny. W niektóre dni mgła zbierała się w dolinie i widok kończył się na czerwonej wieży ratusza i białych wieżach kaplicy Johnsona. Chmury wisiały nisko i wydawało się, że poza tymi dwoma wieżami nic więcej nie ma, tylko szara pustka. Mgła podnosiła się powoli i zza kurtyny chmur świat wyłaniał się na nowo. Jedyłą stałą w tym ciągle zmieniającym się pejzażu był jego odczuwalny spokój. Trudno było sobie wyobrazić, że wśród tej cichej zieleni, gdzie skrywały się budynki i z rzadka widziało się ludzi, zapanuje ożywiony ruch, kiedy studenci zjadą do miasta i zacznie się rok akademicki.

Ludzie mieszkający w Dolinie nauczyli się być samowystarczalnymi, a studenci *five college area*³ szczególnie dobrze opanowali sztukę sprawiania sobie przyjemności. Pozwoliłam się porwać nocnemu życiu studenckiemu i ochoczo uwierzyłam w iluzję, że w tym nurcie dopłynę bliżej siebie, ponieważ wydawało się, że się oddalam od mojego dawnego ja. Piękno tych dni polegało na łatwości, z jaką nogi obejmowały nowe, rozpalone ciało, żeby poczuć poddanie się mężczyźnie i na chwilę stracić kontrolę nad sobą. Jak przestępca na wolności, bez oglądania się za siebie, można było opuścić pokój o świcie, wiedząc, że nikt nie będzie cię ścigał za spazmatyczne krzyki, grymasy rozkoszy na twarzy i ślady paznokci wyrzyte na czyjejs skórce.

*

Próbowałam usłyszeć oddech drugiej osoby, ale cisza trzymała usta mocno zaciśnięte i nie chciała się załamać. Przekręciłam się ostrożnie i wyciągnęłam rękę na drugą połowę łóżka. Była zimna i pusta. Nie wiedziałam, jak długo leżę sama. Przez chwilę pomyślałam, że może położył mnie tylko do łóżka, a potem sobie poszedł, ale jego ubranie na krześle kazało mi myśleć, że jest gdzieś w pobliżu.

Próbowałam sobie przypomnieć poprzedni wieczór i noc, lecz nic nie pamiętałam. Utrudniały to bolesne ukłucia w głowie, wzmacniane przez samo myślenie. Zamknęłam oczy i próbowałam opróżnić głowę. Z moich włosów unosił się zapach papierosów, pomieszany z ulotną wonią perfum. Wywnioskowałam stąd, że musiałam odwiedzić jakiś miejscowy pub – paliłam papierosy tylko

w pubach. Palenie było także pewnym przejawem buntu wobec mojego dawnego ja. Jednak nadal nie wiedziałam, o jaki pub chodzi, do której tam byłam i kto mi towarzyszył.

Wyobraziłam sobie, że biorę perfumy z komody i zgodnie ze stałym rytuałem rozpylam je na ciele i ubraniu. To była ostatnia czynność przed opuszczeniem pokoju. Perfumowałam się w pięciu miejscach: za uszami, między piersiami, między nogami, jeśli nosiłam spodnie, albo gdzieś wokół tego miejsca, oraz po wewnętrznej stronie lewego przegubu dłoni, a na koniec prawym przegubem pocierałam to miejsce okrągłymi ruchami, żeby zapach ogrzanych perfum rozszedł się po obu nadgarstkach.

Wyczytałam, że trzeba się perfumować w miejscach, gdzie chce się być całowaną. Odtąd zużywałam flakonik perfum średnio w dwa miesiące. Chcąc zaoszczędzić pieniądze na nowe opakowanie L'Air du Temps, zrezygnowałam z jedzenia śniadania i opuszczałam czasami obiad, szczególnie kiedy kończyły mi się pieniądze. Uważałam tę sporą sumę w moim skromnym budżecie studenckim za inwestycję w przyszłość: złe pachnący ludzie są przeszkodą na drodze do własnego sukcesu, próbowałam się usprawiedliwić, kiedy z uśmiechem opuszczałam perfumerię. *The perfume that made the bottle famous*, głosiły duże litery starej reklamy tych perfum, ale w tym wypadku sprawiały one, że to ja byłam bardziej sławna niż flakonik. Nie dlatego, że byłam znana, nie o to chodziło, ale rozpoznawano mnie po zapachu, z którym szybko zaczęto mnie utożsamiać. Przyjaciele wiedzieli, że się zjawiłam na imprezie, ponieważ czuli zapach wcześniej, niż mnie zobaczyli. Perfumy pełniły rolę wabika, stawały się początkiem rozmowy, nie musiałam się nawet ruszać, żeby cieszyć się skutkiem takiej przynęty.

Od wielu lat byłam świadoma siły tego zapachu, mojego zapachu, ale dopiero teraz działał na moją korzyść. Podczas pierwszej sesji egzaminacyjnej na uniwersytecie w Leuven podszedł do mnie jakiś zrozpaczony student i poprosił, żebym nie używała tych perfum, kiedy przychodzę uczyć się w bibliotecę główną. Twierdził, że cała biblioteka, aż na zewnątrz, do placu Ladeuze, pachnie moimi perfumami i przeszkadza mu skupić się na studiowanym materiale. Spełniłam jego prośbę i odtąd, kiedy spotykaliśmy się przypadkiem, zawsze kiwał głową nieśmiało, prawie z zawstydzeniem, ale nigdy nie zamieniliśmy ani słowa. Flakonik perfum był pierwszym przedmiotem, jaki wrzuciłam do walizki, wybierając się w podróż do Stanów.

Kiedy tak leżałam w pustym łóżku, w nieznanym pomieszczeniu, myślałam o flakoniku na komodzie, z zakrętką z matowego szkła, w kształcie białego gołębia z rozpostartymi skrzydłami. Opadający ptak. Czułam się właśnie tak, opadałam. Kręciło mi się w głowie. Kiedy myślałam o poprzedniej nocy, widziałam przed oczyma czarne plamki i schody domu, w którym wynajmowałam pokój. A potem

już nic.

Drżałam z zimna, więc próbowałam nakryć się kocem, żeby tylko nos wystawał z pościeli, a stopy były całkowicie przykryte. Chciałam zasnąć, nie myśleć o wczoraj, dzisiaj i jutrze, ale w głowie mi się kręciło i miałam dreszcze. Usłyszałam, że ktoś spuszcza wodę w toalecie, i próbowałam się podnieść, żeby zobaczyć, skąd dobiega ten odgłos. Przez szpary w drzwiach dostrzegłam światło dochodzące z innego pokoju. Zaraz potem drzwi się otworzyły i młody mężczyzna ruszył w moim kierunku. Światło oświetlało go od tyłu, a że w pokoju było ciemno, nie widziałam dobrze jego twarzy. Miałam nadzieję, że nie jest zbyt młody, nie chciałam już sypiać z pierwszorocznikami.

– Obudziłem cię? Nie musisz wstawać, ubiorę się szybko i pójdę na wykład – powiedział miękkim głosem.

Próba wydobycia z siebie głosu skończyła się na kilku ledwie słyszalnych dźwiękach. Chrząknęłam, a potem wykrztusiłam:

– Już, zaraz. Przepraszam. Zaraz wstanę. – Czułam jednak, że trudno będzie mi spełnić tę obietnicę.

– Ależ wcale nie musisz. Jest jeszcze bardzo wcześnie, późno położyliśmy się spać. Mam wykład od wpół do dziewiątej do dziesiątej, wrócę ze śniadaniem około jedenastej. Pośpij jeszcze trochę.

Poczułam ulgę na myśl, że mogę jeszcze poleżeć, chociaż wolałabym leżeć we własnym łóżku. Trzęsło mną jeszcze bardziej, lekko szczykały mi zęby. Poprosiłam o dodatkowy koc.

– Naprawdę ci tak zimno? Może będziesz chora?

Mówiąc to, położył dłoń na moim czole. Od czasów dzieciństwa nikt nie troszczył się o mnie, dotykając mojego czoła. Matka robiła to zawsze ze srogim spojrzeniem. Głęboka zmarszczka, pojawiająca się między jej brwiami, wywoływała u mnie zawsze poczucie winy, jakbym to ja sama przyczyniła się do choroby. Ale młody człowiek nie marszczył brwi, miał spokojną twarz, bez oznak gniewu. Oddychał wolno, zacisnął usta i kiwnął głową potakująco. Rozpoznał to, czego się spodziewał.

– Masz gorączkę. Zobaczę, czy mam jakieś leki przeciwgorączkowe, ale obawiam się, że nie. Koc można złożyć na pół, jeśli chcesz, bo nie mam innego.

Wstał, ściągnął koc z łóżka, rozpostarł go w powietrzu, złożył i okrył mnie. Jęknęłam, czując zimny powiew, który ten ruch spowodował. Młodzieniec zarumienił się trochę, kiedy zobaczył moje nagie ciało.

– Przepraszam – szepnął zawstydzony. – Teraz będzie ci cieplej.

Nic nie powiedziałam, uśmiechnęłam się nieśmiało, nie z powodu mojej nagości, ale dlatego, że czułam się bezradna.

– Nie mam żadnych leków przeciwgorączkowych. Spróbuj wypić trochę wody.

Zabrał ubranie z krzesła, położył je na biurku, przysunął krzesło do łóżka i postawił na nim szklankę z wodą.

– Nie obrazisz się, jeśli już pójdę? Około jedenastej będę z powrotem.

– Dziękuję, dam sobie radę.

Wypiłam mały łyk wody.

– Jak się nazywasz? – spytałam, kiedy stał już w drzwiach.

– Bernard – odparł z uśmiechem. – Spróbuj teraz odpocząć, Nino.

I zamknął za sobą drzwi. Nina? Typowe dla mnie. Z tą myślą położyłam głowę na poduszce i zasnęłam głębokim snem.

*

Obudził mnie szczepek naczyń i sztucców. Bernard usiłował jak najciszej nakryć do stołu, ale ponieważ za bardzo się starał, hałasował bardziej, niż gdyby robił to mechanicznie. Poczulałam zapach kawy i otworzyłam oczy. Zobaczyłam nienaruszoną szklankę wody na krześle. W pokoju było teraz całkiem jasno. Podniosłam się nieco, ale nadal byłam w łóżku, przykryta kocem. Przyjrzałam się bliżej Bernardowi: był wysoki i umięśniony. Pod koszulką rysowała się kształtna klatka piersiowa, ramiona miał ładnie uformowane, o nieprzesadnie rozbudowanych mięśniach. Wyglądał jak stereotypowy *college guy*, który na zajęcia sportowe poświęca przynajmniej godzinę dziennie. Chłopcy z Leuven byli inni, mieli zapadnięte klatki piersiowe i ramiona jak u czternastolatków.

– Dzień dobry, Nino. Mamy już popołudnie – powiedział Bernard z ożywieniem, po czym znowu zajął się nakrywaniem do śniadania.

Oparłam się plecami o ścianę i z pewnym zdziwieniem rozglądając się po pomieszczeniu, w którym się znajdowałam, myślałam o tym, co się zdarzyło. W głowie nadal mi pulsowało, zarówno z powodu alkoholu wypitego poprzedniej nocy, jak i z gorączki.

– Kupiłem lekarstwa w aptece. Może powinnaś je zażyć od razu, czy wolisz najpierw kawę?

– Poproszę i to, i to.

Miałam sucho w ustach. Nie byłam w stanie niczego przełknąć, więc poprosiłam, żeby zaczął jeść beze mnie, a ja tylko wypiję szklankę wody i kawę. Ponownie ogarnęło mnie zmęczenie i przemożna senność. Czulałam się nieswojo i zapytałam Bernarda, nie z ciekawości, ale żeby pozbyć się zmieszania, jak minął wykład. Zapewne oczy same mi się zamykały albo w jakiś inny sposób dałam poznać, że jego odpowiedź do mnie nie dociera, bo wstał, zabrał filiżankę i szklankę z moich rąk i poprosił, bym jeszcze odpoczęła. Wyjął z szafy koszulkę, żeby mi było cieplej spać. Wzięłam ją bez protestów i ostatkiem sił wciągnęłam na siebie, a potem zasnęłam. Nie wiem, jak długo spałam, a kiedy się obudziłam, Bernard przysiadł na łóżku obok mnie.

– Czas na kolejną tabletkę przeciwgorączkową – oznajmił. – Ale musisz coś zjeść, bo inaczej nie wyzdrowiejesz.

Na kolanach trzymał talerz z dwiema połówkami bajgla posmarowanymi serkiem kremowym i szklanką wody. Postawił to wszystko na krześle obok łóżka, które nadal służyło za szafkę nocną. Czułam się słaba, ale doskwierał mi głód, więc się podniosłam.

– Wszystko będzie dobrze, musisz tylko coś zjeść i znowu odpocząć. Jutro poczujesz się lepiej. Chyba masz grypę. To nic dziwnego o tej porze roku.

Z wdzięcznością zjadłam powoli oba kawałki bajgla.

– Masz więcej? – zapytałam, robiąc okrągłe oczka szczeniaka.

Bernard zareagował na to uśmiechem.

– Aaa, chyba ci lepiej. Apetyt jest oznaką zdrowienia. Widzę, że znowu patrzysz na mnie tak jak wczoraj. Nikt nie potrafi się oprzeć takiemu spojrzeniu. Mogłabyś poprowadzić całą armię do ataku z takim wzrokiem. Może lepiej tego nie mówić. Nie chciałbym podsuwać pomysłów prezydentowi Bushowi, już dosyć żołnierzy wysłał do Zatoki. Widzisz, jestem zdeklarowanym pacyfistą. To, co robi Husajn, jest oczywiście okropne i powinniśmy interweniować, nie można tego tak zostawiać. Ale jestem zawsze przeciwny używaniu przemocy, jestem przeciw, nawet jak jestem za.

Bernard wstał, żeby posmarować jeszcze kilka bajgli, również dla siebie.

– Może chcesz zupy? Pomidorową ugotowałem.

Zrobił zupę pomidorową? Po tak krótkiej nocy i porannym wykładzie? Bernard mnie zadziwił mimo niewielu słów, jakie wymieniliśmy do tej pory. Wystarczyło pobycć kilka minut w jego towarzystwie, żeby przekonać się, jakim jest wyjątkowym chłopakiem. Gdybym spotkała go w każdym innym momencie mojego życia, wszystko potoczyłoby się prawdopodobnie zupełnie inaczej. Dobrzy ludzie są rzadko dobrze traktowani, szczególnie w miłości. Bernard zasługiwał na lepsze traktowanie przeze mnie. Albo na kogoś lepszego niż ja.

*

Spojrzałam na Bernarda, który szykował się do snu. To, co zdarzyło się przed przebudzeniem z majaków, przepadło w mrokach niepamięci. Próbowałam sobie przypomnieć, co zaszło między nami, ale nie potrafiłam. W jaki sposób znalazłam się w jego łóżku i co się potem stało – nie wiedziałam, chciałam wiedzieć, ale nie śmiałam zapytać.

– Położę się tak po prostu obok ciebie. Nie musimy się tym razem kochać – powiedział, jakby czytał w moich myślach.

Bernard podał mi czystą koszulkę. Fioletową, z białym nadrukiem AMHERST COLLEGE.

– Studiujesz tam? – zapytałam, ściągając z siebie koszulkę wilgotną od potu.

Bernard skinął głową i spytał:

– Nie słyszysz tego?

– Co mam słyszeć, że studiujesz na Amherst College? Nie bardzo.

– Owszem. Na ogół ludzie rozpoznają po moim kalifornijskim akcencie, że tam studiuję. Na początku dziwiło mnie, że tak mówią, ale obawiam się, że mają trochę racji.

– Nie rozumiem. Co twój akcent ma wspólnego ze studiowaniem na Amherst College albo na UMass?

– UMass jest uniwersytetem stanowym i większość studentów pochodzi ze stanu Massachusetts. Amherst College przyciąga studentów z całego kraju. Dlatego odróżnia nas pochodzenie i sposób mówienia.

Wcześniej nie dostrzegałam różnic w wymowie między studentami, ale zauważyłam, że studenci z Amherst College czuli się na ogół lepsi od tych z UMass. Takie wrażenie sprawiał teraz także Bernard, przez sposób, w jaki mówił o nas i o innych. Jakoś to musiał wyczuć.

– Nie chcę przez to powiedzieć, że studenci z Amherst College są z definicji lepsi od tych z UMass. Może to, jak wylądujesz w życiu, ma bardziej związek z ilością pieniędzy niż z inteligencją. – Bernard najwyraźniej przejął się tym, jakie wywarł wrażenie swoją wypowiedzią. – Jutro poczujesz się lepiej – zapewnił mnie jeszcze raz i chwycił moją rękę pod kołdrę.

Nie śmiałam wycofać ręki. Nie chciałam go urazić, ale też nie chciałam sprawiać wrażenia, że łączy nas coś więcej niż jedna wspólna noc. Nie powinien tak myśleć. Związki nie były dla mnie, a ja nie byłam stworzona do związków. W każdym razie nie w trakcie roku akademickiego. Po długiej chwili milczenia wyjęłam rękę z jego dłoni, obróciłam się na prawy bok i powiedziałam:

– Dobranoc, Bernardzie. I jeszcze raz dzięki za wszystko.

Wszystko jest wszystkim

Jesień wszczęła właśnie doroczną inwazję na przyrodę. Elżbietę co roku zaskakuje prędkość, z jaką to zjawisko następuje. Tym razem znowu tak było. Dwa dni temu wydawało się, że lato nigdy się nie skończy. Wszyscy chodzili w krótkich spodniach lub spódniczkach, korony drzew były tak gęste i zielone jak trzy miesiące temu. Patrzy na drzewa na ulicy i w ogrodzie i nie chce jej się wierzyć, że w ciągu dwóch nocy zieleń została przemalowana na przeróżne soczyste kolory jesienne, a pierwsze liście zdążyły już opaść.

Obraca pęczek kluczy wokół środkowego palca, przechodzi obok tablicy postawionej przez pośrednika nieruchomości przed domem i w tym momencie pojmuje, że wnet będzie w nim mniej o trzy klucze. Do niedużego domu ojca można było wejść z trzech stron: przez drzwi frontowe, tylne i drzwi pod zadaszeniem z boku domu, prowadzące do kuchni. Każde drzwi musiały mieć osobny zamek, tak było bezpieczniej, uważał ojciec. Kładzie pęk kluczy na stole w kuchni i wychodzi przez te same drzwi na zewnątrz, do ogrodu otaczającego dom. Trzeba zrobić trzynaście bardzo dużych kroków, żeby przejść od drzwi wejściowych na ulicę. Elżbieta wie to dobrze, bo liczy je, idąc przez podjazd. Sąsiadka, która właśnie wyszła na zewnątrz, żeby rozpocząć swój rutynowy spacer, zauważa Elżbietę i macha do niej ręką. Dlaczego widać nas zawsze wtedy, kiedy myślimy, że nikt nas nie widzi i zachowujemy się dziwnie? – burczy Elżbieta pod nosem. Kiwa głową i nie wdając się w rozmowę, wchodzi z powrotem do domu.

Jeszcze dziesięć minut, inaczej może nie przychodzić. I wtedy widzi samochód, który skręciwszy w ulicę, wjeżdża na podjazd.

Po skroniach antykwariusza spływają krople potu. Widocznie się spieszył i z jakiegoś powodu jest bardzo zdenerwowany. Elżbieta widzi, jak chowa do kieszeni pogniecioną chusteczkę, którą wytarł czoło, zanim wysiadł z samochodu.

– Bardzo przepraszam, ale Route 9 stała się znowu asfaltowym piekłem. Od mostu w Northampton do Hadley jest ogromny korek.

Elżbieta próbuje ukryć irytację w taki sposób jak zawsze. Mruży oczy w prostą linię, a usta zaciska, tak że kąciaki rozchodzą się nieco na boki. Jednocześnie z pozorną wyrozumiałością kiwa głową. Jedno zdecydowane kiwnięcie. Nic więcej. Zmusza się, by powiedzieć:

– Nie szkodzi, proszę wejść.

Spocony mężczyzna wyciąga do niej dłoń, jeszcze przed wejściem do domu.

– Bill Frenzel.

Ona zdobywa się na wymuszony uśmiech i odpowiada:

– Elżbieta.

Antykwariusz nie jest specjalnie rozmowny. I dobrze. Elżbieta też nie ma

ochoty na rozmowę i im szybciej przejdą do interesów, tym lepiej. Nie cierpiała ludzi, którzy zachowywali się zbyt przyjacielsko albo byli przesadnie uprzejmi, kiedy chodziło o interesy. Elżbieta ma kłopot ze zbyt przyjaznymi ludźmi, nawet jeśli nie chodzi o sprawy biznesowe. Tylko przyjaciele i koledzy z pracy mają prawo zachowywać się wobec niej przyjaźnie. Ale przyjaciele przyjaciół i koledzy kolegów, a już na pewno zupełnie obcy ludzie powinni trzymać dystans. Jeśli tego nie robią, Elżbieta czuje się niezręcznie. Po prostu nie wie, jak się zachowywać wobec zbyt przyjaznych ludzi.

Zazwyczaj nie ma ochoty na pogawędkę w autobusie z zupełnie obcą staruszką, która zaczyna jej opowiadać o swoich wnukach albo narzeka na złą pogodę, jakby w swoim długim życiu nie zaznała większych niesprawiedliwości. Elżbieta nie wie, czy w windzie powinna pozdrowić mężczyznę z dziewczynką trzymającą go za rękę, czy wystarczy skinienie głową, a uśmiech to może za dużo. Czy lepiej unikać kontaktu wzrokowego i udawać, że mężczyzna z dziewczynką są niewidzialni, żeby przypadkiem nie wdać się w rozmowę. Z takim samym problemem zmagają się w poczekalni u lekarza. Nie ma ochoty słuchać o tym, dlaczego ktoś przypadkowo znalazł się razem z nią w tym pomieszczeniu. Mową ciała próbuje zamaskować, że chce, aby pozostawiono ją w spokoju, ale rzadko jej się to udaje. Im wyraźniej próbuje okazywać znudzenie, tym więcej ludzie zaczynają mówić. Prawdopodobnie dlatego, że myślą, iż muszą się bardziej starać, żeby zaciekawiać ją swoją historią.

Elżbieta ma na to wytłumaczenie. Widocznie widać po mnie, że pracuję w dziedzinie psychologii. Ludzie wyczytują to z mojej twarzy i dlatego mnie zagadują. Może w to wyjaśnienie łatwo uwierzy Sara, która sama z kolei uważa, że jest zaczepiana częściej niż inni przez starsze panie i inne samotne dusze. Elżbieta wie jednak, że w jej wypadku przyczyna jest głębsza. Najczęściej nie potrafi się sprzeciwić, przedstawić swojego zdania i powiedzieć, jak jest naprawdę.

Powiedzieć nie, kiedy trzeba, i tak, kiedy można, to klucz otwierający drzwi do szczęścia w życiu. Jednak Elżbieta nie opanowała dobrze tej umiejętności. Przyczyniło się to do wielu nieszczęść, jak półtora roku temu z Didierem. Był jej trzecim i ostatnim chłopakiem, nie licząc przelotnych związków. Poznali się w dziale warzyw supermarketu Trader Joe's. Włożyła do koszyka opakowanie czerwonego szpinaku, produktu nowego zarówno dla niej, jak i dla sklepu, kiedy ktoś rzucił przyjaźnie:

– Pyszny jest, ale lepiej nie przechowywać go za długo w lodówce, bo szybko więdnie.

Popatrzyła zdziwiona i zobaczyła, że młody mężczyzna około trzydziestki, z krótko ostrzyżonymi rudawymi włosami, oddała się, aby pomóc młodej matce. Postawiła wózek z zakupami blisko półek i siedzący w nim dzieciak wykorzystał szansę, żeby roztrzaskać butelkę cydru o podłogę.

Kilka minut później przy kasie ten mężczyzna zapytał ją, czy znalazła to, czego szukała. Na takie standardowe pytanie odpowiadała zazwyczaj obojętnym „tak”, niezależnie od tego, czy znalazła, czy nie. Tym razem odpowiedziała: właściwie nie.

Byli razem przez prawie sześć miesięcy, kiedy zaprosił ją do eleganckiej restauracji, słynącej z olbrzymiej dysproporcji między wysokością cen a obfitością serwowanych dań. Po cichu ogarniał ją strach, że może poprosi ją, by przeprowadziła się do niego. Nie śmiała marzyć o pierścionku, ale chciała z nim zamieszkać.

Wystroiła się na ten wieczór, włożyła bieliznę i sukienkę, w jakiej Didier najchętniej ją widywał. Już chciała wychodzić, kiedy usłyszała dzwonek i otworzyła drzwi.

– Czy zastanawia się pani czasem nad sensem życia? – spytała jedna z dwu kobiet stojących w progu.

Zanim dotarło do niej, że ma przed sobą świadków Jehowy, popełniła fatalny błąd, wpuściła je do środka i zaproponowała coś do picia. Dwie młode kobiety mówiły ponad godzinę, nim Elżbieta poczuła, że dłużej tego nie zniesie.

– To jest bardzo interesujące, ale tak mnie przytłacza, że chciałabym najpierw wszystko przemyśleć.

Te słowa były początkiem udanej próby wyproszenia pań za drzwi. Wróciły za tydzień, ale Elżbieta udawała, że nie ma jej w domu.

Przyszła do restauracji mocno spóźniona.

– Nie rozumiem, dlaczego wpuściłaś te panie. A już zupełnie nie pojmuję, dlaczego nie powiedziałaś im, iż jesteś umówiona. Nawet nie musiały szukać wymówki – wyrzucił jej Didier, który przez godzinę siedział sam przy stole, nudził się jak mops i wypił całą butelkę Meursaulta, żeby sobie uprzyjemnić czas.

– Nie powinieneś tyle pić. Nadmiar alkoholu nikomu nie służy.

– Nie powinnaś się tak spóźniać. I nie nazywaj Meursaulta alkoholem. To jest *understatement*.

Pierwszy raz widziała go tak wkurzonego.

– Czyli nie zorientowałaś się, że to byli świadkowie Jehowy. Świetnie jak na psycholożkę!

Dotknęło ją to do żywego. Poczowała się nie tylko kiepską partnerką, ale także nieudanym psychologiem. Ten wieczór zapoczątkował koniec ich związku.

*

– Meble pani ojca? – Elżbieta przytakuje głową.

Antykwariusz patrzy na jakiś mebel i nie widzi jej gestu, więc dodaje:

– Prawda?

Tym razem kiwnięciu głową towarzyszy pomruk aprobaty.

– Serdeczne wyrazy współczucia – mówi antykwariusz, przeczesując palcami resztki spoconych włosów na głowie. Elżbieta zauważa jego długie paznokcie. Dwa są złamane, ale pozostałe są długie, za długie jak na mężczyznę. Dotyczy to zwłaszcza paznokci małych palców.

W jej głowie pojawiają się bezwiednie dwa obrazy jednocześnie. Widzi Babę Jagę wydłubującą paznokciem wnętrzości z martwego ptaszka. Serduszko przebite paznokciem znika w ustach czarownicy. W dzieciństwie widziała kiedyś taką scenę w filmie rysunkowym i dostała drgawek. Teraz nie odczuwa już lęku, ale wciąż uważa, że to koszmarna scena. Widzi też antykwariusza odkręcającego paznokciem śrubkę w szafie. Drugi obraz jest mniej okrutny, ale powoduje większą niechęć. Elżbieta próbuje uwolnić się od obu wizji i przechadza się za antykwariuszem z pokoju do pokoju. Obserwuje, jak otwiera szuflady drewnianej szafy kuchennej wykończonych małymi, niebieskimi kafelkami z Delft, potem znowu je zamyka. Pochyla się trochę do przodu, żeby popukać kłykiem środkowego palca w pomalowane na niebiesko drzwiczki szafki pod zlewozmywakiem.

– To jest jeszcze autentyczna kuchnia z połowy ubiegłego wieku. Piękne są te metalowe szafki kuchenne. Wychowałem się w domu podobnym do tego, w stylu rancza, z lat pięćdziesiątych.

Nie udaje jej się oderwać oczu od jego dłoni. Na jej twarzy maluje się niesmak. Zdaje sobie z tego sprawę i próbuje patrzeć na niego bardziej przyjaźnie, ale nie może zapanować nad negatywnymi uczuciami. Na szczęście antykwariusz nie zwraca na nią uwagi.

Z jego nozdrzy wystają małe, czarne i siwe kręcone włoski. Na pewno jest wdowcem, myśli Elżbieta. O ile w ogóle miał kiedyś żonę. Między włoskami wyrastającymi z uszu, które przypominają jej cienkie gałązki bezlistnej wierzby płaczącej, widać płatki łupieżu. Wszędzie łupież, przede wszystkim na ramionach, na tle ciemnej koszuli wyraźnie się odznacza. Niechcący myśli o ojcu, który nigdy nie wychodził z domu zaniedbany, nawet w domu często nosił krawat, szczególnie kiedy siadał za biurkiem.

– To jest wyraz szacunku dla materii, nad którą pracuję – tłumaczył jej kiedyś, zawiązując krawat w podwójny węzeł windsorski, nim wycofał się do gabinetu. – Czy nie drażniłby cię widok pianisty koncertowego, który ćwiczy nokturny Chopina w koszuli hawajskiej, bermudach i klapkach? – Na chwilę zapadła cisza, a potem dokończył ten jeden ze swoich najkrótszych wywodów: – No właśnie.

I wszystko było jasne.

Dwadzieścia trzy lata życia bez opiekuńczej ręki kobiety nie miały widać żadnego wpływu na ojca. Ręki, która przypomina, że trzeba się ogolić, codziennie zmieniać bieliznę i nie nosić skarpetek z dziurami, jeśli jest się mężczyzną. Ręki

posiadającej dar dotykania, a nawet bez dotyku, przez samą obecność, dar czyszczenia i kojenia wszystkiego, co powinno być wypielęgnowane i wyleczone.

Elżbieta pożyczka te ulotne słowa i myśli od jednego z pacjentów. Nie było dla niego nic straszniejszego od pustki w życiu, pozostałej po delikatnych rękach zmarłej małżonki.

– Tylko oddana matka i kobieta twojego życia mogą mieć takie miękkie ręce, które potrafią przywrócić do zdrowia nawet kalekę. Dobra matka i dobra żona są jak święte, które uzdrawiają chorych dotykiem.

Elżbieta nie przywiązuje wagi do tego opisu i odniesienia do świętych. Sama nie widzi nic świętego ani w człowieku, ani w jego zachowaniu. Nie widzi nic nadprzyrodzonego w rękach swojej matki. Nikt jej nigdy nie powiedział, że jej ręce mają właściwości lecznicze, co według tego pacjenta znaczyłoby, że nikomu się nigdy naprawdę nie podobała. Tej myśli nie chce przyjąć do wiadomości. Podczas każdej kolejnej sesji mężczyzna coraz bardziej zamykał się w swoim własnym świecie zdominowanym przez ręce.

– Ręce są wrotami duszy. Pokaż mi swoje ręce, a powiem ci, kim jesteś.

Po kilku tygodniach jego wzrok coraz częściej zatrzymywał się na rękach Elżbiety. Sucha skóra jest oznaką samotności, twierdził. Nie pomagało, kiedy próbowała mu wytłumaczyć, że w zimie zawsze dolega jej suchość skóry, a antybakteryjne mydło, które miała w gabinecie i którym myła ręce po wizycie każdego pacjenta, potęgowało tę suchość. Dalej trwał przy swoim: jest samotna, a zimno i mydło stanowią tylko wymówkę.

– Rozumiem, że trudno się pani przyznać do samotności. Dlaczego miałyby się pani odkrywać przede mną jak ja przed panią w ciągu ostatnich kilku tygodni? W końcu to ja jestem pacjentem, a nie pani, prawda? – ciągnął. – Czyż nie jest tak, że w życiu wszyscy jesteśmy pacjentami? Czy nie mamy wypisanych na dłoniach dużych i małych smutków? Może to tylko przypadek określa, kto dostaje pieniądze za rozmowy terapeutyczne, a kto za nie płaci?

Te rozmowy były trudne, bo Elżbieta była wtedy naprawdę samotna, Didier nie dawał znaku życia, a cotygodniowe zakupy robiła odtąd w innych sklepach. Nie udało jej się przełamać obsesji tego człowieka, dlatego podczas każdej kolejnej rozmowy obraz jego żony, o niewątpliwie pięknych dłoniach, stawał się dla niego coraz bardziej nierealistyczny i święty. Kiedy w końcu zrozumiała, że mówi o niej jak o istocie z innego świata, pojęła, że potrzebuje pigułek albo już łyka jakieś pigułki. Zazwyczaj trudno to u ludzi rozróżnić. Zaraz potem skierowała go do kolegi.

*

Te wszystkie myśli przeszkadzają jej spojrzeć z większą sympatią na mężczyznę, który przygląda się teraz abażurowi lampy stojącej w salonie.

Zazwyczaj nie ma trudności z ukrywaniem swoich prawdziwych uczuć i myśli. Po latach praktyki nauczyła się przybierać maskę pozbawioną osobistych emocji, ale jednocześnie pełną współczucia i sympatii, życzliwą twarz *carte blanche*, której biała pustka nie odstrasza, lecz zachęca patrzącego na nią do zwierzeń. Między tymi dwiema białymi pustkami jest subtelna, ale istotna różnica, która często pokrywa się z udaną lub nieudaną terapią.

Im bardziej może dać pacjentom odczuć, że są rozumiani i że ich problemy nie są wyimaginowane i dadzą się pokonać, tym większa szansa na sukces terapii. Jednak często uważa, że przesadzają z tymi problemami, a ich historie ją nudzą. Kilka razy miała pacjentów, z którymi chętnie zamieniłaby się na życie i problemy, ale takie uczucia stara się stłamsić w zarodku. Zazdrość jest pasożytem, nieładnie zazdrościć komuś sukcesów i szczęścia, ale zazdrosczenie komuś nieszczęść wydaje jej się zupełnie niegodziwe. Mimo to czasami chętnie zamieniłaby się ze swoimi pacjentami, ze Swietlaną na przykład, Białorusinką przychodzącą o różnych porach. Już czterokrotnie wychodziła za męża, a teraz trafił jej się piąty mężczyzna. Co powinna zrobić? Już tyle razy wybierała pieniądze, chciała żyć trochę spokojniej. Źle jej nie jest, ma ładny dom w centrum Springfield, żadnych kłopotów finansowych, ale może trafiłaby jeszcze lepiej. Chodzi w końcu o dyrektora banku.

– Może to moja ostatnia szansa, żeby poprawić sobie pozycję społeczną. Rozumiesz? Tyle się nacierpiałam za czasów Związku Radzieckiego. Na Białorusi nie mieliśmy nawet bieżącej ciepłej wody. Należy mi się chyba trochę wygody na starość? Młodsza już nie będę.

I tak w kółko. Podjęła decyzję już przed przyjściem do psychologa. Pod tym względem była typowym pacjentem. Wiele osób przychodziło nie po poradę, jak uporządkować swoje życie, ale raczej jak nauczyć się żyć z poczuciem winy z powodu dokonanego wyboru.

Swietłana czuła się winna nie całkiem bez powodu i z tym poczuciem winy musiała się nauczyć żyć, jak również ze strachem, że pewnego dnia dyrektor banku porzuci ją dla młodej sekretarki. Już raz pokłóciła się z nim o to. Te i inne lęki obszernie omawiała z Elżbietą.

– Życie jest jak rosyjska ruletka.

Kiedy Elżbieta wypowiedziała te słowa, sama poczuła, że są trochę niestosowne. Własną nieufność wobec męskiej wierności, którą próbowała stłumić, licząc na coś więcej z Didierem, chętnie zamieniłaby na strach Swietłany przed związkiem. Czasami taki strach wywodzi się z poczucia, że coś innego i lepszego czeka za rogiem. Strach Elżbiety wręcz odwrotnie: z obawy, że może stać się coś złego, jeśli pozwoli sobie naprawdę pokochać mężczyznę. Mężczyźni odchodzą.

*

– Zbyt sentymentalni ludzie nie mają szans w tym zawodzie – zwierzył się ojcu Bill Frenzel przed wielu laty. – Zamiast koncentrować się na zysku, zajmują się szukaniem właściwych rąk dla kosztownych przedmiotów. Mają nadzieję zapewnić starym meblom nową przyszłość. W moim antykwariacie obowiązuje tylko jedna zasada, najwyższa cena. Nie za bardzo mnie obchodzi, co nowy właściciel zrobi z meblem.

Siedzieli w siedemnastowiecznym pubie The Green Dragon w centrum Bostonu. Nigdy wcześniej nie rozmawiali ze sobą, chociaż znali się z widzenia, ponieważ ojciec Elżbiety lubił zaglądać przez szybę do środka sklepu. Nie znali się, ale kiedy rozpoznali się przypadkowo w Bostonie, z dala od domu, po raz pierwszy zamienili kilka słów. W rodzinnym mieście byli sobie obcy, lecz daleko od domu stali się znajomymi twarzami tak jak turyści z tego samego kraju, których ścieżki krzyżują się przez przypadek w odległym miejscu. W normalnych warunkach nie zwróciliby na siebie uwagi, ale na wakacjach wspólny język i pochodzenie stają się nagle wystarczającym powodem do towarzyskiej pogawędki. Antykwariusz zobaczył ojca Elżbiety pijącego whisky przy barze i po prostu dosiadł się do niego, jak gdyby znał go od dawna.

– Czołem, sąsiedzie. Zrobiłem interes życia, co pan pije? Ja stawiam.

Antykwariusz sprzedał kilka kosztownych mebli nowojorskiemu artyście, który zamieszkał w Londynie, żeby – jak sam mówił – „pracować nad narodzinami nowej architektury”. Miał zamiar zrobić krótki film, w którym chciał porąbać na kawałki zakupione antyki, żeby przekształcić je w proste w formie, nowoczesne dzieła sztuki współczesnej.

Jego plan przeciekł do gazety, jeszcze zanim zaczął filmować, więc happening przyciągał coraz więcej uwagi, toteż cena antycznych mebli znacznie wzrosła. Znaleźli się konserwatyści, którzy chcieli ratować dziedzictwo kulturowe z rąk artysty, ale nowojorczyk zaoferował lepszą cenę.

Ojciec słyszał nieco o tym zamieszanu, jednak kiedy samozwańczy sąsiad jeszcze raz opowiedział mu całe zdarzenie, uznał, że właściciel pubu ma pełne prawo natychmiast wyrzucić go za drzwi. To perfidia chwalić się przy barze siedemnastowiecznego pubu, że z chęci zysku skazuje się światowy dorobek na zniszczenie, żeby zarobić duże pieniądze na potrząskaniu kawałka historii.

Dzień przed trzydziestymi urodzinami znalazła się z ojcem w jego antykwariacie. Zamierzał jej kupić szkatułkę na biżuterię, którą zobaczył na wystawie, chociaż właściwie nie chciał dać zarobić ani centa temu draniowi. Szkatułka przypominała pudełeczko stojące na szafce nocnej matki. Elżbieta powiedziała, że nie chce żadnego prezentu na urodziny. Nie miała ochoty na podarunki, ale trudno było jej się od tego wywinąć.

– Nie kupuje się tu zwykłej starej szkatułki, ale kawałek historii! – rzekł antykwariusz, na co ojciec nieznacznie kiwnął głową i prawie niedostrzegalnie

przewrócił oczami. Elżbieta знаła historię z pubu, rozumiała, że ta gadka go irytuje. Zatem Bill Frenzel naprawdę uważał, że sprzedaje historię, ale jeśli o niego chodziło, historia mogła się nagle skończyć, byle w jego kasie zabręczało.

Kiedy na słowa antykwariusza w pubie ojciec Elżbiety oznajmił, że wcale nie zgadza się z tym, żeby antyki rozbijać w drobny mak, niewzruszony antykwariusz odpowiedział:

– Każdy ma swoje zasady i priorytety. To jest jedyna zasada, której się zawsze trzymam.

*

– Widzę... – Antykwariusz wzdycha głęboko, wyraźnie waha się, czy ma powiedzieć to na głos. – Widzę, że wszystko stoi jeszcze na swoim miejscu. Zazwyczaj przychodzę dopiero wtedy, kiedy mieszkania i domy są już niemal opróżnione, i oglądam tylko meble.

– Nie miałam czasu.

– Rozumiem. – Patrzy na ścianę zapełnioną książkami. – Tyle książek. Część z nich też jest pewnie coś warta.

– Wiem o tym.

– Mój brat zna się na starych książkach lepiej niż ja. Może go przysłać? Jesteśmy obecni w zawodzie od trzydziestu lat i znamy się na tym. Zapłacimy uczciwie. Teraz trzeba uważać, zwłaszcza z książkami. Łatwo proponują za niskie ceny. Mojemu bratu można zaufać.

Antykwariusz wyciąga wizytówkę brata – Steve Frenzel. Elżbieta bierze ją do ręki bez patrzenia. Woli nie wyobrażać sobie brata, ale i tak to robi, zastanawia się, czy jest takim samym brudasem. Są w końcu braćmi. Wcale nie jest zainteresowana sprzedażą książek, mają już inne przeznaczenie.

Antykwariusz wyraźnie nie może odgadnąć jej myśli i ciągnie:

– Osobiście jestem zainteresowany obrazami i rysunkami wiszącymi na ścianach oraz przedmiotami leżącymi na biurku.

Mówiąc to, bierze do ręki nożyk do otwierania listów.

– To jest pamiątka po ojcu ojca, moim dziadku. Z Polski. Prawdziwe srebro i komar zastygły w bursztynie.

– Dziadkowie są z Polski?

– Nie, tylko ten nożyk do listów. Nic poza tym.

Elżbietę irytują osobiste pytania. Na litość boską, co za różnica, skąd pochodzą jej dziadkowie? Chcę sprzedać nożyk do otwierania listów, to chyba wystarczy, myśli z kamienną twarzą. Dlaczego sama poruszyłam ten temat?

– Dobrze, zrobię teraz kilka zdjęć mebli, obrazów i rysunków.

– Proszę.

– W ciągu tygodnia przyślę pani maila z propozycjami cen.

- Okay.
- Zakładam, że chce się pani pozbyć tych wszystkich małych przedmiotów.
- Wszystko można sprzedać – odpowiada Elżbieta nieco asekuracyjnym tonem.

W tym momencie słyszy, jak włącza się piecyk w schowku. Od wielu lat nie słyszała tego charczącego dźwięku pracującego grzejnika. Jednak pozostał jej w pamięci tak świeży jak piosenka popowa, której słuchała przed chwilą w samochodzie. Ten hałas budził ją czasami w nocy, kiedy nocowała tu często jako dziecko. Było to nieprzyjemne i jednocześnie miłe, bo dźwięk włączającego się kotła zapowiadał ciepło. Mijało pięć minut, zanim ciepłe powietrze rzeczywiście zaczynało dmuchać do wnętrza domu przez różne kratki w sufitach pokoi. Będąc dzieckiem, Elżbieta lubiła te pięciominutowe chwile, a także dźwięk pracującego kotła: perspektywę mięciutkiego jak puch ciepłego powiewu, kiedy tymczasem jest jeszcze zimno, ale ogrzewa już sama nadzieja zbliżającego się ciepła.

- Wszystko, czyli także pianino?

Elżbieta odnotowuje pełen nadziei ton jego głosu. Kiedy umawiała się z nim kilka dni temu przez telefon na wizytę, wymieniła wszystkie meble, jakie oferowała do sprzedaży. Powiedziała także o pianinie, ale zaraz potem dodała, że zatrzyma je prawdopodobnie dla siebie. Myśl o sprzedaży najcenniejszego dla ojca przedmiotu wywoływała w niej poczucie winy. Poczucie winy zupełnie innej kategorii niż u Białorusinki, która ostatecznie zamieniła życie z przyzwoitym człowiekiem na niepewną egzystencję z bogatym dyrektorem banku. Mimo to są w pewien sposób do siebie podobne. Elżbieta już podczas rozmowy telefonicznej zdecydowała, że nie zatrzyma pianina. Zachowywała tylko pozory wątpliwości, żeby nauczyć się żyć z tym poczuciem winy.

- Jak wszystko, to wszystko, pianino też.

Odwraca twarz w drugą stronę, jak gdyby się bała, że antykwariusz może czytać w jej myślach. Woli zachować je dla siebie.

4

Wbrew sobie

Noc, która nadeszła, była długa. Zimne dreszcze dokuczały mi na przemian z napadami gorąca i zlewnych potów. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłam tak chora. Myśli stały się równie leniwe jak ciało, i wydawało się, że otacza je nieprzenikniona mgła. Ból spowodowany parciem pełnego pęcherza dopiero po jakimś czasie, w ostatnim momencie, rozpoznałam jako polecenie, by wstać i pójść do toalety.

Pozycja pionowa wywołała silny ból głowy u podstawy czaszki. Zdawało się, że mózg wskutek oddolnego ciśnienia chciał wypłynąć przez oczodoły. Bez zapalania światła próbowałam cichutko dotrzeć do ubikacji.

– Potrzeba ci czegoś? – zapytał Bernard; obudził się, ponieważ uderzyłam się o stół.

– Nie, po prostu muszę iść do toalety. Nie martw się. Śpij dalej.

Usłyszałam, jak z powrotem opada na poduszkę. Dlaczego on jest tak cholernie miły? Nawet mnie nie znał, to znaczy mało mnie znał. Nie mogłam sobie przypomnieć, co mu o sobie naopowiadałam, ale prawdy na pewno nie.

W północy poszłam do toalety, załatwiłam się i wślizgnęłam z powrotem do łóżka. Druga noc z kolei z tym samym chłopakiem to było coś nowego. Ta myśl krążyła mi po głowie, ale dreszcze i zimno nie pozwoliły mi połączyć jej z żadną emocją ani znaczeniem. Ani mnie to nie ucieszyło, ani nie zmartwiło. Było, jak było, po prostu. Dwie kolejne noce z Bernardem.

Nigdzie nie widziałam zegara, żeby sprawdzić, która godzina. Musiała być głęboka noc, lecz z biorytmem zakłóconym gorączką trudno było powiedzieć, jak głęboka. Macając, sięgnęłam po ciemku po szklankę wody i tabletkę przeciwgorączkową. Zażyłam ją i patrzyłam w sufit. Dwie noce z Bernardem. Słyszałam, jak oddycha. Właściwie nie było to takie straszne. Nawet nie chciał seksu.

Moje myśli z trudem powędrowały do niedawnej przeszłości i zdałam sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie zasnęłam obok chłopaka, nie kochając się z nim wcześniej. Wielu z nich miało przykry zwyczaj budzić się w nocy, kiedy ponownie ogarniało ich podniecenie. Nagle czułam, jak ich palce głaszczą moje małe piersi, żeby wzbudzić we mnie pożądanie. Nigdy im się nie udawało. Nie potrzebowałam wiele snu, ale jak już spałam, to chciałam, żeby pozostawiono mnie w spokoju. Patrzyłam na Bernarda i choć ledwie go widziałam, to jednak na tyle, żeby wiedzieć, że śpi jak zabity.

Nie mogłam zasnąć. Słyszałam delikatne odgłosy domu, które zwykle znikają w szumie dnia. „W nocy słyszać, jak dom oddycha”, mówił czasami mój dziadek. W dzieciństwie mnie to przerażało, myślałam, że dom żyje i że robimy

coś strasznego, mieszkając w nim. A już na pewno kiedy wbijaliśmy gwóźdź w ścianę, żeby powiesić obraz. Potem sama te dźwięki słyszałam, po północy nasz dom w Huldenbergu trzeszczał pod własnym ciężarem. To były najwspanialsze odgłosy. Czasami specjalnie nastawiałam budzik na wpół do czwartej, żeby jeszcze przed paniem koguta nacieszyć się ostatnimi chrobotami i chrapliwym oddechem starego domu. W pokoju Bernarda trzaski zagłuszali studenci wracający do domu z nocnej eskapady. Najpierw były to odgłosy za oknem, potem chrobot klucza w zamku drzwi wejściowych, słychać było głosy podnieconej pary. Słyszałam, z jakim trudem otwierali drzwi, jak upuścili klucz, śmiech, znowu chrobotanie w zamku, w końcu drzwi się otworzyły i śmiech dolatywał teraz dokładnie z toalety Bernarda. Tak blisko, że mogłam śledzić ich rozmowę.

– Pssst, wszyscy jeszcze śpią – powiedziała studentka.

Śmiali się, słyszałam nawet, jak się całują. Próbowali wchodzić po schodach, ale im się nie udawało. Potem któreś z nich upadło.

– Żyjesz? Pssst, cicho, zaraz wszystkich obudzisz.

Student roześmiał się i powiedział:

– Próbuję się od razu rozebrać. Chodź tutaj albo po ciebie przyjdę.

– Czy nie o to właśnie chodzi?

I tarbosili się dalej.

Słyszałam, że chłopak znowu spróbował wdrapać się na schody, dobiegały mnie też odgłosy naśladowujące pomruki tygrysa. Ta dwójka musiała być nieźle pijana. Zastanawiałam się, jak ja pokonałam drzwi wejściowe. Może zrobiłam to bardzo elegancko i w przypiływie pijackiej brawury przypadkowo weszłam do środka z gracją baleriny. Nic nie pamiętałam i lepiej, żebym sobie nic nie wmawiała. Nawet nie wiedziałam, przy jakiej ulicy stoi to łóżko, już nie mówiąc o tym, że wcale nie pamiętałam, jak wyglądają drzwi i schody. Nie było powodu sądzić, że weszłam tu bardziej elegancko niż oni.

– Powinam mniej pić – szepnęłam sama do siebie.

Takie postanowienie pojawiała się najczęściej po tym, jak urwał mi się film albo miałam na ciele siniak, którego pochodzenia nie potrafiłam wytłumaczyć. Wzdrygałam się, gdy próbowałam świadomie zrekonstruować możliwe przyczyny siniaka. Nie piłam, dopóki siniak był widoczny. Kiedy jednak ślad po moich ekscesach stopniowo nikał, słabła też siła woli, żeby nie pić.

W poszukiwaniu wolności w Ameryce picie i przygody ze zbyt wieloma facetami wymknęły się spod kontroli, ale pocieszałam się myślą, że przynajmniej studia dobrze mi idą. To zawsze pomagało. Tak byłam wychowana: jeśli w szkole i na studiach dobrze sobie radzę, to reszta sama przyjdzie. Powinam tylko uważać, żeby moje upodobanie do mężczyzn nie było silniejsze od upodobania do książek. Czyżbym zaczęła dostrzegać, że życie studenckie w Stanach nie stało się takim wyzwoleniem, jak mi się zdawało?

Kiedy wrócę do Belgii, wezmę się w garść i spoważnieję, obiecałam sobie już w samolocie do Nowego Jorku. Chciałam sobie zafundować rok rozrywki w *the land of the free*, miał mnie on przygotować na poważny związek i wszystko, co jest z tym związane. Nie chciałam potem żałować, że coś mnie w życiu ominęło, że muszę coś nadrobić. Tak jak święty Augustyn, o którym mój ojciec wyrażał się zawsze z największym podziwem, miałam najpierw żyć rozpustnie, a potem przykładnie. Ojciec był osobliwym człowiekiem, wzbudzał jednocześnie szacunek i strach. Nigdy się go nie bałam, bo byliśmy zbyt podobni do siebie, ale jego uczniowie, a nawet koledzy nauczyciele nie potrafili wejść z nim w inne relacje niż tylko podwładny – przełożony.

Kiedy w szkole był jakiś problem, wzywano go zawsze jako negocjatora. Jego słowa i opinia były ważniejsze od zdania dyrektora. Na boisku szkolnym zapadała cisza, gdy ojciec przechodził z jednej klasy do drugiej. Uczniowie zaczynali mówić szeptem, jakby nie chcieli mu przeszkadzać. Mój ojciec wydawał się zawsze pogrążony w myślach. Czasami mruczał coś do siebie, śmiał się do swoich przed chwilą wypowiedzianych słów albo patrzył w wielkim skupieniu. Nikt nie śmiał zapytać, o co chodzi. Ludzie cofali się zwykle o krok, żeby nie wchodzić w jego pole widzenia i nie wytrącić z zadumy. Zadziwiające było to, że nikt nigdy nie widział go zdenerwowanego, nie pamiętał, żeby ojciec podnosił głos, wytargał kogoś za uszy lub ukarał ucznia. Nikt nie wiedział, jak ojciec wymusza ten szacunek, ale kiedy się pojawiał, robiło się cicho. Co niedziela oddalał się po mszy, żeby poczytać fragmenty Biblii. Nawyk wyniesiony z czasów, gdy przebywał w kolegium jezuickim. Kiedy po sześciu latach przeczytał Biblię po raz drugi, zaczął czytać dzieła Augustyna. Często opowiadał o nich wieczorem przy obiedzie. Od niektórych przyjaciółek wiedziałam, że u nich przy stole musiało być cicho, u nas wręcz odwrotnie. Zdaniem ojca przy stole należało rozmawiać, najlepiej dużo i jednocześnie. Obiad był wspaniałym spoiwem rodzinnym i towarzyskim. Nic nie wiąże ludzi lepiej niż dzielenie się słowem i jedzeniem.

Podczas pierwszego roku moich studiów w Leuven omawialiśmy na kursie wstępnym filozofię Augustyna. Wyciągałam druty i robiłam szal, ponieważ uważałam, że wszystko już o nim wiem – dopóki nie poruszono kwestii jego kochanek i nieślubnych dzieci. Rozmawiałam potem o tym z ojcem, miałam poczucie, że przewracam jego święty domek z kart.

– Nic o tym nie mówiłem, ale to nie znaczy, że o tym nie wiedziałem. Kiedy pójdziesz z nami do kościoła? Może lepiej się pomodlić, zamiast liczyć grzechy innych.

Od dzieciństwa chodziłam do kościoła z pewnym oporem. Lubiłam właściwie tylko muzykę graną w czasie świąt i sam budynek. Mogłam godzinami patrzeć na sklepienie i czułam, jak mnie ta wysokość unosi. Bliżej Boga nie dotarłam, ale mój ojciec wydawał się w trakcie mszy całkowicie pochłonięty

rozmową z nim. Sposób, w jaki się modlił, jego usta poruszające się prawie niedostrzegalnie, i to nawet kiedy nie trzeba było się modlić, przekonywały mnie, żeby iść do kościoła. Jego rozmodlona twarz przypominała świętego, a świętym się nie odmawia. Potem rozpoczęłam studia. Wykłady i nauka stały się dla mnie tak ważne, że chodzenie do kościoła uważałam za nieodpowiedzialną stratę czasu, nawet kiedy ojciec wyraźnie prosił, żeby mu towarzyszyć. Nie tęskniłam za tym, zdawało mi się, że już wcale nie będę chodziła do kościoła, z wyjątkiem ślubów i chrzcin w rodzinie. Jednak w Ameryce zostałam w to mimowolnie wciągnięta.

– Pójdziemy na mszę przed śniadaniem czy po, kochana? – zapytała moja współlokatorka Julia, która do wszystkich zwracała się „kochanie”; do mnie od razu w pierwszym tygodniu.

Dla niej było oczywiste, że z nią pójdę. Więcej, było oczywiste, że cały świat chodzi do kościoła. Jeszcze nigdy nie spotkała kogoś, kto tego nie robi, oczywiście poza Żydami, bo ci chodzili do synagogi, ale jej zdaniem to był także kościół, o poważnie brzmiącej nazwie, który odwiedzało się w piątki, a nie w niedzielę. Dla niej wszystko sprowadzało się do tego samego: każdy miał swojego Boga, do którego się modlił, i budynek, w którym się modlił. Poszłam z nią z ciekawości, bo chodziła do kościoła metodystów. Potem co tydzień szłam do innego kościoła. Odbywałam coś w rodzaju wycieczek antropologicznych, bo Ameryki nie można zrozumieć, jeśli nie pozna się jej kościołów. W kościołach zawierałam przyjaźnie szybciej i częściej niż w pubach czy domach studenckich. Dopiero tam poznałam Stany naprawdę, ich różnorodność i jedność w tej różnorodności, powierzchowną otwartość, której można pozazdrościć bardziej niż szczerego zaangażowania większości Europejczyków.

Gorączka ustępowała i było mi coraz cieplej. Za ciepło, denerwowało mnie ciepło wydzielane przez ciało Bernarda. Chciałam być sama. Rozbiegane myśli krążyły po głowie, przerzucały mnie od przeszłości do teraźniejszości i z powrotem. W końcu przypomniałam sobie o nawróceniu Augustyna i o tym, że uznano go za Ojca Kościoła. To przyniosło mi wreszcie spokój. Dla Kościoła katolickiego nawet największe niegodziwości nie są przeszkodą, by uznać kogoś za świętego. Zatem nie jest jeszcze za późno. Nigdy nie jest za późno. Mogę się nawrócić, rozpocząć od nowa. Z tą myślą w końcu zasnęłam.

*

– Dzień dobry, Nino. Dobrze spałaś? Dzisiaj masz już trochę lepszy koloryt twarzy – powiedział Bernard.

Nakrywał stół do śniadania tak samo jak wczoraj: przesunął biurko, żeby po drugiej stronie zmieściło się krzesło i żeby mogła siedzieć na łóżku. Wstałam jednak, żeby rozprostować nogi. Fioletowo-biała koszulka Amherst College, którą dostałam od Bernarda, była na szczęście na tyle długa, że zakrywała mi pupę.

Opowiedziałam mu osobliwy sen, który mnie obudził. W olbrzymim lodowatym kościele stała pośrodku ołtarza duża, jaskrawo świecąca lampa – w rodzaju tych używanych w kryminałach – skierowana w trakcie przesłuchania na poturbowanego podejrzanego. Ksiądz wziął ją do ręki, poświecił mi nią prosto w twarz i kazał się spowiadać. Krzyczałam, że jestem niewinna, ale ksiądz nie wierzył i groził mi surowymi karami.

Bernard zapytał, czy dręczą mnie wyrzuty sumienia. Tylko ludzie pozbawieni skrupułów nie mają nic na sumieniu, przemknęło mi przez głowę, ale nie miałam siły wypowiedzieć tej myśli. Bernard zaczął wyjaśniać, że dziwaczne sny są typowe u chorych.

– Mnie też często gnębią dziwne sny, nawet jak nie jestem chory – powiedział. – Ostatnio śniło mi się, że jadę pociągiem z Enrico Caruso do Filadelfii. Zaśpiewaliśmy razem *Una furtiva lagrima*. Pasażerowie zaczęli klaskać i wtedy zdałem sobie sprawę, że poza mną wszyscy w tym pociągu od dawna nie żyją, i ogarnął mnie strach. Wiem, że to nie ma sensu... wcale nie potrafię śpiewać.

Bernard miał szczególne poczucie humoru, ale przynajmniej miał. Poczucie humoru myli się często z opowiadaniem dowcipów. Trzeba poznać kogoś z poczuciem humoru, żeby się przekonać, że humor łączy się z inteligencją, a nie z żartowaniem.

Poszłam do toalety, w której była mała umywalka i lusterko. Zaklęłam głośno, kiedy zobaczyłam w nim swoją twarz naznaczoną chorobą.

– Czy coś się stało? – zapytał Bernard z niepokojem. Zajrzał do toalety, bo się zorientował, że jeszcze się nie wysiusiałam. Pewnie nie wiedział, jak zareaguję, kiedy mnie zobaczy.

– Wyglądam niczym panda. Maskara rozmazała mi się na policzkach.

Próbowałam zmyć makijaż wodą.

– To jest teraz najmniejszy problem, wyglądasz naprawdę dużo lepiej niż wczoraj – powiedział, próbując mnie pocieszyć. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że jego słowa można zinterpretować rozmaicie.

– Lepiej niż wczoraj? – mruknęłam zniechęcona. – To jak ja musiałam wczoraj wyglądać?

Uporczywe ślady tuszu nie dawały się zmyć.

– Jeśli chcesz, możesz wziąć prysznic – zaproponował Bernard. – Mam wspólną łazienkę z dziewczyną mieszkającą nade mną. Jest czysta, jak na standardy studenckie. Ale ręcznik i mydło zabieram zawsze do pokoju. Nie dowierzam jej, odkąd ma chłopaka. Mydło ciągle zmieniał miejsce, a ręcznik był czasami wilgotny.

Bernard wziął ręcznik i chciał wyjąć mydło z szafy, ale podziękowałam mu za propozycję i pomyślałam o tygrysiach pomrukach, które słyszałam poprzedniej nocy na schodach

– Umyję się w domu. Teraz zjedzmy po prostu śniadanie.

Chciałam wrócić do domu, umyć się i położyć do łóżka. Czułam, że muszę poleżeć jeszcze przez kilka dni. Choroba wciąż mnie trzymała i nie chciałam sprawiać dłużej kłopotu Bernardowi. Jednak uważałam, że nie mogę zniknąć zaraz po śniadaniu, żeby nie okazać się niewdzięcznicą.

Ból głowy dawał o sobie znać coraz silniejszym pulsowaniem w skroniach, coraz więcej myśli kłębiło mi się w głowie. Oczywiście nie wiedziałam na pewno, czy Bernard myśli o nowym związku, czy z natury jest taki dobry i troskliwy. Może i to, i to. Myśli straciły wyraźny kierunek, wciąż patrzyłam na Bernarda i udawałam, że uważnie słucham tego, co mówi.

Bernardowi najwyraźniej to nie przeszkadzało. Mówił o wszystkim i o niczym, spokojnie i zarazem z zapałem. Tematy zmieniały się co chwila. Miał dar wypełniania ciszy słowami prowadzącymi wszędzie i donikąd. W jakieś pół godziny dowiedziałam się, dlaczego wybrał ten pokój, że miał starszego brata Oliviera, chętnie jadał jajka, że jedna kawa dziennie wystarczy, najlepiej pita wcześniej rano, a potem lepiej przerzucić się na herbatę. Jednocześnie zrobił dzbanek świeżej herbaty i rozlał ją dokładnie po pięciu minutach parzenia. Dla tej ilości wody i herbaty był to czas potrzebny do uzyskania optymalnego aromatu i odpowiedniej mocy. Podsumował wczorajszy poranny wykład i nie potrafił ukryć podziwu dla swojego profesora.

– W przyszłym tygodniu, jak się lepiej poczujesz, naprawdę musisz przyjść. Nie można przyjechać tutaj na studia i nie chodzić na jego wykłady.

– Zobaczę, najpierw muszę wyzdrowieć.

Herbata stygła powoli i skoncentrowałam się na nowej fali słów wypływających z ust Bernarda. Wiele mi umykało z tego, co mówił. Dopiero kiedy nadmienił, że ćwiczy adagio z *Koncertu c-moll* Marcella, mój mózg się zmobilizował i Bernard mógł liczyć na nieco więcej uwagi.

– Ćwiczysz w swoim pokoju czy trąbka robi za wiele hałasu i przeszkadza sąsiadom z góry?

– Zwykle uważa się, że trąbka zawsze brzmi głośno i jest agresywnym instrumentem, który prowadzi armie do ataku. Jak już wcześniej wspomniałem, ty potrafisz to robić po prostu swoimi oczami.

– Czy porównałeś właśnie moje oczy do dwóch trąbek? Raczej nietypowe, ale potraktuję to jako komplement.

– To jest komplement... Trąbka potrafi brzmieć jednocześnie silnie i miękko. I jest równie urocza. Można z niej wydobywać najbardziej delikatne dźwięki, subtelne i zarazem wyraziste. To jednak wymaga czasu. Najczęstszym błędem początkującego trębacza jest za głośna gra.

– Zagrasz coś dla mnie? – zapytałam, chociaż obawiałam się, że nie zadziała to dobrze na nekający mnie wciąż ból głowy.

– Może innym razem. Najpierw muszę poćwiczyć. Poza tym trąbka leży w sekretnym miejscu. Nie zawsze trzymam instrument w pokoju. Wiem, jacy są studenci. Nie zawahaliby się zamienić jej na mały zapasik alkoholu, gdybym ją tu zostawiał. Czy zjesz coś jeszcze, Nino, czy mogę posprzątać ze stołu?

– Nie nazywam się tak.

– Jak nie?

– Nina.

– Nie?

– Wiem, głupio kłamać co do swojego imienia. Ale ja nie mam instrumentu, który muszę chronić. Nie wiem nawet, czy posiadam coś wartego ochrony. Więc chronię swoją tożsamość.

– Przed czym? – zapytał Bernard. Wydawał się wstrząśnięty moim wyznaniem.

Przed czym? Tego pytania się nie spodziewałam. Rzeczywiście, przed czym chroniłam swoją tożsamość? Mogłam mu powiedzieć, dlaczego wybrałam to, a nie inne imię. Miało to związek z moimi perfumami L’Air du Temps Niny Ricci. Jednak nie zadał mi pytania dlaczego, tylko przed czym.

Zapadła długa cisza, która świadczyła o tym, jak trudne potrafią być proste pytania. Patrzyłam przed siebie i próbowałam znaleźć odpowiedź. Nagle pomyślałam o Augustynie, jasnym świetle lampy skierowanej na mnie przez księdza. Wobec racjonalnej, przemyślanej rozwiązalności mojego życia w Stanach Zjednoczonych najuczciwsza odpowiedź brzmiałaby prawdopodobnie tak: Nie chciałam, żeby moje prawdziwe imię, Anna, było łączone z moimi wybrykami tutaj.

– Obawiam się, że przed sobą.

Patrzyłam mu prosto w oczy. Bernard uśmiechnął się, ale zdaje się, że nie bardzo rozumiał, co ta odpowiedź ma oznaczać.

– Czy to prawda, że przyjechałaś tu na rok i że pochodzisz z Belgii, Anno?

Zaakcentował moje imię, wymówił je głośniejszym i bardziej rozwlekłym głosem. Przytaknęłam i musiałam się znowu położyć. Opuszczenie łóżka byłoby jednak przedwczesne.

*

Kilka godzin później zmobilizowałam wystarczająco dużo energii i postanowiłam wyjść. Bernard chciał, żebym została dłużej i odzyskała siły. Zawiazywałam właśnie sznurowadła niewysokich botków, kiedy podjął daremny trud zatrzymania mnie przy sobie. Był w tym odcień błagania, więc zastanawiałam się, czy chodzi mu bardziej o moje zdrowie, czy o własny nastrój.

– Zostań, za słaba jesteś. Mogę ugotować jakąś zupę. Czy w ogóle masz jakieś jedzenie w domu?

Kiedy przekonał się, że moja decyzja jest ostateczna, wyciągnął buty spod stołu i zaczął je wkładać.

– Co ty robisz?

– Wkładam buty.

– Uważasz, że nie trafię do domu?

– Oczywiście, że trafisz. Amherst to mała miejscowość, trzeba się bardzo starać, żeby zabłądzić. Pójdę z tobą, nie chcę, żebyś szła sama z tą gorączką.

– Mam niedaleko.

– To żaden kłopot.

Schylona pozycja przy zapinaniu butów spowodowała ponowną falę bólu głowy. W głębi duszy poczułam ulgę, że mnie odprowadzi i że wcale nie musiałam go o to prosić.

Po drodze milczeliśmy. Bernard co parę chwil nabierał powietrza – sprawiał wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale milczał. Tak jakby swoim oddechem na nowo żywił ciszę. Widocznie zawiodła go umiejętność jej wypełniania. Chciałam coś powiedzieć i podziękować mu za opiekę, lecz musiałam patrzeć na chodnik. Koncentrowałam się na każdym kroku, nogi poruszały się do przodu, jednak nie do końca nad nimi panowałam. Gorączka i wiele godzin leżenia w łóżku zaburzyły moje poczucie równowagi. Gdybym patrzyła przed siebie lub na Bernarda, pewnie bym upadła. Widocznie to zauważył, bo wziął mnie pod rękę.

– Szkoda, że cię nie będzie, jak wrócę – powiedział miękko.

– Co masz zamiar dzisiaj robić?

Ścisnęłam jego ramię na znak, żeby tak nie pędził. Wysilek zaczął mnie wyczerpywać. Bernard zwolnił i chwycił mnie mocniej. Chyba ucieszył się z tego pytania, mógł je wykorzystać w nowym potoku słów. Zaczął mówić bardzo spokojnie, jakby miał nadzieję, że wolny rytm słów pomoże mi poczuć się lepiej.

– W ciągu dnia nic specjalnego. Chcę trochę poczytać i pouczyć się. Ale o ósmej wieczorem mam spotkanie z kilkoma studentami. Założyliśmy klub o nazwie Exiles, banici. Studiujemy na jednej z najlepszych placówek w kraju, a mamy poczucie, że czegoś nam brakuje we współczesnym sposobie nauczania i prowadzenia badań. Studiuję muzykę i fizykę, jednak nadal mam poczucie, że czegoś brakuje w moim rozwoju, jakiejś ogólnej wiedzy, *Bildung*, jak my to nazywamy. Nie tylko ja tak myślę. Próbujemy wypełnić tę lukę za sprawą wspólnych dyskusji i debat w naszej grupie. W czasach, kiedy wszystko musi być łatwiejsze i ograniczone, dla nas może być trudniejsze i nieograniczone.

– Ile was jest?

– Tylko sześcioro. Więcej się nie zmieści.

– Gdzie się nie zmieści?

Czułam, że jest mi niedobrze.

– W gabinecie profesora Vernona.

Kiedy Bernard wymawiał te słowa, zwymiotowałam na krzak, obok którego właśnie przechodziliśmy.

5

Zapach duchów

Minęła prawie godzina, a Elżbieta dopiero teraz przypomina sobie, że ma w torebce stary, niezbyt szczelny kubek termiczny z kawą. Odmawia jakieś pogańskie zaklęcia i ma nadzieję, że nie przeciekł i nie zostawił plam na torebce. Jest na to za droga. Elżbieta nie przywiązuje wagi do spraw materialnych, ale ta torebka jest symbolem niezamierzonej wolności, którą ceni.

Cztery imprezy *baby shower* w ciągu dwóch miesięcy były dużym wysiłkiem, ale kiedy niedługo potem Sara oświadczyła, że jest w ciąży, Elżbieta wzięła dzień wolny. Pod pretekstem, że wstała z nieznośnym bólem głowy i nie da rady pracować, czyli głównie słuchać, poszła po zakupy. To było tylko połowiczne kłamstwo: przez szum w głowie naprawdę czuła, że nie jest w stanie słuchać. Miała ochotę zrobić coś, czego jej przyjaciółki nie mogły zrobić z powodu zbliżającego się macierzyństwa, czyli w beztroskiej ciszy i spokoju pozwolić sobie na zakup czegoś luksusowego.

Po prawie dwugodzinnej jeździe samochodem weszła do butik Chanel przy Boston Public Garden, oazy nieodzownego spokoju i zbędnego bogactwa. Granatowa torebka z miękkiej skóry jagnięcej kosztowała prawie tyle, ile wynosiło jej miesięczne wynagrodzenie, lecz nie widziała żadnego powodu, żeby jej nie kupować lub mieć poczucie winy. W domu nie czekała na nią żadna buzia do nakarmienia i nie było na to żadnych nadziei. Nie musiała się z nikim liczyć i przed nikim tłumaczyć. Kilka miesięcy później, kiedy Sara mogła opuścić szpital po urodzeniu dziecka, a w domu czekały na nią rozemocjonowane przyjaciółki, torebka Elżbiety zebrała tyle samo komplementów co płaski nosek niemowlęcia.

Myśli o tym i upija łyk. Marszczy brwi, kiedy przetyka niesmaczną, letnią kawę. Jednocześnie stwierdza z ulgą, że nie zostawiła na torebce żadnych śladów.

Sara wpadła do niej wczoraj, żeby dodać jej odwagi. Nie mogła zostać długo z powodu dziecka.

– Dajesz sobie radę? Nie musisz opróżniać całego domu od razu. Mojej mamie zajęło to cały rok po śmierci babci. I jeszcze ciotki jej pomagały.

– Nie chcę tego odkładać. Opóźnianie nie przynosi ukojenia. Im dłużej to potrwa, tym dłużej będzie się za mną ciągnęło.

– Tak mi przykro, że musisz przez to przechodzić.

– Są gorsze sprawy. W sumie należę do szczęśliwców. W końcu wszyscy są obarczeni tym zadaniem. Zazwyczaj rodzice umierają wcześniej od dzieci. To dzieci powinny chować rodziców, a nie odwrotnie. Teraz nadszedł ten czas, więc właściwie jest to normalna kolej rzeczy.

– Pewnie tak, ale to nieprzyjemny obowiązek. Bardzo to smutne, że coś, co uważamy za tak normalną kolej rzeczy, że powinniśmy mieć się za szczęśliwców

z tego powodu, jest jednocześnie takie gorzkie i nieuczciwe.

Zdaniem Elżbiety nieuczciwość była nieodpowiednim słowem. Przeciwnie. Decyzja o losie mienia ojca wcale nie wydawała jej się taka trudna. Dla wielu ludzi rzeczy zmarłych bliskich stają się relikwiami. Śmierć wyznacza granicę między tym, co jest w życiu niezbędne, a co błahe. Szczotka matki z kilkoma jej włosami. Okulary ojca ze śladami palców na szklach. Wyrzucenie tych przedmiotów wydaje się niemal zbezczeszczeniem świętości, ale zachowanie wszelkich cząstek organicznych na pamiątkę przeczy zdrowemu rozsądkowi.

Elżbieta jest przekonana, że nie będzie miała kłopotu z odróżnieniem tego, co błahe, od tego, co konieczne. Zamierza naszykować duże worki na śmieci i sprawnie przejrzeć wszystkie szafy. Ileż to roboty? Najpierw szafa z ubraniami. Trzeba je włożyć do worków i wrzucić potem do kontenerów Armii Zbawienia. Książki powkładać do pudeł. Należy przejrzeć wszystkie dokumenty i zdecydować, co można wyrzucić, a co zachować. Talerze i szklanki zapakować w gazety i także powkładać do pudeł.

Mahoniowa szafa z epoki wczesnowiktoriańskiej ma troje łukowatych drzwi oraz lustro w środkowej części. Kiedy otwiera drzwi pierwsze z prawej, przebiega ją zimny dreszcz. Słyszała kiedyś, że wywołuje go obecność ducha. Nie wierzy w istnienie duchów, ale nie może uciec przed zapachem ojca. Jego woń zdaje się wypełniać cały pokój. W ostatnich latach jego ubrania coraz bardziej pachniały naftaliną. Nie może stłumić nieznośnego uczucia łączącego się z tym wspomnieniem. Nos wypełnia nikły zapach kamfory i starych ubrań, które pachną wilgocią, chociaż są zupełnie suche. Wychodzi z sypialni, żeby uciec przed zapachem nieistniejących duchów. Może lepiej najpierw opróżnić gabinet, a potem zabrać się do ubrań.

Wraca do salonu na krótki odpoczynek, który nie przynosi jej wcale ukojenia. Nigdy nie potrafiła tego powiedzieć, a teraz, po śmierci ojca, raczej o tym nie myśli, jednak jej zdaniem ten dom jest bardzo piękny. Niezwykle stylowy, chociaż nie w jej stylu. Wszystkie meble doskonale pasują do wnętrza. Ojciec potrafił pieczołowicie i długo wybierać odpowiednią komodę lub stół. Wolał, żeby w salonie przez długi czas wisiała goła żarówka niż kupiony pochopnie, nieodpowiedni żyrandol, który nie pasowałby do wystroju.

– Na szczęście Edison rozpowszechnił żarówkę kilkadziesiąt lat przed dotarciem modernizmu na ten kontynent. Więc jest jeszcze nadzieja, że kupię coś eleganckiego – powiedział, kiedy wprowadził się do tego domu. Dopiero po czterech latach znalazł odpowiednie oświetlenie. Tymczasem wolał siedzieć w salonie w półmroku.

Elżbieta wstaje, żeby poprawić wiszący krzywo portret nieznanego mężczyzny. Nie ma pojęcia, dlaczego ojciec chętnie patrzył w salonie na obraz całkowicie obcego człowieka. Gdy go kiedyś o to zapytała, odpowiedział, że wisi

on już tak długo, że nie jest obcy. Teraz dla niej też nie jest obcy. Nie chce się jednak przyznać, że przyzwyczaiła się do tego nieznanego mężczyzny i jego wzroku. Nie chce uważać tych mebli i obrazów za ładne. Nie chce się przywiązywać do rzeczy ojca. Chce je tylko sprzedać, oddać, zapomnieć i żyć własnym życiem.

– Znienawidziłabym te meble u siebie – pociesza się w duchu.

Przyjechała po to, żeby opróżnić szafy, posortować rzeczy, zdjąć obrazy ze ścian, a nie żeby wszystko zostawić porządnie na miejscu i tylko się przyglądać. Nie po to, żeby wszystko naprawić. Na to jest za późno. Tu nie ma miejsca dla tych rzeczy, u niej też nie. Próbuje przekonać samą siebie, że jest silna i gotowa na to, żeby na dobre zamknąć rozdział „ojciec”. Z satysfakcją przekrzywia obraz na ścianie i przechodzi do gabinetu.

*

Jej wzrok pada na nożyk do otwierania listów, który niecały tydzień wcześniej antykwariusz tak chciwie obracał w palcach. Przyjechał przedwczoraj, żeby zapakować drobne meble na furgonetkę. Przyjedzie jeszcze kilka razy w następnych dniach. Elżbieta obraca teraz nóż powoli, ogląda go pod światło. Bursztyn na jego końcu jest jasnożółty. Z czułością obserwuje komara, który miliony lat temu ugrzązł w żywicy i jego ulotne istnienie zostało w niej uwiecznione. Biedactwo, jak tam trafił? Jedno skrzydełko jest ułamane. Elżbieta zastanawia się, czy właśnie dlatego nie mógł odlecieć, kiedy zbliżała się żywica. Czy dosięgła go, bo miał ułamane skrzydełko, czy złamało się przy próbie ucieczki od lepkiego przeznaczenia?

Elżbieta widzi w tym banalnym komarze odzwierciedlenie życia ojca. On też nie zdołał uciec od swojego losu i wznieść się ku przyszłości. Może to nie była bezsilność, ale niechęć. Albo bezsilność wynikająca z niechęci. Od czasu rozwodu zastygał tylko powoli w żywicy upływającego czasu.

Elżbieta kładzie nożyk z powrotem na zdumiewająco uporządkowanym biurku. Po lewej stronie leżą dwa zeszyty z cytatami. Ojciec był mistrzem w wyszukiwaniu cytatów, używał ich do podbudowania swojego stanowiska w dyskusji. Czasami szermował nimi zbyt rozrzutnie i Elżbieta miała wtedy wrażenie, że wypowiada się ktoś obcy. Wszystkie kartki z każdej okazji: urodzin, śmierci, narodzin czy choroby były obowiązkowo opatrzone cytatem. Elżbieta mówiła czasami żartobliwie i zarazem z wyrzutem, że ojciec umrze z cytatem na ustach. I tak się stało, pomyślała. Jego ostatnie słowa były zapożyczone z jakiegoś niemieckiego wiersza. Szeptał je z trudem, patrząc prosto przed siebie, dlatego wydawało się, że nie są skierowane do córki, a potem zasnął z otwartymi oczami. Elżbieta nie wierzy w dziwne opowieści, już nie pamięta, od kogo słyszała te bajki o zmarłych, którzy czekają na umierających, o zmarłych znajomych i bliskich,

gromadzących się przy łożu śmierci, żeby powitać nową duszę. A jednak zastanawiała się, czy ojciec nie kierował tych słów do kogoś w pokoju, dla niej niewidzialnego.

Obok zeszytów z cytatami na biurku leży książka, którą ojciec czytał przed śmiercią. Dokładnie pośrodku blatu stoi zielona lampka, a przed nią znajduje się skórzany pojemnik na przybory do pisania i pieczętka. Elżbieta bierze ją do ręki i odciska na czystej kartce, leżącej przy zeszytach z cytatami. Przyciska lekko pieczętkę i eleganckie litery imienia i nazwiska ojca pojawiają się na białym papierze: Raymond Vernon. Elżbieta zna je dobrze. Nigdy się nie podpisywał. Każdy swój list stemplował na odwrocie koperty tą pieczętką. To musiało wystarczyć. Nawet życzenia urodzinowe, ozdobione cytatami z Schuberta i Dantego, były opatrzone pieczętką.

Ray. Dokładnie pamięta, kiedy zaczęła się do niego zwracać po imieniu. Pierwszy raz nie bezpośrednio, ale przez telefon, w jego obecności. Na swoje dwudzieste urodziny kupiła sobie pierwszy telefon komórkowy. Siedziała z ojcem na tarasie, kiedy telefon zadzwonił.

– Nie mogę teraz rozmawiać, jestem u Raya. Zadzwoń wieczorem. *Bye*.

Ojciec zrobił duże oczy, lecz nic nie powiedział.

Jeszcze raz przyciska pieczętkę, tym razem przesadnie mocno, i myśli o swoim biurku ze stertą zapłaconych i niezapłaconych rachunków. Obok leżą rozmaite książki i broszury, do których prawie nie zagląda. Są jednak zbyt ważne, żeby je wyrzucić. Gdyby ktoś musiał opróżnić jej dom, nie wiedziałby, od czego zacząć. Kiedy się rozbiera, żeby włożyć piżamę, ma zwyczaj rzucać ubranie beładnie na fotel albo komodę w sypialni. Potem od razu wsuwa się do łóżka, a rano tak się spieszy do pracy, że nie ma czasu wrzucić rzeczy z poprzedniego dnia do kosza na brudy lub, jeśli są jeszcze czyste, odłożyć do szafy. W związku z tym w sypialni gromadzi się góra ubrań, aż w końcu w szafie wisi ich mniej niż porzrzuconych po pokoju. A zlewozmywak w kuchni jest zawsze zapełniony stertą brudnych talerzy, szklanek i sztućców, bo do zmywania zabiera się dopiero wtedy, kiedy całkiem zabraknie czystych naczyń.

Porządek i brak porządku – to była największa różnica między nimi. I chociaż był to narastający problem, zwłaszcza kiedy mieszkała u rodziców na zmianę, odmawiała sprzątnięcia pokoju. Kiedy opuszczała dom ojca, zawsze zostawiała swoje rzeczy porzrzucone po jego gabinecie. Za każdym razem prosił ją uprzejmie o posprzątnięcie. Ciągłe odmawiała, poirytowana bardziej jego uprzejmością niż samą prośbą. Każda cecha, której nie dzieliła z ojcem, była małym triumfem natury, zwycięstwem nad genami, jego genami. Utrzymywanie porządku było czymś dla nudnych ludzi, takich jak ojciec. Jej życie było zbyt cenne, żeby tracić czas na sprzątnięcie. Próbowwała to wmawiać innym, a przede wszystkim sobie, kiedy czasem miała ochotę uciec z domu, żeby nie patrzeć na

bałagan.

Wielokrotnie zwierzała się swoim pacjentom, że nie lubi sprzątać. Ta szczerosc miała im pomóc w przyznawaniu się do własnych niedoskonałości. Nie wie, czy to naprawdę działało. Wie jedynie na pewno, że jej niedoskonałości są znacznie bardziej szkodliwe, niż próbuje wmówić innym. Często słyszała w trakcie związku, a przede wszystkim po zerwaniu, że jest niezdolną bałaganiarą. Didier także stawiał ją przed lustrem, w którym wołała się nigdy nie oglądać.

– Jak myślisz, dlaczego w ostatnich miesiącach nie pijam u ciebie kawy? – warknął, kiedy tak późno zjawiała się w restauracji.

– Naprawdę mamy teraz rozmawiać o kawie? Nie masz nic lepszego do powiedzenia?

– Bo filtr do kawy jest zapleśniały. Nigdy, ale to nigdy nie myjesz ekspresu do kawy, od dnia zakupu. Już trudno, że nie usuwasz kamienia, ale że nigdy nie myjesz filtra i dzbanka, to jest naprawdę obrzydliwe.

– Nie wygłupiaj się, musimy o tym teraz rozmawiać?

– Tak, musimy, musisz zrozumieć, dlaczego ta kropla przepelniła kielich goryczy. Dotyczy to również twoich worków na śmieci. Gdybym ich nie wynosił, to pewnie z pięć stałoby w kuchni.

– Tylu facetów wynosi śmieci, chyba nie muszę ci za to dziękować.

– Nie o to chodzi. Nawet nie mieszkamy razem, a ty zawsze czekasz, aż przyjdę i wymienię worek na śmieci, a pełny wyrzucę.

*

Półki na książki lekko się uginają. Po trzech latach poszukiwań półek satysfakcjonujących go estetycznie, praktycznych i dostatecznie dużych, żeby pomieścić wszystkie książki, ojciec zamówił regały na wymiar. Cała lewa ściana, od podłogi do sufitu, jest pokryta książkami. W oczach osoby postronnej wygląda jak labirynt ułożonych poziomo i pionowo książek, ale ojciec Elżbiety potrafił natychmiast zlokalizować każdy egzemplarz. Po pewnym czasie ktoś trochę bardziej obeznany z literaturą mógł w tym chaosie dostrzec porządek: po lewej stronie stoją książki popularnonaukowe, pośrodku poezja i dramaty, a po prawej powieści. Półki są tak zapchane, że nie można wyciągnąć jednej książki bez poruszenia egzemplarzy obok.

Dzisiaj rano, zanim wyruszyła do pracy, kupiła na te wszystkie książki dziesięć pudeł, ale kiedy teraz rozgląda się uważnie, to chyba i dwadzieścia kartonów nie wystarczy. Książki z jednej półki wypełniają jedno pudło. Półek jest ponad trzydzieści.

Zaczyna od pakowania książek popularnonaukowych. Nie zwraca uwagi ani na autora, ani na tematykę.

– Zastanów się, co zrobisz z resztą, ale książki po lewej stronie regału chcę

podarować bibliotece Amherst College – powiedział ojciec tuż po zamontowaniu i wypełnieniu półek. – Prawie wszystko tutaj to historia kultury i teoria sztuki. Chyba że...

Jeszcze zanim dokończył, Elżbieta zapewniła go, że spełni jego prośbę. Denerwowało ją, że już wtedy, bez żadnego powodu, myślał o swojej śmierci. Wiedziała, że ojciec był znacznie starszy od ojców dzieci z jej klasy. Nie musiał tego tak podkreślać.

– Dobrze. I tak ich nie przeczytam, nawet gdyby to było twoje ostatnie życzenie.

Kiedy dotarła do połowy książek popularnonaukowych, zapełniła wszystkie pudła. Teraz musi znowu jechać do Home Depot, żeby kupić ich więcej. W ten sposób niewiele dzisiaj robi, sarknęła w duchu, szukając kluczyków do samochodu, które położyła gdzieś między pudłami na podłodze. Wraca po niecałej godzinie z jedzeniem z McDonalda i dziesięcioma pudłami, które leżą jeszcze złożone płasko na ganku. Zaczęło mocno padać, betonowa podłoga po obu stronach oddzielonego siatkową moskitierą ganku jest mokra. Elżbieta przesuwa pudła na środek, żeby nie spadła na nie ani kropla deszczu. Jej myśli zajmuje teraz duży, drewniany bujany fotel, który stoi pewnie w antykwariacie Billa Frenzla. Przez ponad dwadzieścia lat stał na ganku, ojciec siedział w nim i czytał, przypatrywał się ptakom i wiewiórkom w ogrodzie albo w letnie wieczory przysłuchiwał się odgłosom zapadającej nocy. Letnie noce nadchodziły z cichym szumem, od czasu do czasu słychać było szelest cykających świerszczy, metaliczne skargi cykad i tykanie pasikoników, które zdawały się porozumiewać alfabetem Morse'a. Bez fotela ganek stracił swój charakter. Niewiarygodne, jak taka powierzchnia dwóch metrów kwadratowych potrafi być pusta, zauważa Elżbieta.

Nie pozwala sobie na stratę czasu na rozmyślanie. Nie chce też odpoczywać i jeszcze zanim wypije herbatę, zabiera się znowu do pakowania książek do pudeł. Początkowo ścierała kurz z grzbietów i wkładała je pojedynczo. Jednak kiedy po raz drugi zorientowała się, że pudeł zabraknie i jazda do Home Depot jest nieunikniona, zaczęła pracować szybciej. Wyjmowała z półek po kilka książek naraz i wkładała je do kartonów.

Pod koniec dnia prawie skończyła tę pracę, chociaż musiała jeszcze dwa razy jeździć do sklepu. Ostatnie pudło było wypełnione do połowy. Postanawia włożyć do niego dramaty teatralne. Uniwersytet będzie miał z nich większy pożytek niż ona. Nie przeczytała żadnej sztuki teatralnej od czasu, kiedy nosiła szkolny mundurek. Po raz pierwszy zaczyna oglądać tytuły, żeby zobaczyć, czy rozpoznaje któryś z nich lub jakieś nazwisko. Książki, które nic jej nie mówią albo mają brzydką okładkę, odkłada do ostatniego pudła. Gruby, brązowy tom, który jako przegródka rozdzielał dramaty od poezji, nie ma ani tytułu, ani autora. Jest to zbiór cytatów. Co wieczór widziała, jak ojciec je zapisuje, chociaż wcale jej nie

interesowało, jaki cytat tym razem znalazł.

Bierze z biblioteczki zeszyt. Jest to tematyczny, alfabetyczny katalog stosu oprawionych tomów, które zapisywał ojciec. Otwiera pierwszą część. Cytat na początku brzmi: „Dobrze widzi się tylko sercem. Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu”⁴, podpisany: Antoine de Saint-Exupéry.

– Jakie to banalne – mówi Elżbieta głośno do siebie. Ten cytat nigdy nie znalazłby się na pocztówce. Sądziła, że oko ojca było na to zbyt dobre.

Zastanawia się, czy potrafi rozpoznać jakiś cytat, którego ojciec użył kiedyś dla niej albo przeciw niej. Siada na fotelu, stojącym naprzeciwko biurka. „Talentem jest być szczęśliwym” – Herman Hesse. Zapomniała o tych słowach, napisał je na kartce, kiedy ukończyła uniwersytet. Chce zamknąć książkę i uzalić się nad nieodpowiednimi cytatami ojca w najbardziej nieodpowiednich momentach, kiedy zauważa dopisek. „Elżunia ukończyła studia. Mam nadzieję, że na zawsze uda mi się zapamiętać jej wzrok, kiedy wzięła dyplom do ręki. Wzrok, po którym było widać, że moja mała dziewczynka stała się kobietą, chociaż sama nie zdaje sobie jeszcze z tego sprawy”. Elżbieta kartkuje dalej i uzmysławia sobie, że te zeszyty z cytatami są właściwie pamiętnikami, pełnymi dat i osobistych notatek towarzyszących cytatom.

Zamyka książkę z hukiem i wstaje, żeby otworzyć okno i wpuścić trochę świeżego powietrza. W siatkach na oknach zebrały się cząstki kurzu i pyłków. Błękitna modrosójka przestraszyła się i odleciała. Elżbieta zauważyła ptaka, zanim podniosła okno, ale nie miała ochoty oglądać go z bliska i ucieszyła się, że odleciał. Nienawidziła tego ptaka o lawendowoniebieskim upierzeniu. W szkole uczyli się o gatunkach ptaków występujących w Massachusetts. Kardynał szkarłatny. Drozd wędrowny. Dzięcioł kosmaty. Sokół wędrowny. Elżbieta dowiedziała się wszystkiego o ich typowych cechach: jak żyją, jak się rozmnażają, co jedzą.

– Wiecie, dlaczego modrosójki są takie szczególne? – zapytała nauczycielka.
– Ponieważ rodzice razem dbają o potomstwo, tak jak ludzie. Tata i mama modrosójek razem budują gniazdo i razem wychowują pisklęta.

Tak jak ludzie. Te trzy słowa to było za dużo dla dwunastoletniej Elżbiety. Chciała wyjść z klasy, jednak została. Chciało jej się płakać, połykała łzy. Nigdy nie chciała rozmawiać o tym z nikim w szkole. Wstydziała się rozwodu rodziców i smutku, jaki spowodował. Przeżywała rozpacz matki bardziej niż ona sama. Widok płaczącego rodzica pozostawia trwałe rysy w sercu dziecka i nie ma żadnego wosku, którym można wypolerować przeszłość. Kiedy do ogrodu przyleciała kiedyś modrosójka, powiedziała do ojca:

– Ona jest bardziej ludzka od ciebie.

Patrzy na wiąz w ogrodzie przed domem, jego drzewo. Ojciec tak o nim mówił. Miał z tym drzewem osobliwy związek, jakby było jego wiernym sprzymierzeńcem, towarzyszem. Opowiadał o nim tak, jak samotne osoby

opowiadają o swoim kocie lub psie albo bardzo samotni ludzie o kocie czy psie sąsiadów. Każda wizyta, o każdej porze roku, przynosiła nowe opowieści o drzewie.

– Widziałaś już moje drzewo, Elżuniu? Popatrz, otuliło się złotymi liśćmi na twoje przyjście. Chodź, popatrz, Elżuniu – powtarzał ojciec każdej jesieni.

Pomyślała o początku zimy sprzed bardzo wielu lat.

– Jeszcze tylko kilka liści wisi na moim drzewie. Jutro na pewno wszystkie opadną – powiedział ojciec z oczekiwaniem w głosie. – Chodźmy spać, a jutro rano zobaczymy, czy nagie drzewo nie trzęsie się z zimna.

– Tato, dlaczego drzewo zrzuca liście na zimę? Czy nie lepiej tracić je w lecie, wtedy kiedy jest cieplej? W zimie drzewo powinno mocno trzymać wszystkie liście, jak szalik owinięty wokół szyi.

– Ależ mądrą dziewczynką jesteś, Elżuniu. Jeszcze nigdy na to nie wpadłem. Jestem przekonany, że moje drzewo uznałoby to za dobry pomysł, ale to ziemię trzeba winić. Jak ziemia zamarza, to drzewo nie ma dosyć soków, żeby żywić liście, rozumiesz?

– Niegrzeczna ziemia.

Przewietrzyła płuca i głowę, a potem opadła z powrotem na wielki fotel. Z estetycznego punktu widzenia trudno uzasadnić obecność tego fotela obok biurka, zakłóca harmonię pomieszczenia. To pozostałość z czasów, kiedy nocowała u niego co weekend. Pamięta.

Bała się ciemności i nie miała odwagi zasypiać sama w pokoju. Zasypiała zawsze na fotelu w salonie i prosiła ojca, żeby nie wychodził z pokoju. Zabierał książki z gabinetu i czytał, siedząc obok śpiącej córki. Pewnego razu fotel został przeniesiony z salonu do gabinetu.

Teraz patrzy na biurko i nie rozumie, dlaczego zostawił ten fotel. Już od wielu lat nie nocowała tutaj i nie bała się ciemności.

6

Garść dźwięków

W ostatnim momencie zdecydowałam, że nie pojedę rowerem, lecz pójdę na piechotę. Podczas jazdy rowerem można podrzeć rajstopy, a w pierwszym dniu między ludźmi, po tygodniowej chorobie, nie miałam ochoty pokazywać się na ulicy z oczkami w rajstopach. Tak jak droga torebka od razu nadaje kobiecie szyk, tak podarte rajstopy degradują każdą kobietę o klasę niżej. Centrum miasta jest tak nieduże, że rower nie jest potrzebny, a już na pewno mnie. Mimo pozornie niewysokiego wzrostu potrafiłam chodzić szybciej niż większość ludzi obdarzonych długimi nogami. Ta umiejętność ratowała mnie często, kiedy wychodziłam za późno. Niestety, nie tym razem.

Kiedy stałam na rogu Phillips Street i zamierzałam ruszyć w moim zwykłym tempie, poczułam, że obcisła spódnica pozwala mi jedynie na stawianie drobnych kroczków. Od razu pożałowałam, że nie włożyłam spodni, ale było już za późno, żeby wrócić, więc dalej maszerowałam ostentacyjnie małymi kroczkami. Przez chwilę rozważałam nieznaczne podciągnięcie spódnicy, trochę powyżej kolan, żebym mogła iść szybciej, ale jak by to wyglądało. Kozaczki stukały dźwięcznie o chodnik w takt drobnych kroczków. Co za wspaniałe odgłos! Zdecydowany, pewny krok kogoś, kto się nie waha i zmierza prosto do celu. Zawsze wiedziałam, że chcę być takim typem kobiety, lecz zwykle zbyt się spieszyłam, żeby cieszyć się tym dźwiękiem.

Co jakiś czas patrzyłam na zegarek, zdziwiona, jak niesprawiedliwie szybko mija minuta za minutą. Właściwie nie miało to nic wspólnego z brakiem sprawiedliwości. Najczęściej nie zastanawiamy się nad upływem czasu. Nie da się żyć ze świadomością przemijania każdej sekundy. Dopiero kiedy mamy czasu za dużo lub za mało, zaczynamy się nad nim zastanawiać i wydaje nam się bezlitosny. Czas nie zna litości ani współczucia. Nie jest ani sprawiedliwy, ani niesprawiedliwy. Choć czasami wydaje się, że mamy go za dużo lub za mało, że płynie zbyt prędko lub zbyt wolno, to nie ma przecież nic bardziej wiarygodnego niż czas, który płynie nieprzerwanie, sprawiając, że teraźniejszość przemija i znika na zawsze w paszczy czegoś, co nazywamy przeszłością.

To musi być tutaj. Przez sekundę poczułam ulgę, ale zaraz ogarnęło mnie poczucie winy, bo wykład trwał już trzydzieści minut. Postanowiłam jednak wejść. Bernard spodziewał się, że przyjdę. Miałam poczucie, że jestem mu to winna. Dwa dni po tym, jak zwymiotowałam w krzaki w Kendrick Park, przyszedł mnie odwiedzić i zobaczyć, jak się czuję. Przyniósł nawet dwa pączki, bo dawanie pączków było w jego rodzinie przejawem opiekuńczości.

– Moja mama zawsze kupowała pączki, kiedy było nam z bratem źle albo żeby uczcić nasz powrót do zdrowia po chorobie, więc pomyślałem...

– Bernardzie, dlaczego jesteś taki słodki, nie jesteś mi przecież nic winien?
– Co masz na myśli? Ja po prostu...
– Nie, to nie jest normalne. Opiekowałeś się mną, jakbym od lat była twoją przyjaciółką, a teraz ta wizyta, pączki.

– Mam nadzieję, że nie jestem nachalny. Może to brzmi głupio, ale naprawdę wiele dla mnie znaczysz.

Tego nie rozumiałam. Jak mogłam w ogóle coś znaczyć dla kogoś, kto mnie prawie nie znał? Ujął moje ręce obiema dłońmi i płacząc się w słowach, począł mozolnie coś wyjaśniać.

– Naprawdę nie pamiętasz naszej wspólnej nocy?

Wysilałam mózg, ale nie pojawiał się w nim żaden obraz.

– Sorry, obawiam się... – Pokręciłam przecząco głową, a tymczasem nadal wysilałam pamięć, by odszukać utracone obrazy.

– W takim razie dobrze, że się nie kochaliśmy.

– Nie kochaliśmy się...? Dlaczego? – To było dla mnie jeszcze bardziej zaskakujące.

– Bo za dużo wypijaś. Ja też, nawiasem mówiąc. Byliśmy w takim momencie, żeby zacząć się kochać, a chociaż bardzo chciałaś, to pomyślałem, że lepiej nie. Zaraz potem zasnęłaś.

– Bernardzie, nie bardzo rozumiem. Myślałam, że się mną opiekowałeś, no wiesz, że my najpierw... i że się potem obudziłam chora w twoim łóżku. I że może czuleś się winny.

– Może chciałem podtrzymać to złudzenie, że naprawdę... ale teraz przyszedłem, żeby ci wytłumaczyć, dlaczego nie chciałem, żebyś odeszła, i że mam nadzieję widywać cię częściej.

Głos mu drżał. Usiedliśmy na łóżku, a on nadal trzymał moje ręce.

– Dopóki ciebie nie spotkałem, nie podniecała mnie żadna kobieta. Zastanawiałem się, czy coś jest ze mną nie tak. Miałem dziewczyny, z dwoma nawet spałem, ale niewiele dla mnie znaczyły. Robiłem to bardziej po to, żeby móc się chlępić przed kolegami, i miałem nadzieję, że z czasem to polubię. Jednak tak się nie stało, było tylko gorzej. Zacząłem wierzyć, że coś jest ze mną nie tak, że zawsze będę się tak czuł. Że jestem jakiś aseksualny, ale wtedy zobaczyłem ciebie i wszystko się zmieniło. Jakby świat się zatrzymał, dosłownie, i tylko ty się poruszałaś.

– Dziękuję, Bernardzie. Że nie...

– Ale ja chciałem. Tylko nie mogłem. Nie w ten sposób. Kiedy już byłem z dziewczyną w łóżku, miałem uczucie, że nie jestem częścią tego, co się dzieje, jakbym był tylko widzem, więc nie mogłem znieść myśli, że zrobię to z tobą, nie wiedząc, czy w tym momencie jesteś świadoma swoich czynów. Chciałem, żeby obie strony były tego świadome.

Ludzie, z którymi miałam do czynienia, byli dla mnie zazwyczaj bardzo przyjaźni i pomocni, ale nikt nigdy nie opiekował się mną tak jak Bernard. Kiedy odprowadził mnie do domu, wychodząc z mojego pokoju, zapewnił mnie, że nie powinnam się martwić tym, że zwymiotowałam, i dał mi jeszcze kilka tabletek przeciwgorączkowych. Wydawało mi się, że w tych słowach i ostatnim geście kryło się więcej uczuć rodzinnych, niż ja, oddalona tysiące kilometrów od domu, doświadczyłam w ostatnich tygodniach i miesiącach. Może wtedy dotarło do mnie po raz pierwszy, czego mi brakowało – bliskiej rodziny.

Bernard wypełniał tę lukę w tamtym momencie i pewnie dlatego przyjełam go z otwartymi ramionami. Julia miała przyjść dopiero za dwie godziny. Pokój był pusty i tym razem to ja nie chciałam zostać sama. Obie strony były świadome chwili, jak on to ujął.

Kiedy przyszła Julia, oboje już się ogarnęliśmy, ale ponieważ pierwszy raz przyjmowałam męską wizytę w naszym pokoju, od razu wiedziała, że to coś poważnego. Bernard zagadał, żeby odwrócić jej uwagę.

– Zostawię cię, żebyś mogła odpocząć – zwrócił się do mnie, ale tak, żeby Julia to usłyszała. – Zostawić ci mojego walkmana? Powinnaś jeszcze trochę poleżeć w łóżku, więc tymczasem przyda ci się bardziej niż mnie.

Zaprotestowałam, ale już położył odtwarzacz na mojej poduszce.

Jeszcze nim zamknął za sobą drzwi, Julia już zapytała, czy to mój chłopak.

– A ja myślałam, że nie chcesz się z nikim wiązać w tym roku.

– Nie, to nie jest mój chłopak. Po prostu przyjaciel.

– Nie zastanawiałabym się, kochana. Takiego słodziaka trudno spotkać, a na dodatek jest przystojny. Może wygląd nie jest taki ważny, ale jednak.

– Mówię ci: w tym roku żadnych facetów. Bernard jest tylko dobrym przyjacielem.

– A ja ci mówię: lepiej spać z dobrym przyjacielem niż co noc z kimś innym.

– Może masz rację, ale w tym roku nie chcę nikogo kochać. Rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem, jak można mieć w głowie pstryczek, którym można włączać i wyłączać uczucia, i to jeszcze na cały rok. „Pokocham / nie pokocham”. Może to jakiś europejski sposób. My, Amerykanie, jeśli coś lub kogoś kochamy, to po prostu kochamy.

*

Jedynie dwa wolne miejsca znajdowały się z przodu.

– *Shit* – zaklęłam trochę głośniejszym głosem, niż chciałam, i szłam możliwie jak najciszej, na palcach, żeby zająć jedno z tych miejsc. Nie udało się jednak nie zwrócić na siebie uwagi. Słyszałam, że ktoś szepcze moje imię i jeszcze coś, czego nie zrozumiałam.

Dopiero kiedy usiadłam i mój oddech się uspokoił, odważyłam się podnieść

głowę. Miałam nadzieję, że czerwone policzki zastąpią słowa usprawiedliwienia, których i tak nie mogłam wypowiedzieć, nie przerywając wykładu. A więc stał tu profesor Vernon, wielki autorytet Bernarda i niewzruszony prowadził wykład ze spokojem i elegancją. Nasze oczy się spotkały. Poczułam, jakby nie patrzył na mnie, ale we mnie. To uczucie wywołało jeszcze większy rumieniec, więc odwróciłam wzrok.

Był mężczyzną około sześćdziesiątki, chociaż sprawiał wrażenie młodszego, ponieważ miał bujną fryzurę. Jego ciemne włosy były tylko z lekka przyprószone siwizną. Nosił bardzo duże ekstrawaganckie okulary o grubych szklach, ich duża oprawka przy nosie była przezroczysta i stopniowo przechodziła w kolor ciemnobrązowy. Dziesięć lat temu była pewnie modna, ale teraz trąciła trochę myszką, chociaż pasowała do jego dużej głowy. Może głowa nie była nawet specjalnie duża, tylko sprawiała takie wrażenie, bo włosy, sztywne i niesforne, wprawdzie zadziwiająco dobrze utrzymane, sterczały jednak na wszystkie strony.

Nie wiedziałam, gdzie siedzi Bernard, ale nie śmiałam się odwrócić. Wzięłam papier, długopis i skoncentrowałam się na słowach kierowanych do mnie zza katedry niepospolitym głosem. Zawsze byłam bardzo wyczulona na barwę głosu. Wystarczyło, by czyjś głos miał odpowiednią melodię, właściwy tembr, dobry akcent, a bez trudu mogłam słuchać z zafascynowaniem, nawet jeśli taka osoba nie miała nic specjalnie interesującego do przekazania. Kiedy ktoś miał głos zbyt wysoki lub dziecinny, moje myśli szybko odpływały. Szczególnie irytował mnie głos o dziecinnej barwie, jak gdyby mówca nigdy nie dorósł albo nie do końca był przekonany do tego, co mówi. To nie było uczciwe wobec mówcy, bo nie ma niczyjej zasługi ani winy w tym, z jakim głosem się rodzimy.

Głos profesora Vernona był miękki, ciepły i odwracał moją uwagę od tego, co mówi. Przez pierwszy kwadrans nie zanotowałam nic. Zamyśliłam się, jak cudownie byłoby nurzać się codziennie w takim głosie, lecz w końcu zmusiłam się do pisania. Najpierw się spóźnić, a potem nic nie notować, to mogło zrobić złe wrażenie. Wiedziałam, że Bernard specjalnie wystarał się o pozwolenie, żebym mogła uczestniczyć w wykładzie. Znowu skupiłam uwagę na słowach, a nie na głosie, który je emitował.

Wykład dotyczył pochodzenia muzyki.

– Argument, że tworzenie muzyki jest adaptacyjną umiejętnością człowieka, czymś, co jest nam potrzebne do przeżycia, zdobywa dzisiaj popularność. Ludzie zaczęli śpiewać, ponieważ było to korzystne ze społeczno-ewolucyjnego punktu widzenia. Niektórzy podkreślają jednoczącą rolę muzyki w społeczeństwie. Muzyka jest częścią społecznego spoiwa, które utrzymuje wspólnotę. Ludzie łączą się za sprawą wspólnych zwyczajów i tradycji, obrzędów, które akcentują ważne wydarzenia w życiu: czegoś, co praktykuje się na okoliczność narodzin, śmierci i wszystkich innych doniosłych etapów życia człowieka. Muzyka działa więc na

korzyść spójności społecznej, a silne społeczeństwo, dobrze ze sobą współpracujące, ma przewagę ewolucyjną. W tym kontekście patrzy się na matkę nucącą dziecku kołysankę, której delikatny śpiew potrafi uspokoić niemowlę. Cisza jest niekiedy koniecznością ewolucyjną, na przykład gdy trzeba się ukrywać. Nawet wojskowa muzyka marszowa jest rozpatrywana z tej perspektywy. Oddziały są atakowane dźwiękami, poziom adrenaliny w organizmie rośnie. Adrenalina jest ważną bronią. W walce przydaje się czasem bardziej niż oszczep lub miecz. Muzyka na służbie przetrwania ludzkości: *survival of the fittest*. A teraz pytanie: czy takie jest pochodzenie i znaczenie muzyki?

Po tych słowach profesora Vernona zapadła cisza, w której słychać było tylko nikły szmer piór i ołówków przesuwanych po papierze. Potem nastąpiło coś, co zakłóciło te dźwięki. Profesor podszedł do okna i ze wzrokiem skierowanym na zewnątrz, odmierzając ręką rytm, począł śpiewać: „Jam bam bam bam, Jam bam bam bam, jababaj bibi dam dam. Jam bam bam bam, Jam bam bam bam, jababaj bidi dam dam”.

Sytuacja była niecodzienna, studenci ukradkiem popatrywali na siebie, żeby się zorientować, co mają o tym sądzić. Nikt nie odważył się zaśmiać, chociaż zrobiliby to na pewno, gdyby to jakiś inny profesor zaczął raptem śpiewać w trakcie wykładu. Może śmialiby się z niego, gdyby nie robił tego tak poważnie. Jego głos wypełniał przestrzeń, a twarz promieniowała ciepłem i światłem silniejszym niż promienie jesiennego słońca przedzierające się przez cienką warstwę chmur. Trudno powiedzieć, czy to jego wyraz twarzy, czy głos uciszył nas w tamtym momencie.

– Jakie jest znaczenie tych dźwięków? – odwrócił głowę ku nam i znowu zaczął śpiewać, tym razem patrząc na nas. – Co usłyszeliście?

Nikt nie miał odwagi odpowiedzieć. Profesor Vernon uśmiechnął się, trochę nieśmiało.

– Niektórzy myślą, że jest to tylko seria dźwięków albo że oszalałem. Nie można tego wykluczyć.

Uśmiechnął się, więc studenci ośmielili się zareagować zgodnym śmiechem.

– Inni pomyślą może, że jest to piosenka, której słów zapomniałem. Jednak Marta Schlamme, piosenkarka, która zapoznała mnie z tym, co przed chwilą usłyszeliście, twierdziła, że śpiewanie tych dźwięków przybliżało jej żydowskiego dziadka, chasyda, do Boga. Dźwięki tworzyły dłoń, którą można było sięgnąć do nieba. Schlamme śpiewała dokładnie z tego samego powodu. Posłuchajcie. Dźwięki pozornie nie mają żadnego znaczenia. Nie korespondują z żadnymi obiektami z rzeczywistości. Pozornie bez znaczenia, są jednak pełne znaczenia.

Profesor Vernon podszedł do starej, drewnianej szafki z adapterem, wyjął płytę z okładki i umieścił ją w gramofonie. Schlamme śpiewała tę samą pieśń, którą przed chwilą zaintonował profesor. Przez następne dwie minuty słuchaliśmy,

przygwożdżeni do krzeseł. Nikt nie śmiał się poruszyć. Wszyscy tłumili kaszel, siedzieli cicho, mimo że właściwie chcieli wyjść wcześniej. Mieliśmy wrażenie, że świętokradztwem byłoby zakłócanie tego śpiewu.

– Chciałbym, żebyście do przyszłego tygodnia pomyśleli nad znaczeniem tych śpiewów. Jaka korzyść ewolucyjna może być związana z tym łańcuchem dźwięków? Dobrze pomyślcie, a jeśli uważacie, że znacie odpowiedź, posłuchajcie *Erbarne dich* Bacha lub *Stabat Mater* Pergolesiego. I jeśli wtedy nie będziecie znali odpowiedzi, to znaczy, że wypełniliście zadanie.

Muzyka była dla profesora Vernona przeżyciem metafizycznym, a nie fizycznym. To zdanie zapisałam jako ostatnie, na koniec wykładu. Kończyłam je pisać, kiedy Bernard stanął obok mnie.

– Bałem się, że nie przyjdiesz. – Uścisnął mnie tak, jak ludzie witają na dworcu kogoś powracającego z dalekiej podróży.

– Chcesz powiedzieć, że nie dotrzymuję słowa? – Ja też się ucieszyłam na jego widok.

– Nie, wcale nie. Ale byłaś bardzo chora i bałem się, że może zapomniałaś. Powinienem ci to zapisać przed wyjściem.

– Widać nie było trzeba, przecież przyszłam.

Przyjaciele Bernarda czekali na niego w korytarzu. Przedstawił mnie jako przyjaciółkę z Belgii, specjalizującą się w literaturze romantycznej.

Profesor Vernon przechodził obok naszej grupki i zamienił kilka słów z Bernardem i jego przyjaciółmi. Skinął głową w moim kierunku i dodał:

– Ktoś najwyraźniej wołał rano jeszcze pospać.

Wszyscy się roześmiali oprócz mnie. Rumieniec znowu oblał mi policzki i nie zdołałam nic powiedzieć.

– To jest Anna, panie profesorze, prosiłem pana o pozwolenie, żeby mogła przyjść na wykład. – Bernard pospieszył mi na ratunek.

– Ach, Anna, dziewczyna na wymianie UMass, z Belgii?

– Tak – odpowiedzieliśmy z Bernardem jednocześnie.

– A z jakiej części pochodzisz? Z Walonii czy Flandrii?

– Z Flandrii. Mówię po flamandzku, właściwie po niderlandzku z flamandzkim akcentem, jak niektórzy uważają.

Na twarzach studentów widać było zdumienie. O Belgii wiedzieli najwyżej tyle, że jest to mały kraj, nie potrafili sobie wyobrazić, że jest niewiele większy od stanu Massachusetts i liczy prawie tyle mieszkańców co Nowy Jork, a na dodatek jest podzielony na wspólnoty językowe.

– Ale pewnie mówisz jeszcze po francusku?

– *Oui, bien sûr.*

– A może też po niemiecku?

– *Selbstverständlich, Herr Professor.*

W obecności kolegów Bernarda prowadziliśmy dalej naszą krótką rozmowę po niemiecku.

– Język niemiecki to mój drugi dom. Wykładałam również historię muzyki i estetykę ogólną, ale historia kultury niemieckiej stanowi przedmiot moich badań. Szczególnie wiek dziewiętnasty. To jest bardzo piękny język. Moje życie byłoby uboższe bez znajomości języka niemieckiego.

– Im więcej języków znasz, tym bardziej jesteś człowiekiem.

– Że też ośmielasz się to mówić w obecności grupy Amerykanów, jesteśmy uparcie jednojęzyczni.

– Nie miałam na myśli zarzutu, *Herr Professor*. Inaczej powiedziałabym to zdanie po angielsku, żeby mogli zrozumieć.

Uśmiechnął się. Wydawało się, że wahał się przez chwilę, czy kontynuować rozmowę po niemiecku, żeby inni studenci jej nie rozumieli. Zdecydował, że bardziej odpowiednie będzie przejście na angielski.

– A co cię tu sprowadza?

– Bernard powiedział, że koniecznie muszę przyjść. Że nie można tutaj studiować i nie chodzić na pana wykłady.

Bernard przytaknął, potwierdzając moje słowa.

– A co studujesz na UMass? Kursy magisterskie z literatury angielskiej?

– Nie, już ukończyłam studia. Ale moje stypendium doktoranckie w Belgii zaczyna się dopiero w przyszłym roku. Dlatego tutaj jestem, chcę się trochę przygotować do doktoratu. Czytam teraz dużo o związku między obiektywnym pięknem a jego subiektywnym doświadczeniem. Bernard mówił, że pan wykłada estetykę Kanta i jego słynny paradoks, więc miałam nadzieję, że dowiem się o tym czegoś więcej na pana wykładach.

Rozgadałam się i wydawało się przez chwilę, że moje usta prowadzą odrębne życie. Wypluwały słowa, zanim zdążyłam o nich dobrze pomyśleć, żeby ukryć, iż właściwie czuję się zmieszana. Nie wiem, dlaczego profesor Vernon tak na mnie działał, pewnie dlatego, że zdaniem Bernarda był geniuszem, ale zanim zdałam sobie z tego sprawę, zdążyłam obiecać, że będę uczęszczała na jego wykłady.

– Obawiam się, że nie będę już poruszał tematu paradoksu. Semestr dobiega końca – brzmiała odpowiedź. – Jednak na następnym wykładzie mogę ci dać kilka artykułów na ten temat albo możesz przyjść jutro do mnie na konsultację do Converse Hall. Tak zrobimy, przyjdź jutro, bo teraz się spieszę. Muszę odebrać córkę ze szkoły, kończy dzisiaj wcześniej lekcje.

– Możemy się od razu przespacerować do Converse Hall – zaproponował Bernard. – Będziesz wiedziała, gdzie to jest. To niedaleko.

– Wszystko na tej uczelni jest blisko!

– To miło ze strony profesora Vernona. Zawsze znajdzie odpowiedź, jeśli

zapyta się go o radę.

– Tak, bardzo miło, od razu dołożył mi dodatkowej pracy!

Wszyscy się roześmiali, zgodzili się co do tego, że odkąd chodzą na jego wykłady, mają pięć razy więcej lektur. Chętnie na to narzekali, bo właśnie dokładnie tego chcieli.

– Nie pożałujesz. Nauczysz się od niego więcej niż od wszystkich pozostałych profesorów razem wziętych. Eryk jestem, nawiasem mówiąc. Tak jak wszyscy obecni należę do Exiles.

– Exiles? – Nie rozumiałam początkowo, ale Bernard przypomniał mi o grupie, z którą spotkał się w zeszłym tygodniu. – Czy tu jest cała grupa?

– Nie, mamy jeszcze dwóch członków. Sophia studiuje na Smith College w Northampton. Tam, gdzie studiowała Sylvia Plath i gdzie rzekomo testowała swoją odwagę do popełnienia samobójstwa przez kaleczenie nóg nożem. Nie wiem, czy ta historia jest prawdziwa, ale jest prawdopodobna, bo od razu było wiadomo, że z nią jest coś nie tak. Zawsze mi było żal Teda Hughesa. Poza tym jest jeszcze Rupert, który mieszka nawet dalej. Uczęszcza na studia magisterskie w Harvardzie, musi pokonać sporo kilometrów, żeby tutaj dojechać. Przyjdiesz następnym razem?

Eryk zaprosił mnie, mrugając dyskretnie, lecz niedostatecznie subtelnie, do Bernarda. Widocznie rozmawiali na ten temat.

– Mogę przyjść ot tak? – zapytałam.

– Właściwie nie. To kwestia zaufania, chcemy spotykać się w zamkniętej grupie.

Bernard wszedł Erykowi w słowo, nie mówił szeptem, ale miękko:

– Rzeczywiście. Gdyby wyszło na jaw, że profesor Vernon spotyka się kilka razy w miesiącu ze studentami w swoim pokoju i wypija z nimi kilka butelek wina, to mogłby mieć kłopoty. Być może my także.

– Ale Bernard tak życzliwie o tobie opowiadał, że nie chcę pozbawiać naszego grona przyjemności twojego towarzystwa. Za kilka miesięcy zabierzesz tajemnice naszych spotkań za ocean. Mianujemy cię do tego czasu *visiting Exile*.

*

Bernard przeproszał, że się spieszy i nie może mnie odprowadzić do pokoju. Musiał zaraz jechać po trąbkę i iść na próbę. Nie przeszkadzało mi to, miałam ochotę być sama. Pojechałam autobusem nad wodę, do Puffer's Pond, żeby się przewietrzyć. Choroba rozleniwiła mój umysł i świeże powietrze dobrze mi zrobiło. Drzewa w szybkim tempie traciły liście, ale nie były jeszcze nagie. Jakies dwie godziny temu padał ulewny deszcz i z mokrych liści unosił się przyjemny zapach jesieni. W każdej cząsteczce powietrza zawarta była kolorowa i pachnąca jesień w New England.

Postanowiłam jednak, że nie obejdę całego jeziora, moje ciało nie było jeszcze przyzwyczajone do dużego wysiłku i bałam się, że zimno zaszkodzi mi na gardło.

Nad wodą przewietrzyłam wszystkie myśli i po powrocie do pokoju nie miałam siły na nic więcej. Darowałam sobie obiad i już o siódmej poszłam spać.

Zasnęłam płytkim snem i obudziłam się o północy. Grube krople deszczu uderzały o skośny dach pod moim oknem. Były zwiastunem ulewy, która wkrótce nadeszła. Padało przez dłuższy czas. Próbowałam zasnąć, przekręcałam się z boku na bok. Byłam niespokojna, sen nie nadchodził. To nie deszcz przeszkadzał mi zasnąć ani studenci wracający z nocnych wypraw, całkowicie przemoczeni, co widocznie uważali za bardzo zabawne. W myślach widziałam ciągle rękę profesora wybijającą takt, jego rozświetloną twarz, a w bębniącym deszczu słyszałam jego głos i muzykę, odtwarzaną na niewidzialnej taśmie moich myśli. „Jam bam bam bam. Jam bam bam bam, jababaj bibi dam dam. Jam bam bam bam. Jam bam bam bam, jababaj bidi dam dam”.

Semantyka westchnień

Elżbieta ponad miesiąc nie odbierała telefonu, jeśli słyszała po sygnale, że to matka próbuje się z nią skontaktować. Nie miała ochoty oddzwaniać, nie odpowiadała na SMS-y, a wiadomości z poczty głosowej usuwała, zanim zdążyła je odsłuchać do końca. Matka była urażona długim milczeniem. Zostawiała wiadomość prawie codziennie, po kolejnym, dziesiątym wysłuchaniu nagranych słów: „Cześć, tu Elżbieta, jestem chwilowo niedostępna, nagraj tekst po sygnale”. Każda nagrana przez nią wiadomość zaczynała się od głębokiego westchnienia, jak gdyby miało ono uprzętnąć gruzy przeciągającej się ciszy, żeby zrobić miejsce słowom:

– Tu twoja matka. Próbuję już...

Elżbieta wiedziała, dlaczego matka dzwoni. Zostawiane wiadomości były prawie takie same. Słowa były ciągle te same, najwyżej westchnienie inne. Już od jakiegoś czasu była świadoma bogactwa wyrazu i odcieni znaczeń, kryjących się w westchnieniach. Nigdy nie przeczytała na ten temat żadnego podręcznika, ale знаła z praktyki rodzaje i semantykę westchnień. Matka miała do nich talent. Westchnienia karcące lub miękko przebaczące, westchnienia bezsilności albo wyrażające lekkie przygnębienie, poirytowanie czy udawane oburzenie, czasem zdenerwowanie, a czasem prawdziwe zaniepokojenie – jej nastrój wyrażał się w pojedynczym westchnięciu. Westchnienia matki sprawiały, że słowa stawały się zbędne, toteż Elżbieta bez zbytnich wyrzutów sumienia mogła nie dopuszczać ich do świadomości.

Co jakiś czas postanawiała, że oddzwoni: „Jak pozalątwiam wszystkie sprawy. Może jutro” – obiecywała sobie. Jednak następnego dnia znowu odkładała telefon na następny dzień, a potem na kolejny. I tak przez pięć tygodni.

Teraz, kiedy minęło pięć tygodni i od pośrednika nieruchomości Dana Siwackiego usłyszała, że dwie osoby są poważnie zainteresowane kupnem domu, może wrócić do dawnego zwyczaju i odwiedzić matkę w czwartek po pracy, żeby zjeść z nią obiad. Powiadomiła ją o tym dopiero wczoraj, przed pójściem spać, tuż przed północą. W ciągu minuty dostała wiadomość: „Okay”. To nie był dobry znak. Taka natychmiastowa odpowiedź o późnej porze oznaczała, że matka wprawiała się w bezsenność uzalaniem nad sobą.

Elżbieta z zadowoleniem wsiada do samochodu, cieszy ją, że po pracy nie będą jej otaczały coraz bardziej puste pokoje ojcowskiego domu, ale dom jej dzieciństwa, zawsze pachnący jedzeniem. W chłodne dni ogrzewanie było tam nastawione co najmniej o jeden lub dwa stopnie powyżej temperatury pokojowej, czyli dwudziestu jeden stopni, ponieważ matka uważa, że taka temperatura jest odpowiednia raczej dla niższej klasy średniej.

Co roku wydaje na to mnóstwo pieniędzy. Zbiornik oleju trzeba napelnić zimą przynajmniej cztery razy. Dom był zbudowany w połowie lat osiemdziesiątych i zdaniem ojca był dla nich o wiele za duży. Miał dwa piętra, cztery olbrzymie sypialnie, trzy łazienki i kilka garderób wielkości pokoi oraz otwartą kuchnię obok jadalni i salonu. Kilka par drzwi prowadziło na taras ciągnący się wzdłuż całej południowej ściany i jeszcze fragmentu zachodniej.

Początkowo nie mogli znaleźć tego domu i mylili drogę. Graniczył z gęsto zalesionym terenem i znajdował się na końcu ślepej ulicy, od której prowadził żwirowy podjazd, stromy i pełen zakrętów. Zuzanna zakochała się w nim, jeszcze zanim wysiedli z samochodu. To było to. Jakakolwiek dalsza dyskusja była niemożliwa.

Elżbieta siedzi w samochodzie, a jej myśli krążą wokół ostatnich dni i tygodni. Może zrobiłaby lepiej, gdyby wzięła kilka dni urlopu i posortowała rzeczy ojca za jednym zamachem, opróżniła szafy i przygotowała wszystko do sprzedaży. Wybrała jednak jeżdżenie codziennie po pracy, na jakieś trzy godziny, żeby konieczność powrotu do siebie mobilizowała ją do sprawnego działania. Poza tym wzięcie kilku wolnych dni wiązało się z ryzykiem, że będzie się zabierała do pracy wolniej i paradoksalnie całe przedsięwzięcie będzie trwało dłużej niż w dotychczasowym trybie.

Sprzedaż pianina odłożyła na ostatek, żeby zachować ziarno prawdy w iluzji, iż jest niezdecydowana co do jego losu. Teraz nawet ono zostało zabrane przez specjalistyczną firmę, zaangażowaną przez antykwariusza. Widok zawadzającego, osieroconego pianina, zbierającego powoli kurz w prawie pustym domu, był największą udręką. Nawet świec już nie było. W ostatnich tygodniach Elżbieta jeszcze kilka razy siadała do pianina, ale nigdy nie zagrała. Nadal nie miała odwagi, a im bardziej dom pustoszał, tym bardziej lękała się dotknąć klawiszy.

Zatrzymuje się na chwilę w supermarkecie, żeby kupić bez kłopotu jakiś niedrogi bukiet kwiatów, bo najbliższa kwiaciarnia jest już zamknięta. W końcu musi przeprosić za tyle nieodebranych telefonów. Poza tym matka jest typem osoby, która zawsze czeka na przeprosiny: czy coś przeskrobiesz, czy nie, zawsze lepiej przeprosić, choćby nawet za złą pogodę albo za to, że skarpetki i spodnie nie są w tej samej gamie kolorystycznej.

– Cześć, mamo! – Elżbieta zasłania kwiatami twarz trochę ze wstydu za to ponadmiesięczne milczenie, ale też chce odwrócić jej uwagę.

– Elżbietko, nareszcie! Wchodź do środka, nie wygłupiaj się. Kwiaty są dla mnie, jak sądzę.

Zuzanna lekkim szarpnięciem wyjmuje jej kwiaty z dłoni. Elżbieta wchodzi do środka i zdejmuje zimowy płaszcz. Słyszy, jak matka czyta etykietkę na folii i mruczy do siebie, ale tak, żeby ona usłyszała: „róże z supermarketu”. Kładzie kwiaty na szafce w holu i przenosi wzrok na córkę.

- Myślałam, że zniknęłaś z powierzchni ziemi, podążyłaś za ojcem.
- Nie przesadzaj.
- A co? Nie mogę tak powiedzieć?
- To nie w porządku. Byłam bardzo zajęta. Wiesz, jak to jest, potrzebowałam prawie roku, żeby opróżnić dom babci.
- Nie w porządku? A nieodzywanie się przez całe tygodnie jest w porządku? Równie dobrze mogłaś zakopać się gdzieś głęboko w tropikach albo w dżungli. Nie zauważyłabym różnicy. I przez cały ten czas nie zastanawiałaś się, co u mnie słychać, jak się czuję? Mnie też mogło się coś stać.
- Gdyby się coś stało, to nie mogłabyś dzwonić do mnie codziennie. Ale masz rację, powinnam się odezwać. To było po prostu trudne. Jeździłam tam codziennie po pracy, potem do domu, spanie, praca, i z powrotem do tamtego domu. To było trudniejsze, niż myślałam, ale jeszcze raz: masz rację. Powinnam się odezwać, przepraszam.
- Trudne? A co w tym trudnego? Ray miał taki mały domek. Co ty zrobisz, jak ja umrę, nasz dom jest pięć razy większy. Znikniesz z powierzchni ziemi na pięć miesięcy?
- Już powiedziałam, mam, powinnam się do tego zabrać inaczej.
- Rzeczywiście, na początek powinnaś więcej myśleć o swojej matce. Czyż nie mam prawa porozmawiać z tobą, kiedy jesteś u niego?

*

Ostatnie zdanie powiedziała takim samym tonem jak dawniej, kiedy Elżbieta była nastolatką i spędzała weekend z ojcem. Ilekroć była u ojca, matka miała nieznośny zwyczaj sprawdzania, co u niej słychać, i to w najbardziej nieodpowiednim momencie. Po południu, kiedy Ray z córką spacerowali lub jechali do muzeum Pratta na kampusie, żeby obejrzeć skamieniałości i szkielety dinozaurów, jego domowy telefon, model Western Electric 302, wielokrotnie dzwonił na próżno.

- Gdzie byliście, dzwoniłam już chyba z dziesięć razy?
- Nie pomagało, kiedy Ray tłumaczył byłej żonie, że wyszli z domu, że nie mógł słyszeć telefonu, bo byli w muzeum. Była rozżalona.
- Może powinienesz sobie kupić telefon komórkowy! Chyba mam prawo porozmawiać z córką, kiedy jest u ciebie.
- Ty też nie masz telefonu komórkowego, ale ja ci nie mówię, że musisz go kupić.
- Ale ja odbieram telefony, kiedy ktoś do mnie dzwoni.
- Bo ciągle siedzisz w domu.
- Znowu zaczynasz? Mam ci być wdzięczna, że pokazujesz Elżuni jakieś głupie szkielety i skamieliny. Proszę bardzo: dziękuję!

I Zuzanna zatrząskiwiała drzwiami przed nosem Raya. Słuchanie ciągłych kłótni było dla Elżbiety torturą. Zdawało się, że rodzice nie potrafili się obejść bez sprzeczki, kiedy zawozili lub odbierali córkę. W końcu poprosiła, żeby parkowali samochód po prostu przed domem i trzy razy krótko zatrąbili. Brała wtedy swoje rzeczy, posyłała szybki pocałunek na pożegnanie i wychodziła.

Ile czasu minęło? Dwadzieścia lat, może nawet trochę więcej? A matce nadal udaje się wytwarzać nieprzyjemną atmosferę, która panowała zawsze, kiedy byli we trójkę. Elżbieta nie ma na to ochoty, nie po ostatnich tygodniach. Idzie do kuchni poszukać wazonu, ma nadzieję, że humor się matce poprawi, kiedy wróci i postawi róże na stole.

– Wszystko sprzedałaś czy zatrzymałaś coś dla siebie? Bechsteina chyba zostawiłaś, jak sądzę.

Kwiaty nie podziały.

– Nie, wszystko oddałam. Pianino też. Możemy o tym później porozmawiać? Chcę cię jeszcze o coś zapytać.

– Mnie nie musisz nic proponować. Nie chcę nic od Raya. Teraz już nie.

Ostatnie słowa wymówiła z naciskiem, by przypomnieć córce, że dawniej chciała od niego wiele rzeczy, co znowu wzmoгло napięcie i zapanowała cisza.

Elżbieta waha się, czy dalsza rozmowa na ten temat ma sens, w końcu nigdy nie udało im się spokojnie porozmawiać o Rayu.

– Chodzi o książki. Nie spieszy się. Co dzisiaj ugotowałaś? W kuchni pachnie smaczką, ale nie zaglądałam do garnków. Zrobiłaś indyka?

Matka rozpoznała się całkowicie. Głębokie zmarszczki na jej czole wygładzają się nieco, kiedy rozmowa schodzi na jedzenie, jakby niewidzialne ręce masowały jej ramiona.

– Oczywiście indyk jest ekologiczny, ale przyrządzony według przepisu babci, z sosem żurawinowym. Jeśli widuję córkę raz na pół roku, to jej wizyta jest prawdziwym świętem – mówi żartobliwym tonem, co uspokaja Elżbietę.

*

– Możesz teraz posprzątać.

Matka potrafi tak sformułować prośbę, że wydaje się, iż nie prosi o przysługę, ale ją wyświadcza, jakby zrobienie czegoś dla niej było przywilejem.

Elżbieta przechyla się, zabiera talerze z drugiej strony stołu, zsuwa nożem resztki z talerza na drugi talerz, kładzie sztućce na wierzchu i wychodzi z pokoju.

– Herbaty? – woła z kuchni do matki.

– Mamy jeszcze pół butelki czerwonego wina, to je najpierw wypijemy. Herbatę można zaparzyć później. – Matka rozlewa wino do kieliszków. – Dzień bez wina jest dniem straconym.

W geście toastu wznosi kieliszek w stronę córki, która znowu siada za

stołem. Elżbieta się śmieje.

– Dokładnie tak zawsze mówił Ray.

Trochę się boi, czy rozsądna jest ta wzmianka o ojcu.

– Czasami Ray mówił coś trafnego. W przeciwnym razie nigdy bym za niego nie wyszła.

Bierze duży łyk wina, prawie pół kieliszka. Wydaje się, że pije, żeby dodać sobie odwagi, i mówi:

– Nigdy nie przestałam go kochać. Dlatego go nienawidzę.

Wypija następny łyk, żeby wyprzeć napierające myśli o przeszłości, a raczej je utopić.

– Dosyć sentymentów. Trzymałam się dzielnie, dopóki żył. Trzymałam się dzielnie, kiedy umarł. Trzymałam się dzielnie, kiedy nam podziękował, bo byliśmy dla niego na drugim miejscu. Teraz też nie chcę płakać. Ale jego śmierć, twoje milczenie... Dużo o tym myślałam. Do tej pory nie rozumiem.

Jesienią 1991 roku Ray postanowił je opuścić, po lecie, które mimo upałów było zimne. Zuzanna i Elżunia liczyły dni do wakacji na Cape Cod, gdzie co roku spędzały dwa tygodnie w swoim domu z widokiem na morze. Po raz pierwszy Ray zdecydował, że z nimi nie pojedzie.

– Wspólne wakacje to nie dla mnie.

To, że wolał przez dwa tygodnie siedzieć sam w domu, zamiast jechać z żoną i córką w miejsce, gdzie przez cały dzień, od rana do wieczora, leżały na plaży, pachnąc kremem przeciwsłonecznym, wcale nie wydało się Zuzannie dziwne. Ray nigdy nie lubił plaży, a już na pewno nie ludzi, których leżało tam mnóstwo, o ile tylko pozwalała im na to pogoda i praca. Zuzanna zaczęła się martwić dopiero po powrocie, kiedy dzień później zdecydował, że musi zaraz wyjechać do Vermontu, bo potrzebuje spokoju na rozmyślanie. Zadzwoił po kilku dniach, że to nie wystarczyło, że musi jeszcze pomyśleć, chociaż człowiek przecież nigdy nie może przestać myśleć, i że wróci, jak będzie gotowy. Zuzanna przypuszczała, że Ray cierpi na spóźniony kryzys wieku średniego. Żartowała z przyjaciółkami, że na Święto Dziękczynienia w garażu będzie pewnie stał Harley-Davidson. Ten żart niczym gruba warstwa lakieru pokrywał jej rosnące zaniepokojenie.

W końcu, po miesiącu ukrywania się w lasach Vermontu, wrócił do domu. Zuzanna powitała go, jakby nie widziała go przez zaledwie kilka godzin i przeszła od razu do bieżących spraw.

– Musisz wkrótce pojechać do Cape Cod. Słyszałam od sąsiadów, że wiele domów jest uszkodzonych, nasz też. Podobno niezbyt poważnie, ale jednak. Tylko zerwało dachówki. Mieliśmy szczęście, podmuchy wichury były podobno straszne.

W Vermoncie Ray był tak pogrążony we własnym świecie, że nie dotarła do niego groza spustoszeń huraganu. Nie zareagował na słowa Zuzanny. Otworzył

butelkę drogiego wina, nalał dwa kieliszki, dla siebie i dla niej, usiadł przy stole i powiedział jak zawsze spokojnym tonem:

– Musimy się rozwieść.

– Masz kogoś innego... Mam nadzieję, że jej nie znam, to chyba nie...

– Nie mam nikogo innego.

– Dlaczego więc chcesz odejść?

– Bo już nie jestem was godzien. Zaslugujecie na coś lepszego.

– Nie mów tak zagadkowo, Ray, nie możesz tego zrobić. Co się stanie z Elżbietą, z naszym domem, samochodami, życiem, które stworzyliśmy? Może nasze małżeństwo nie jest doskonałe, ale też nie toczyliśmy ciągle wojny.

– Elżunia... wiem. Chcę ją widywać jak najczęściej i zawsze będzie mogła na mnie liczyć. Ale nie w tym domu.

Zuzanna położyła jedną rękę na oparciu krzesła, a drugą wzięła teatralnym gestem kieliszek ze stołu.

– To absurd! Lepiej powiedz, kim ona jest. I tak się dowiem. To jest Amherst, tutaj się nie da ukryć żadnej tajemnicy, wiesz o tym.

– Amherst nie zdradzi ci żadnej tajemnicy. Nie mogę żyć tak dalej z tobą. Nikt nie zasługuje na to, żeby być dla kogoś na drugim miejscu.

– A więc ktoś jednak jest, jeśli jestem na drugim miejscu!

– Nie ma nikogo, po prostu teraz chcę być sam.

– Nie wierzę ci, Raymondzie! Nie wierzę ci!

I nie wierzyła mu przez następnych dziesięć lat po rozwodzie. Powoli, z biegiem czasu, zdawała się coraz lepiej rozumieć, że pierwsze miejsce to nie była inna kobieta, ale praca. Miał więcej uczucia dla romantyzmu niemieckiego niż romantyzmu ich małżeństwa. Znał więcej anegdot z życia cesarzowej, na której cześć nazwał córkę, niż z życia Elżbiety. Spędzał więcej czasu z nosem w książkach, słuchał częściej słów innych ludzi niż słów własnej żony i córki. Oddał im wszystko: dom w Cape Cod, w którym sam naprawił dach, dom przy Country Corners Road. Zuzanna mogła zatrzymać jego nazwisko, nie chciała nazywać się Kondick, nie znosiła tego nazwiska bardziej niż smutku, jaki odczuwała, wymawiając głoski jego nazwiska, jej nazwiska, nazwiska Elżbiety. Vernon. Dźwięki, które odtąd łączyły ich tylko pozornie.

*

Alkohol działa powoli i skutecznie – kolejny duży łyk i wspomnienia, cisnące się jej do głowy, utopiają się. Zuzanna zdecydowanym ruchem stawia pusty kieliszek na stole.

– Możesz zaparzyć herbatę!

To był bardziej rozkaz dla niej samej, żeby po winie napić się herbaty, niż polecenie dla Elżbiety, żeby nastawiła czajnik z wodą. Mimo to Elżbieta spieszy do

kuchni i po kilku minutach, stłumiwszy parę łez, wraca do pokoju z dzbankiem naparu i dwoma filiżankami.

– Wołałabym darjeerling – mówi matka, patrząc na kolor herbaty.

– Za późno na czarną herbatę. Będziesz miała kłopoty z zaśnięciem.

– I tak źle śpię – mówi. Po krótkiej chwili ciszy dodaje: – Już ponad dwadzieścia lat.

Te dwadzieścia lat nie odnoszą się do snu, ale utopionej przeszłości. Dwadzieścia lat zмага się z pytaniem: „dlaczego?” i próbuje zrozumieć, zapomnieć i żyć dalej. Dwadzieścia lat stoi w miejscu.

Skończyła czterdzieści lat, kiedy odszedł.

– To będzie szczęśliwy rok! – przekonywała wszystkich naokoło przed swoimi urodzinami i jeszcze po nich.

Czterdziestka to jej szczęśliwa liczba, przynajmniej powinna być, była o tym przekonana. Jednak zaczęło się od złego omenu, kilka tygodni przed urodzinami ktoś przejechał kota. Dwuletnia Minka została zabita na ich ulicy. Kierowca jej nie zauważył. Padał duży deszcz, widoczność była ograniczona, ale czuł, że coś potrafił. To był kot, miał obrózkę z medalionem, na którym z jednej strony był napis „Minka”, a z drugiej adres: „Country Corners Road 75, Amherst”. Kierowca wpadł w panikę. Stał na skrzyżowaniu Country Corners Road i Rambling Road. Gdzie był numer 75? Co miał zrobić? Zabrać kota i jechać do weterynarza? Zostawić kota i iść pod numer 75? Może właściciele powinni zdecydować, a może powinien działać szybko? Tak, musi szybko działać.

Podniósł chrapliwie dyszącego kota, który miał zmiażdżone tylne łapy. Po pewnym czasie i wysiłku znalazł dom i zadzwonił. Ray otworzył mu natychmiast, właśnie miał wychodzić, czekał przy drzwiach na opiekunkę, ale zamiast niej w drzwiach stał przemoczony mężczyzna z zakrwawionymi rękami, w których trzymał mokrego, rżężącego kota.

– Czy to Viv przyszła? – rozległ się dziecięcy głosik.

– Nie, Elżuniu, zostań na górze, proszę. Vivianne zaraz przyjdzie.

Chciał oszczędzić córce widoku umierającego kota, jednak wpuścił mężczyznę do domu. Nie wyglądało to dobrze. Poszukał numeru weterynarza, zaczął dzwonić, ale kierowca dał mu znak, że już za późno. Kot przegrał walkę o życie, nastąpiła cisza, która była jeszcze bardziej przytłaczająca.

– Bardzo pana przepraszam. Nie widziałem tego kota. Naprawdę nie widziałem.

– To jest kotka.

Ray zachowywał spokój i uspokajał kierowcę. Gdzie się podziwia Vivianne? – myślał, słysząc jednocześnie, że córka schodzi po schodach. Nie mogła przecież zobaczyć takiego zakrwawionego kota.

– Elżuniu, już powiedziałem, żebyś została na górze – upomniał córkę

delikatnie, ale stanowczo. – Vivianne jeszcze nie przyszła.

Spojrzał na zegarek, powinien teraz wyjść, inaczej się spóźni. Gdzie się podziewa opiekunka? Tak czy siak, najpierw trzeba zająć się człowiekiem z kotem.

– Proszę umyć ręce, jest pan cały zakrwawiony. Proszę poczekać, poszukam jakiegoś pudełka dla kota.

Szukał w garażu kartonowego pudełka, kiedy usłyszał, że Vivianne stawia rower przy ścianie. Wpuścił ją do środka. Jeszcze zanim zdołała przywitać się z Rayem, zobaczyła nieznanego, który w zakrwawionych rękach trzymał martwego kota.

– Minka, Minka, Minkuniu, to niemożliwe, niemożliwe. – Vivianne wybuchła płaczem, jak gdyby to jej własny kot został przejechany.

Ułożyli Minkę w pudełku. Elżbieta zeszła właśnie na dół, ponieważ usłyszała, że Vivianne już jest i że stało się coś strasznego.

– Co się stało z Minką?

Spojrzała ze strachem na nieznanego w holu. W tym momencie on też nie mógł powstrzymać łez. Zrozumiał, że zabił nie tylko kota, lecz także przyjaciela małej dziewczynki. Ray jako jedyny pozostał spokojny i panował nad sytuacją. Trójka płaczących ludzi i nieżywy kot w pudełku, na kolanach córki. Teraz powinien wyjść. Musi wyjść, ale nie może. Nie śmiał tego powiedzieć, jednak powiedział:

– Muszę zaraz wyjść. Właściwie teraz. Muszę teraz wyjść.

Elżbieta zaczęła krzyczeć.

– Tato, jak możesz tak mówić! Minka nie żyje!

– Nie możesz przełożyć spotkania? – zapytała Viv.

– Tak, tato, zostań, proszę cię, zostań! Nie chcę, żebyś wychodził!

– Nie mogę przełożyć. Nie mogę zadzwonić, ja... to spotkanie jest bardzo ważne. Muszę teraz wyjść.

Viv, która zwykle miała wiele szacunku dla Raya, tym razem nie pozwoliła mu skończyć.

– Wyjdź później, spóźnij się tym razem. Nie możesz nas tak zostawić. Co mam zrobić z tym martwym kotem? Zuzanna wróci dopiero za trzy godziny.

Elżbieta podbiegła do taty i objęła go rękami za szyję.

– Tato, zostań, proszę. Nie zostawiaj nas samych. Zrób to dla mnie!

– Elżuniu, już jestem spóźniony, muszę jechać do Evergreens... studentka...

W tych słowach brzmiała rozpaczliwa rezygnacja, ale nie mógł uciec od wzroku córeczki. Trzymał ją mocno, dopóki się nie uspokoiła. Obiecał, że zostanie dłużej specjalnie dla niej. Potem wskazał kierowcy drogę do łazienki, żeby mógł umyć ręce. Podziękował mu, mówiąc, że wielu kierowców pojechałoby po prostu dalej, a potem go pożegnał. Następnie wrócił do salonu, do Elżbiety i Vivianne, żeby je uspokoić. Córka płakała tak rozpaczliwie, że zasnęła w końcu na kanapie,

obok pudełka z kotem, który wyglądał, jakby spokojnie spał. Dopiero wtedy wyszedł z domu, z ponadgodzinnym opóźnieniem.

8

Anagnoryzm

To był jeden z takich dni, o których już zaraz po przebudzeniu wiem, że nie skończą się dobrze. Czasami ogarniało mnie takie przecucie, zanim jeszcze na dobre otworzyłam oczy. Leżałam wtedy w łóżku, pogrążona w na wpół świadomych myślach i obrazach sennych z minionej nocy, a tymczasem przecucie wylaniało się z głębi duszy i próbowało mną wstrząsnąć, nim rozpoczął się dzień. Miałam swoisty talent do przeczuwania lekkości lub ciężaru nadchodzącego dnia. Może to wcale nie był specjalny talent, może dzień określało po prostu uczucie, z którym się budziłam, a nie na odwrót. Mniej więcej raz na tydzień miałam takie przecucie, i to najczęściej złe, że nad moją głową zbierały się czarne chmury i przysłańały każde zdarzenie, które miało nastąpić tego dnia. Bardzo rzadko było to dobre przecucie, gdy wiedziałam, że będę szczęśliwa, niezależnie od tego, co się zdarzy. Będę po prostu szczęśliwa, chociaż nie ma nic trudniejszego niż po prostu być szczęśliwym. Ten dzień, kiedy miałam pójść do profesora Vernona, żeby odebrać książki, które obiecał mi na wykładzie, był właśnie taki.

Wzięłam prysznic i szykowałam się do wyjścia do Converse Hall. Postanowiłam pójść na piechotę, droga od kampusu UMass do centrum miasta zajmowała mi ponad pół godziny. Byłam trochę zdenerwowana perspektywą spotkania z profesorem Vernonem, chociaż bez żadnego powodu. Nie był moim profesorem, tylko Bernarda. Nie miało żadnego znaczenia, co o mnie pomyśli i nie musiałam zdawać u niego żadnego egzaminu na koniec semestru.

Jego pokój znajdował się na najwyższym piętrze. W budynku była winda, ale weszłam po schodach, więc do drzwi zapukałam trochę zziębnięta. Powinnam pojechać windą, zwłaszcza że wychodziła prosto na pokój profesora, ale także dlatego, że nie musiałabym stanąć przed nim z falującą klatką piersiową. Dopiero później uprzytomniłam sobie, że nie przywitał mnie, siedząc za biurkiem, że drzwi otworzyły się przede mną, kiedy tylko stanęłam przed nimi. Sprawiało to wrażenie, jakby czekał na mnie za drzwiami. Może usłyszał zdecydowane kroki moich kozaczków i stąd wiedział, że przyszłam.

Patrzyliśmy na siebie zdziwieni – on stał w otwartych drzwiach, a ja byłam jeszcze w korytarzu.

– Anna... – brzmiało jego niezręczne powitanie. Wymawiał moje imię z ledwo słyszalnym westchnieniem, może niespecjalnie serdecznie, ale raczej sympatycznie. Czterem głoskom mojego imienia nadał znaczenie, jakiego dotąd nie znałam, nie czułam się niemile widziana, jednak było trochę dziwnie. Nie wiedziałam zatem, co mam powiedzieć i zdołałam wykrztusić tylko:

– Panie profesorze...

Nieświadomie i bezwiednie przybrałam taki sam ton, z jakim on,

wzdychając, wypowiedział moje imię.

Chciałam przełamać trwającą potem ciszę, więc podziękowałam mu, że mogłam przyjść, ale nie zabrzmiało to tak, jak chciałam. Dostrzegł w tym jednak znak, usunął się na bok i zaprosił mnie do środka.

– Powiedz, Anno, co cię tu właściwie sprowadza?

– Eee... nie wiem na pewno... Pan mnie zaprosił, żebym przyszła.

– Tak, a może pamiętasz jeszcze dlaczego?

– Rozmawialiśmy o Kancie, Kancie i...

– Obiektywności doświadczenia estetycznego. Tak, o to chodziło. Rzeczywiście. Proszę, wybac mi, zupełnie o tym zapomniałem. Na pewno obiecałem ci jakieś artykuły. Będziesz pisała doktorat o...

– Emily Dickinson, chcę pogłębić temat, którym zajmowałam się w pracy magisterskiej w Belgii. O wątpliwościach w kwestiach wiary u dziewiętnastowiecznych poetów amerykańskich. Może połączę to także z tragicznym pięknem, jak w utworach Byrona i Keatsa, ponieważ moim zdaniem można je także znaleźć w wierszach Dickinson.

– Cóż to jest tragizm, a czymże jest piękno? – zapadła długa cisza, ale uznałam, że są to pytania retoryczne, więc tylko patrzyłam na niego, i to była moja odpowiedź.

– Właśnie, tak – ciągnął. – Już analiza obu tych pojęć oddzielnie może zapełnić wiele regałów w bibliotece. Jeśli ktoś chce zrozumieć coś z tragedii, powinien oczywiście przeczytać Nietzschego. Jeśli chce się zapoznać z pięknem, nie można pominąć Kanta. Przekonanie, że Kant uważał piękno za subiektywne, jest rażącym nieporozumieniem. Tak jakby przez szczeliny naszych sądów estetycznych nie przeświecało uniwersalne i transcendentne światło. Boskie światło.

– Niektóre osądy estetyczne wydają się całkowicie zamknięte, jeśli pomyśleć, co dziś ludzie uważają za piękno, a jaką brzydotę się ubóstwia. Nie potrafię sobie wyobrazić, że dotyka ich jeszcze jakaś strużka transcendentnej prawdy.

– Właśnie tak, bo nie wszystko, co ludziom wydaje się ładne, jest poprzedzone osądem estetycznym. Taka ocena wymaga myślenia, czyli wysiłku. Jak widać, nie wszyscy są do tego zdolni, chociaż wszyscy mają jakiś pogląd na temat piękna. Dla wielu piękno jest czysto zmysłowym doznaniem, a nie głębszym doświadczeniem, nadającym mu sens. Pierwsze doświadczenie zamyka drogę do czegoś wyższego, drugie otwiera człowieka na coś, co go przerasta. Piękno otwiera człowieka na dobroć, a więc na boskość.

– Jeśli tak na to patrzeć... to duchowni byliby największymi miłośnikami piękności.

– Miłośnicy piękności... może jesteś wielbicieleką Augustyna, dlatego go

cytujesz?

– Nie, mój ojciec.

– Jesteś wielbicieleką ojca?

– Nie, ojciec jest wielbicielem Augustyna. To, co pan powiedział, przywiodło mi go na myśl. Gdyby istniał ścisły związek między pięknem a boskością, to zakonnicy i zakonnice byłiby doskonałymi ekspertami w dziedzinie sztuki, a księża i papież najlepiej by rozumieli, czym jest prawdziwe piękno. Jednak w przeszłości to właśnie papieże i duchowni przyczynili się do zniszczenia wielu pięknych dzieł sztuki.

– Wszyscy mogą zbłądzić, szczególnie ci, którzy uważają, że są na właściwej drodze.

– Historia jest pełna złych ludzi podziwiających piękno i dobrych ludzi bez poczucia estetyki. W zeszłym roku czytałam książkę Vladimira Jankélévitcha.

– Rosyjskiego pisarza?

– Raczej francuskiego filozofa. Zmarł kilka lat temu.

– Nie czytam współczesnych filozofów francuskich, za dużo mówią, chociaż tak mało mają do powiedzenia.

– Jankélévitch jest wyjątkowym przypadkiem. Może powinien pan dać mu szansę. Napisał książkę o Gabrielu Fauré i zamyka ją słowami, że muzyka naprawdę budzi coś w człowieku, w jego sercu. Oczywiście, pod warunkiem że ma serce.

– Na człowieku bez uczuć piękno nie wywiera żadnego wrażenia.

– To prawda, chociaż potrafi on rozpoznać piękno. Tak jak naziści, którzy po dniu pracy spędzonym w obozie koncentracyjnym szli wieczorem do opery, żeby cieszyć się pięknem muzyki.

– Może powinienem zrewidować swoje zdanie o francuskich filozofach.

– Jaskółka wiosny nie czyni, ale może trochę złagodzić zimę.

Nie pamiętam dokładnie, jak długo siedziałam potem u niego w pokoju, pamiętam przede wszystkim niezdarne powitanie i koniec wizyty. Podszedł ze mną do drzwi. Staliśmy, tak jak na początku, naprzeciwko siebie. Teraz też oddychałam z trudem, chociaż tym razem nie wchodziłam po schodach. A potem jego policzek otarł się o mój policzek, a może to ja otarłam się policzkiem o niego, nasze usta spotkały się i delikatnie przywarły do siebie, nie od razu się rozłączyły, ale nie ułożyły do pocałunku. To była pieszczota dwóch twarzy, ust, które chciały i nie chciały się pocałować, warg, które chciały i nie chciały przylgnąć do siebie.

*

Zamiast wrócić do swojego pokoju, poszłam w kierunku pomnika pamięci ofiar wojny, usytuowanego w pobliżu gęsto zalesionych wzgórz Holyoke. Spacer był dla mnie od dawna wypróbowanym sposobem na uporządkowanie myśli, ale

tym razem potykałam się o nie. Siadłam przy pomniku w nadziei, że roztaczająca się aż po horyzont panorama drzew i widok nazwisk absolwentów służących w armii, wyrytych na pomniku, przyniesie mi spokój. Spokój wypływający z poczucia własnej nicości, uświadomienia sobie, że moje codzienne zmartwienia nic nie znaczą wobec historii i wspaniałości przyrody, której człowiek jeszcze sobie nie podporządkował. Tym razem jednak wzgórze i Memorial Monument nie przyniosły ulgi i nie potrafiłam uspokoić natłoku myśli. Czy on mnie pocałował, czy ja jego? Czy naprawdę się całowaliśmy? Wiedziałam, że tak, a jednak wydawało mi się, że tylko to sobie wyobraziłam. Kto całuje się z profesorem w wieku mojego ojca, może nawet starszym o kilka lat? Kim jest ten człowiek, który mnie tak pocałował? Dotyk jego miękkich warg i policzka był elektryzujący, po plecach przebiegły mi ciarki.

Chciałam komuś opowiedzieć tę historię i wróciłam do domu. Miałam nie tyle potrzebę podzielenia się nią, ile zwerbalizowania na głos. Może kiedyś ją komuś opowiem, uwierzę, że zdarzyła się naprawdę, że jego miękkie wargi i policzek godzinę temu dotykały mojej skóry. Jednak ponieważ nie miałam się komu zwierzyć, opowiadałam ją wciąż od nowa sama sobie. Nadal nie mogłam w to uwierzyć, ale byłam szczęśliwa, po prostu szczęśliwa, niezależnie od tego, czy wierzyłam w to, czy nie.

*

Bernard zaproponował, żebyśmy poszli coś zjeść przed zebraniem Exiles. Zaczynało się jak zawsze o ósmej, a ze względu na to, że miało tam być sporo wina, nie należało iść z pustym żołądkiem. Czasami ktoś przynosił kawałek sera zamiast wina, a inni z obawy przed brakiem wina przynosili dwie butelki. Profesor Vernon miał małą lodówkę w swoim pokoju, w której zawsze trzymał dwie butelki białego burgunda. „Dzień bez francuskiego wina jest dniem straconym” – brzmiała jego typowa odpowiedź, jeśli ktoś z dezaprobatą oceniał zawartość lodówki.

– Czekasz z niecierpliwością? Po dzisiejszym wieczorze nie będziesz chciała opuścić żadnego spotkania.

– Tego się spodziewam, inaczej bym się nie zgodziła. Poprzeczka jest teraz wysoko. Czy on śpiewa czasami na wieczornych spotkaniach?

– Nie, zaskoczyło mnie to śpiewanie na ostatnim wykładzie. Od czasu do czasu nucił jakąś melodię, ale nie można się było zorientować, czy umie śpiewać.

– Jeszcze długo słyszałam tę melodię w głowie.

W tym samym momencie zaczęliśmy śpiewać razem:

– Jam, bam, bam, bam...

Po czym oboje spontanicznie wybuchliśmy śmiechem. Nie było to na pewno wyśmiewanie się. Nasz ton i forma miały w sobie coś lekkiego, ale wspomnienie wykładu z poprzedniego tygodnia nie było przez to dla nas mniej bliskie. To, że

potrafilismy być jednocześnie poważni i niepoważni, bez żadnych nieporozumień, potwierdzało więz i zrozumienie, jakie wytworzyło się między mną i Bernardem.

W ciągu ostatnich miesięcy miałam kilka nocnych przygód, które rano, po przebudzeniu, nie pozostawiały żadnego śladu intymności. Z Bernardem było inaczej, może dlatego, że zachorowałam u niego i że się mną opiekował. Zachowywał się jak przyjaciel, jakbym go znała od dziecka, toteż nie poszłabym z nim do łóżka ot tak, bo seks nie zbliżyłby nas do siebie, lecz oddalił.

Butelka, którą Bernard ścisnął pod pachą, przypomniała mi, że wypadaloby coś ze sobą zabrać.

– Chciałabym jeszcze kupić butelkę wina po drodze – powiedziałam. – Albo ser.

– Nie trzeba. Przychodzisz pierwszy raz, nikt nie oczekuje, że pojawisz się z alkoholem. Wina będzie dosyć.

– Właśnie dlatego, że będę pierwszy raz, chciałabym coś przynieść. Czy nie uważasz, że...

– To weź tę butelkę. Nie ma reguł, co kto przynosi, a zważywszy, że wszyscy cierpią na lęk przed niedostatkim wina, to na pewno go nie zabraknie.

Ze śmiechem wcisnął mi butelkę do ręki. Poczulałam ulgę, że nie przyjdę z pustymi rękami do profesora Vernona. Butelka będzie dla mnie wsparciem, będę miała coś do zrobienia po wejściu, na przykład otworzę ją lub postawię na jakimś stole. Uniknę wzroku profesora, jeśli będzie trzeba.

– Dziękuję, Bernardzie, że mi ją dałeś. To miłe z twojej strony. Nie czulałabym się dobrze z pustymi rękoma.

– Ty też jesteś dla mnie bardzo miła, Anno. – Bernard wziął mnie za rękę. Spojrzałam na niego, a on powiedział śmiertelnie poważnie: – Bardzo cię lubię.

– Ja ciebie też bardzo lubię – odpowiedziałam raczej automatycznie.

Nie przewidziałam konsekwencji tego dialogu. Nagle szliśmy po ulicach Amherst pod rękę na zebranie Exiles. Nie mogłam przestać myśleć o profesorce. Co sobie pomyśli, kiedy zobaczy, że przyjdę pod rękę z Bernardem? Czy naprawdę pocałowalismy się w zeszłym tygodniu, jeśli tak, to jak to wygląda? Z jednym się całuję, z innym chodzę pod rękę.

Przyszliśmy jako ostatni. Postawiłam butelkę na parapecie obok sześciu innych.

– Tyle wina – zauważyłam głośno, chociaż miałam zamiar zatrzymać tę uwagę dla siebie.

– Nie ufaj nikomu, kto nie pije wina, Anno – powiedział profesor Vernon.

Popatrzyłam na niego przelotnie, ale bałam się, że zacznę się rumienić, więc poszukałam wzrokiem Bernarda, który zawsze się uśmiechał, ilekroć na niego spojrzałam. Może on coś powie i nie dopuści do niezręcznej ciszy.

– Ha, to była pierwsza rada, jakiej mnie również udzielił! – odezwał się

wesoło Bernard, obejmując mnie czule ramieniem. Zrobił mi tymi słowami większą przysługę, niż się domyślał. – Druga rada: trzymaj zawsze butelkę dobrego wina w domu, nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się jakiś problem.

– Rzeczywiście, tak czasami mówię – przyznał profesor Vernon. – Ale to prawda. Nie ma takiego problemu, który nie staje się bardziej znośny z kieliszkiem wina w dłoni.

– Oprócz alkoholizmu – wymknęło mi się.

Wszyscy parsknęli śmiechem, tylko profesor zachował powagę, aż serce mi się przez chwilę ścisnęło. Kiedy śmiech ustał, powiedział:

– Inni wiedzą lepiej ode mnie. – Uśmiechnął się. – Jeśli mi nie wierzysz, to posłuchaj rady Benjamina Franklina: „Gdzie się dobrze pije, tam się dobrze żyje”.

Spotkanie wyglądało tak, że po powitaniach i nalaniu wina do kieliszków najpierw jeden z członków wygłaszał przygotowany przez siebie krótki wstęp. Zazwyczaj ktoś czytał fragmenty swojego eseju, następnie pozostali dyskutowali na ten temat pod kierunkiem profesora Vernona.

Tym razem Eryk przygotował tekst o rodzeniu się nacjonalizmu w dziewiętnastowiecznych Włoszech i roli, jaką w tym procesie odgrywał romantyzm. W tym semestrze Eryk występował ponownie. Właściwie była kolej na Bernarda, ale Eryk aspirował do kariery akademickiej. Komentarze grupy bardziej mu się przydadzą, więc Bernard chętnie ustąpił mu miejsca. Dyskusje nigdy nie były chaotyczne, chociaż przebiegały burzliwie. Kiedy głos zabierał profesor Vernon, wszyscy z uwagą przysłuchiwali się jego słowom, niektórzy nawet przytakiwali zbyt ochoczo. Eryk wyjął długopis i zaczął notować, wysuwając koniuszek języka, ponadto kiwał głową potakująco, jak podczas wykładu.

Spotkania trwały dwie, najwyżej trzy godziny. Profesor nie chciał, żeby konwersacje przeradzały się w hałaśliwą gadaninę po wypiciu zbyt wielu kieliszków wina. Kiedy zauważył przymglony wzrok członków Exiles, pierwszą oznakę upojenia, radził im udać się do domu spać – chociaż na próżno, bo nikt go nie słuchał. Całą grupą szli prosto do pubu, żeby utrzymać poziom alkoholu we krwi. Wydawało się nawet, że było im spieszo, bo gdy tylko profesor wstawał, dając tym sygnał do zakończenia wieczoru, wszyscy przepychali się już do wyjścia.

Pospiesznie zegnaliśmy profesora Vernona, który już począł sprzątać – chował resztki sera do lodówki, wstawiał brudne kieliszki do kartonu z przegródkami, a puste butelki do plastikowej torby. Dopiero na dole, przy głównym wyjściu z budynku, zauważyłam, że zostawiłam na górze szal.

– Może wróć? – zaproponował Bernard. Jednak Eryk, który już wyszedł z fazy mętnego spojrzenia, objął go ramieniem i nie słuchając, co mówi przyjaciel, rozpoczął pijacką gadkę pełną doraźnych mądrości.

– Nie trzeba – odpowiedziałam Bernardowi, zmierzając do windy. – Dogonię was w drodze do pubu.

Drzwi były jeszcze otwarte, więc nie musiałam pukać. Profesor Vernon właśnie zapinał marynarkę, kiedy weszłam.

– Mój szal – powiedziałam, ale zamiast podejść do krzesła, na którym wisiał, podeszłam do profesora, bo miałam wrażenie, że zrobił krok ku mnie. Pocałowaliśmy się, chociaż drzwi nadal były szeroko otwarte, a z dołu przez okno dochodziły głosy członków Exiles. Nikt z nich nie mógł nas widzieć, ale zarówno ich bliskość w czasie – jeszcze pięć minut temu wszyscy znajdowali się w tym pokoju – jak i bliskość fizyczna – mogliśmy ich słyszeć – wzmocniła intensywność pocałunku. Był szybki, delikatny, powściągliwy i jednocześnie pełen uległości. Jego smak obiecywał więcej. Czułam, jak profesor Vernon przesuwiał do góry kolano między moimi nogami, ale ponieważ czekano na mnie, musiałam się spieszyć. Moje usta stapały się z jego ustami w sposób, jakiego dotąd nie znałam, jak gdyby nasze wargi były dla siebie przeznaczone. Okręciłam szal wokół szyi, uśmiechnęłam się i wyszłam.

Odtąd całowanie się z Bernardem stało się znacznie trudniejsze. Byłam świadoma jego języka, długości pocałunku i oporu, jaki stawiało moje ciało przed czymś więcej. Nagle pocałunek stał się czymś najbardziej intymnym, co miałam do zaoferowania, czymś o wiele ważniejszym niż on sam. Środkiem, przez który przemawia dusza, kiedy pieczętuje ją dotyk ust.

Wiedziałam, że powinnam Bernardowi dać do zrozumienia, że nie ma co liczyć na związek ze mną, bo taką nadzieję hołubił w głowie i sercu. Tego wieczoru w pubie Eryk powiedział do mnie:

– Nie wiem, co zrobiłaś z Bernardem, Anno, ale on jest wreszcie szczęśliwy. Zaczęłam się już o niego martwić, bo ostatnio wyglądał wyjątkowo smutno, jednak dzięki tobie problem został rozwiązany. Dziękuję ci.

Te słowa uprzytomniły mi, że cokolwiek powiem, Bernard zawsze będzie miał nadzieję. Ktoś, kto chwytą się fałszywej nadziei, traci ją na zawsze.

*

W następnych dniach, po drugim pocałunku, chciałam jak najszybciej znaleźć jakiś powód, żeby wejść po schodach Converse Hall i pójść prosto do Vernona. Przeczytałam polecone przez niego artykuły, co kosztowało mnie sporo wysiłku, bo ciągle myślałam o jego delikatnych wargach i policzkach i kolanie przesuwającym się po wewnętrznej stronie moich nóg. Szukałam odpowiednich słów na początek. Przygotowałam ładne streszczenia, mogłam już zjawić się na konsultację, ale nie miałam odwagi. A co, jeśli jest u niego jakiś student? A jeśli niespodziewanie odwiedzi go żona? Nie mogłam przestać o tym myśleć. Podczas wykładów pogrążałam się w marzeniach, wieczorami nie mogłam się skupić na lekturze. W trakcie wszystkich zajęć albo kiedy byłam na przykład w kawiarni, z przyjaciółmi, gdy śmialiśmy się z głupiego dowcipu, kiedy patrzyłam, jak barman

nalewa piwo, szybko zjadając kanapkę, również podczas jazdy na rowerze i w czasie nocnych eskapad oraz leniuchowania, myślałam tylko o jego słodkich ustach.

Te myśli nie były zdrowe. Julia dobijała się do drzwi łazienki, dając mi do zrozumienia, że o wiele za długo stoję pod prysznicem:

– Niedługo zabraknie ci ciepłej wody, kochana!

Dopiero wtedy pojęłam, że oblewałam się zimną wodą, żeby ostudzić gorące wspomnienie jego ust. Dłużej tak nie można. Nikt nie powinien tak na mnie działać. Bernard stanowił bezpieczniejszy wybór pod każdym względem. Dlaczego nie miałabym się skupić na nim? Powinnam skończyć z profesorem Vernonem, chociaż nie bardzo wiedziałam, co skończyć, bo nic się właściwie nie wydarzyło. Poszłam do jego pokoju bez uprzedzenia. Było mi wszystko jedno, czy ktoś tam będzie, czy nie.

– Anno, nie spodziewałem się ciebie, ale bardzo się cieszę, że cię widzę.

– Dlaczego? – zapytałam. I przeklinałam się w duchu, że nie posłużyłam się wyuczoną kwestią.

– Czy to nie oczywiste, dlaczego jestem zadowolony?

Wstał, wyciągnął rękę i pogłaskał mnie po lewym policzku. Teraz powinnam powiedzieć: Pan nie może mnie więcej całować. Teraz, zaraz. Powiedz, Anno, powiedz teraz, nakazywałam sobie, jednak w tym samym momencie położyłam rękę na jego dłoni, przesunęłam ją lekko do ust i zaczęłam całować jej wnętrze. Potem nadgarstek, przedramię, usta. Nie bardzo wiem, dlaczego to zrobiłam, ale nie mogłam się powstrzymać. Poczułam jego rękę na nagiej skórze moich pleców i zaczęłam rozpinąć jego koszulę, moje wargi pragnęły każdego skrawka jego skóry. Dłonie Vernona ślizgały się po moich plecach, żeby rozpiąć biustonosz. Oboje byliśmy winni temu, co się stało. Nie było w tym nic zwierzęcego, ale instynktownie czuliśmy, że nasze ciała były stworzone do tego, żeby się połączyć. Kochaliśmy się na podłodze, dzieliliśmy rozkosz w ciszy, chociaż nasze ciała krzyczały.

Zastanawiałam się potem, jak mogliśmy to zrobić, ot tak, po prostu. Podczas gdy jego koledzy w sąsiednich pokojach w skupieniu czytali i pisali, przygotowywali wykłady lub udzielali studentom konsultacji, myśmy się zagubili i odnaleźli. Jak mogłam tak odważnie i bez zahamowań rzucić się na jego ciało? A jak było z nim? Czy robił to po raz pierwszy? Wydawało mi się, że nie mogło być inaczej, ale nie byłam pewna. Postanowiłam go o to zapytać, jednak ilekroć zjawiałam się u niego, zaczynaliśmy się nawzajem rozbierać, zanim któreś się odezwało. Nie było wiele do powiedzenia, chociaż dużo zostało powiedziane.

– Dziękuję, Anno.

Pocałował mnie w nos, położył głowę na moim brzuchu, ucho przycisnął do pępka i leżał tak przez chwilę. Głaskałam go delikatnie po plecach, włosach

i powoli dochodziłam do siebie. Na początku dziwiło mnie, że mi dziękuje za to, że się kochaliśmy, ale później sama mu też dziękowałam.

*

Nie pamiętam dokładnie chronologii wydarzeń między mną, Bernardem i profesorem Vernonem. Udało mi się doprowadzić do bezpiecznych, niemal czysto przyjacielskich stosunków z Bernardem, nie raniąc go i nie odpychając całkowicie. Powiedziałam, że nie chcę się wiązać z żadnym Amerykaninem, ponieważ niedługo wracam do Europy. Rozumiał to, chociaż wciąż na mnie czekał, a tego nie mogłam zmienić.

– Teraz, kiedy cię znalazłem, nie pozwolę ci tak łatwo odejść, nawet gdybym miał czekać dziesięć lat albo przeprowadzić się do Europy.

Miałam stałe poczucie winy z powodu jego uczucia do mnie i z każdym tygodniem coraz bardziej mi ono ciążyło.

Z profesorem Vernonem, którego nazywałam tymczasem Ray, osiągnęłam ciche porozumienie w sprawie naszego związku, umowę, którą za każdym razem w milczeniu pieczętowaliśmy naszymi ciałami. Nie pamiętam dokładnie, jak doszliśmy do tego porozumienia, ale przychodziłam do niego trzy razy w tygodniu w najbardziej bezpiecznych momentach, zarówno dla niego, jak i dla mnie. Wykładał dwa przedmioty, każdy dwa razy w tygodniu. Konsultacje były podzielone na stałe, dwugodzinne bloki. W przerwach znajdował czas dla mnie. W czwartki szliśmy razem na lunch, bo widzieliśmy się podczas przerwy południowej. Zazwyczaj niewiele jedliśmy.

– Wystarcza mi twój smak – mówił, kiedy wodził językiem po moim ciele.

W poniedziałki mieliśmy tak mało czasu, że nawet go całkiem nie rozbierałam. Tego dnia kochaliśmy się najczęściej na biurku, potem czytał mi jeszcze szybko swoje nowe teksty albo zwięźle streszczał wykład, który miał wkrótce wygłosić. We wtorki mieliśmy dla siebie trzy godziny. Różnie je spędzaliśmy. Szukaliśmy granic naszego pożądania przy ścianie, na podłodze, przy stole, na krześle. Odkryliśmy w pokoju chyba wszystkie dostępne kąty. Po seksie, który zawsze był najważniejszy, czytał coś z moich prac. Kładł papiery na moim ciele i zawsze całował najpierw moje piersi i sutki, jakby w ten sposób próbował złagodzić krytyczne słowa dotyczące jakiegoś błędu czy niejasnego sformułowania.

Oczywiście nie mogliśmy udawać przez trzy godziny bez przerwy, że za drzwiami nie istnieje świat. Ktoś mógł zapukać do drzwi w każdej chwili. Ubieraliśmy się. Przez resztę czasu on siedział za biurkiem, ja zaś na starym, zużytym fotelu w kącie. Radio grało cichutko – zawsze muzyka klasyczna ze stacji WCRB. Słuchaliśmy, czytaliśmy, próbowaliśmy coś pisać, ale nasze oczy ciągle szukały kontaktu, intensywnie, chociaż niemal zastygały w bezruchu.

– To jest *Bahn frei* – powiedział niezwykle dla siebie, radosnym tonem,

przerywając ciszę. – Eduarda Straussa. Wiesz, jak się tańczy polkę?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, podniósł się zza biurka i wyciągnął do mnie rękę. Wstałam i cisnęłam książkę, którą czytałam za siebie, na fotel.

– Pozycja początkowa jest taka sama jak w klasycznym tańcu towarzyskim.
– Położył prawą rękę na moim lewym ramieniu. – Musisz naśladować moje kroki: raz... raz dwa, raz dwa. Dwa razy i hop, pół obrotu.

Mówiąc to, podskoczył trochę niezręcznie, a potem zaczęliśmy od nowa.

– Hop i pół obrotu.

Wyglądało to trochę niezdarnie, jednak nie psuło przyjemności. Ray zachowywał zazwyczaj powagę, kiedy coś robił albo mówił, lecz teraz z jego oczu promieniowała niewinna przyjemność z zabawy. Trwało to jednak bardzo krótko i równie nieoczekiwanie jak się pojawiło, zniknęło za właściwą mu fasadą solenności. W słowach niepozostawiających wątpliwości dawał do zrozumienia, że życie jest zbyt poważną sprawą, żeby pozwalać sobie na lekkomyślność, nie mówiąc już o frywolności.

– To była polka galopka – powiedział, kiedy usiedliśmy z powrotem. – Nie jest to idealne miejsce do nauczenia się jej podstawowych kroków, ale mam nadzieję, że kiedyś ci się to uda. Taniec jako taki ma o wiele większe znaczenie niż tylko samo tańczenie.

Zamknął się znowu w sobie, całkowicie pogrążony we własnych myślach. Nie wiedziałam, nad czym się zastanawia, ale to mi nie przeszkadzało. Tak było dobrze, mogłam się zagłębić w siebie. Kilka minut później nasze oczy spotkały się ponownie. Pragnienie, które w nich wyczytaliśmy, obudziło pożądanie. Podszedł do mnie, pochylił się i pocałował mnie w szyję.

– Nawiasem mówiąc, czy mogłabyś się nie perfumować, kiedy przychodzisz tutaj?

– Nie lubisz moich perfum?

– Lubię, ale zostawiasz ślad zapachu w pokoju i na moim ciele. Musimy być ostrożni.

– Myślałam, że nie podoba ci się mój zapach.

– Cudownie pachniesz, poperfumowana czy nie. Pozwól, że jeszcze raz zbadam, czy to prawda.

Powąchał mnie za uszami, wodził nosem po szyi, podążając śladem zapachu.

– Cudownie.

Ukląkł i rozpiął moją bluzkę, powąchał mnie między piersiami.

– Jeszcze lepiej.

Rozpiął spodnie, podniosłam lekko biodra, żeby jednym powolnym ruchem mógł je zręcznie ściągnąć wraz z figami. Polizał moje krocze.

– Anna, najsmaczniejsza.

Rozkosz, która potem nastąpiła, była tak intensywna, że prawie rozrywała

ciszę.

Tygodnie mijały bardzo szybko; zanim się zorientowaliśmy, większa część semestru była już za nami. Na trzecim czy czwartym spotkaniu Exiles przyszła moja kolej na prezentację. Na ogół starałam się pozostawać w tle i niewiele mówiłam, bałam się, że się przejęzyczę i powiem „Ray” zamiast „panie profesorze”. Jednak w pewnym momencie nie mogłam się już wykręcić i wszyscy czekali na moje wystąpienie. Zgodziłam się, pod warunkiem że Bernard przyniesie trąbkę i coś dla nas zagra. To było posunięcie strategiczne, żeby w razie czego skierować rozmowę na inne tory. Ray zawsze obszernie komentował wystąpienia i mógł się również pomylić, nie tyle w słowach, ile w sposobie wypowiedzi. Czy potrafi zanalizować moje wystąpienie, nie myśląc o tym, co wspólnie przeżyliśmy? Czy potrafi zachować obojętną twarz, żeby nie zdradzić, co się dzieje w jego głowie? Nie byłam pewna, muzyczne intermezzo na trąbce było kołem ratunkowym, którego mogliśmy użyć, jeśliby groziło nam zatopienie się w pożądaniu.

Podczas spotkania Ray również był zdenerwowany i znacznie cichszy niż zazwyczaj. W trakcie wystąpienia ledwie zaglądałam do notatek, gdzie miałam pomocne punkty i uwagi, ale kiedy spojrzałam na słuchaczy, napotkałam szeroki uśmiech Bernarda, a Ray podpierał policzek ręką, która częściowo zasłaniała usta. Patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem. Dowodziłam, że krytycy, którzy utrzymywali, że wiersze Emily Dickinson są tylko próbami literackimi, a nie skończonymi dziełami, nie mają racji. Po moim wystąpieniu dyskusja z trudem nabierała tempa.

– Może odświeżymy atmosferę – powiedziałam, żeby odwrócić uwagę od mojej osoby. – Jak zapewne widzicie, Bernard zabrał ze sobą trąbkę.

Bernard wyjął instrument z futerału.

– Świetnie – odezwał się Eryk. – Dość często słyszeliśmy, jak mówisz o swojej trąbce, ale nigdy nie mieliśmy okazji usłyszeć, jak grasz.

Wszyscy się z nim zgodzili.

Bernard przykręcił tłumik do trąbki i wykonywał ćwiczenia oddechowe, co dla reszty zgromadzonych z jakiegoś powodu stało się źródłem wesołości. Jemu chyba to nie przeszkadzało, a kiedy rozległy się pierwsze dźwięki adagia *Koncertu c-moll* Marcella, zapadła cisza jak makiem zasiał. Ray uśmiechnął się i popatrzył na mnie trochę dłużej, pierwszy raz tego wieczoru, może dlatego, że oczy wszystkich były zwrócone na Bernarda, a on sam patrzył na swoje palce. Utwór się wnet skończył, wszyscy wstali, żeby pogratulować wykonawcy. Chciałam go tylko uścisnąć po przyjacielsku, ale był tak przejęty, że ze śmiechem przytulił mnie mocno do siebie.

Po wystąpieniu Bernarda Ray nadal był cichy, a niebawem wszyscy zaczęli się zbierać do wyjścia.

– Zwykle Vernon komentuje o wiele obszerniej – powiedział Rupert w pubie, dokąd się wybraliśmy, opuściwszy Converse Hall. – Zgodzicie się ze mną? Był dzisiaj trochę milczący.

Wszyscy mu przytaknęli. Nie śmiałam się odezwać i miałam nadzieję, że szybko zmienimy temat.

– Może miał ciężki dzień. Mimo wszystko profesor jest tylko człowiekiem – bronił Eryk Raya.

– Może wystąpienie Anny było tak doskonałe, że nie miał nic do dodania – powiedział Bernard, kładąc mi dłoń na karku gestem, który często powtarzał, kiedy o mnie mówił.

– Myślę, że chciał mieć jak najszybciej za sobą dyskusję na temat mojej prezentacji, żeby posłuchać gry Bernarda. To był przecież kulminacyjny punkt wieczoru – odpowiedziałam szybko, żeby zmienić temat. I już nie wrócono do niego.

*

Wielkanoc w 1991 roku wypadła dość wcześnie, w ostatni dzień marca. Ray nie mógł się ze mną spotkać w Wielkim Tygodniu. Mimo że nasze współzycie układało się harmonijnie, teraz pojawił się pierwszy dysonans.

– Ray, czy często myślisz o mnie, kiedy nie jesteśmy razem?

– Zawsze o tobie myślę. Ty, twój uśmiech, twoje ciało są we mnie zawsze obecne. Są wyryte na siatkówce mojego wewnętrznego oka.

Powiedział to powoli, spokojnie, nie odwracając się do mnie.

– Nawet kiedy kładziesz się wieczorem do łóżka obok żony?

W moim głosie krył się smutek, a Ray go usłyszał, może dlatego, że też nosił w sobie taki smutek. Podniósł głowę z mojego brzucha i popatrzył mi prosto w oczy.

– Co czujesz, kiedy jesteś z Bernardem, przecież jesteście parą?

– To jest nieuczciwe, Ray. Nie jestem żoną Bernarda. Jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi, natomiast otoczenie myśli, że jesteśmy parą. Trudno ci to pojąć?

– Tak, nie chcę cię z nikim dzielić. Ani z Bernardem, ani z nikim. Chcę cię mieć tylko dla siebie.

– Jak śmiesz o to prosić? Masz żonę, dziecko, dom, do którego codziennie wracasz.

– O nic nie proszę, mówię po prostu, co czuję. Nie chcę cię z nikim dzielić, chciałbym, żebyś była tylko moja. Dziwnie się czuję, kiedy Bernard cię obejmuje albo otacza ramieniem, kiedy jesteście tutaj. Myślę wtedy tylko: Bernardzie, nie rób tego, to jest moja ręka, moje ramię. Ona należy do mnie. Jest mi nieprzyjemnie, kiedy widzę was razem.

– A jak myślisz, co ja czuję? Myślisz, że jest mi przyjemnie, że zaraz pójdiesz do domu? Ostatnio widziałam cię na ulicy z córką. Serce stanęło mi z wrażenia. To boli. Boli, że nie należysz do mnie, że masz rodzinę i dziecko z inną kobietą. Boli, bo czuję się złym człowiekiem. Jak wąż z rajskiego ogrodu.

– Nie mów tak, Anno. Nie jesteś wężem. Jesteś moim... – Ray szukał właściwego słowa. – Anagnoryzmem, odkryciem. Myślałem, że poza literaturą coś takiego nie istnieje, ale kiedy weszłaś na salę wykładową, poczułem, jak moje ciało przeszywa błyskawica zapowiadająca burzę. Zaraz potem, kiedy na mnie spojrzałaś, w mojej duszy zajaśniało słońce... Do tej pory nie rozumiem, ale znajduję się w plątaninie uczuć i faktów, które z trudem ogarniam i nie mogę od nich uciec. Fakty są takie, jakie są, nie mogę cofnąć czasu. Jestem prawie o czterdzieści lat starszy od ciebie. To prawda: jestem żonaty i jestem ojcem Elżuni, wiedziałaś o tym, zanim zaczęliśmy się spotykać.

– Ty też wiedziałaś, że łączy mnie coś z Bernardem. Wiedziałaś o tym przed pierwszym pocałunkiem. Więc to pewnie też jest okay?

– Nie to miałem na myśli. Po prostu miałem za sobą bardzo długie życie, zanim się w nim pojawiłaś.

– Nie wiem, co miałaś na myśli, ale nie wyobrażaj sobie, że tylko tobie jest trudno. Czasami nie wiem, co mam myśleć. Czy po prostu lubisz seks ze mną, czy to coś więcej? Czego ode mnie oczekujesz? Cieszysz się, że wracam w lecie do Europy? Czy dlatego zacząłeś się ze mną spotykać, bo to jest bezpieczne, gdyż niedługo wyjeżdżam?

– Przeciwnie. Nie, szczerze mówiąc, wolę nie myśleć o tym, że na koniec semestru wyjedziesz za ocean.

– Czasami mam ochotę z tym skończyć, uciąć te spotkania. Zwłaszcza odkąd zobaczyłam cię idącego z córką za rękę. Twoja córka była taka szczęśliwa. Gdyby spełniło się to, czego chcę, to, czego chcemy, to z jej twarzy natychmiast zniknęłoby szczęście. Ta dziewczynka ma wszelkie prawo mnie nienawidzić. Czuję się złym człowiekiem i nie rozumiem tego, bo przecież ja cię tylko kocham i chciałabym jak najwięcej być z tobą. Chciałabym cię częściej widywać, gotować dla ciebie, zmywać razem naczynia po obiedzie, chciałabym widzieć, jak myjesz zęby, jak zasypiasz wieczorem. Chciałabym całą noc leżeć w twoich ramionach i po obudzeniu czuć ciepło twojego ciała...

Słowa klejnoty

Może ojciec miał rację, kiedy powiedział, że cytat jest jak cukierek, który trzeba powoli rozpuszczać na języku, żeby w pełni docenić jego smak.

– Słowa trzeba smakować, nie pożerać, a już na pewno nie należy ich bezmyślnie połykać.

Irytowali go ludzie niestarannie dobierający słowa.

– Kto nie dba o język, nie dba o myśli. Kto nie dba o myśli, zabija duszę.

Elżbietę obudziło zimno. Myśli o tych słowach ojca, być może po raz pierwszy próbuje je smakować. Jest dopiero połowa listopada, ale przyszły już silne mrozy. Zapala nocną lampkę, bierze dodatkowy koc i siada na łóżku z podwiniętymi kolanami, opierając plecy o pikowany zagłówek, dlatego bez dodatkowej poduszki siedzi prosto i całkiem wygodnie. Patrzy przez chwilę na pustą ścianę i wie, że nie od razu zaśnie, bo ma zimne dreszcze. Próbuje rozgrzać stopy rękami i wysoko podciąga kołdrę, żeby ciepło nie uciekło. Nie ma specjalnej ochoty na czytanie, ale bierze do ręki jeden z ojcowskich zeszytów z cytatami, leżących obok łóżka. Od kilku dni przegląda je i niekiedy czyta jakiś cytat, na który przypadkiem padnie jej wzrok. Patrzenie na rzędkie ozdobnych liter sprawia jej przyjemność, chociaż nie do końca zdaje sobie z tego sprawę. Ojciec miał wyjątkowy charakter pisma: pisał niezwykle małymi literami, lecz bardzo czytelnie.

Często widziała, jak notuje coś w zeszycie, i wiedziała wtedy na pewno, że zapisuje cytat, bo tylko do tego używał wiecznego pióra z ciemnobrązowym atramentem. W skupieniu, powoli zapisywał cytat dnia. Nigdy nie zwracała na to uwagi, ale teraz rozumie, dlaczego chciał go jeszcze przeczytać jej na głos: podsumowywał dzień, który razem spędzili. Wtedy nie interesowało jej to specjalnie, nawet kiedy właśnie wrócili z popołudniowego spektaklu *Czarodziejskiego fletu* w opracowaniu dla dzieci. „Muzyka to nie tylko nuty, ale także cisza pomiędzy nimi” – Mozart.

– Daj sobie z tym spokój. Jeśli będę chciała użyć czyichś słów, to sama ich poszukam. Wolę mówić własnymi słowami niż cudzymi.

– Jeśli cytujesz czyjeś słowa, to należą do ciebie.

– Może, ale nadal to jest czyjaś mądrość, do której się odwołujesz.

Elżbieta myślała, że dobrze to ujęła, ale ojciec tylko się uśmiechnął i powiedział:

– Sztuka cytowania nie polega na używaniu cudzych słów, ale na ich mądrym użyciu. Właściwy cytat we właściwym momencie.

– Inaczej mówiąc: przestań teraz czytać te cytaty, bo to nie jest odpowiedni moment.

Ojciec nadal pisał w milczeniu, lecz od czasu do czasu ponawiał próbę przeczytania córce cytatu lub wiersza. Nigdy jednak mu się to nie udało, a im bardziej się starał, tym większy opór stawiała. Gdyby zeszyty z cytatami nie były takie ładne, pewnie i teraz nie poświęciłaby im aż tyle czasu, ale skórzane okładki i strony zapisane z benedyktyńską cierpliwością wprost prosiły się, żeby ich dotykać, oglądać je i podziwiać jak naszyjnik zrobiony z pożyczonych słów – klejnotów.

„Miłość jest jak życie – tylko dłużej trwa” – napisał pośrodku dużymi literami, na stronie rozpoczynającej nową część. Nie ma tam żadnej daty, żadnej osobistej refleksji, brak źródła cytatu. Teraz Elżbieta zamyka zeszyt i rzuca nim tak, że ląduje w nogach łóżka. Że też to on akurat musiał napisać. Co on wiedział o miłości? Przekręca się na bok, wyciąga nogi i zeszyt spada z łóżka. Miłość, która trwa dłużej niż życie? Dożył późnej starości, a ile lat kochał mamę? Niespełna piętnaście. Żartowniś. Jego miłość była opieczętowana nieusuwalną datą ważności.

Takie myśli jeszcze bardziej utrudniają zaśnięcie. Jak miłość może trwać dłużej niż życie ludzkie? Trzeba żyć, żeby kochać, czyż miłość nie jest więc ograniczona jak samo życie? Jest nie tylko ograniczona, lecz ma także granice, bo jest miłość i miłość. Kota kocha się inaczej niż córkę. Czasami można kogoś nienawidzić dlatego, że się go miłuje. Elżbieta często spotyka się z tym zjawiskiem w swojej pracy, ludzie uginają się pod naporem złych uczuć, jakie żywią do tych, których kochają. Waha się wtedy zawsze i zastanawia: kochają czy nie kochają? Takie pytanie zadawała sobie także wtedy, kiedy jej matka mówiła o ojcu. Czy jej złość wypływała z nienawiści, czy z miłości? Powstrzymywane łzy w zeszłym tygodniu, kiedy jadły indyka z sosem żurawinowym: czy to były łzy powściąganey latami nienawiści i upokorzenia, które prześladowały ją po rozwodzie, czy resztki miłości do Raya i smutku, że go już nie ma? Czy to jest miłość dłuższa niż życie, kiedy ludzie nadal kochają kogoś po jego śmierci? Jednak wtedy miłość zależy od osoby, która żyje, a więc miłość nie jest dłuższa od życia, w pewnym sensie jest tak długa jak życie najdłużej żyjącej osoby, która kocha...

Myśli, które początkowo wytrąciły Elżbietę ze snu, zmęczyły ją tak bardzo, że w końcu zasnęła.

*

Z trudem udaje jej się zamknąć bagażnik załadowany książkami. Chociaż pudełka zajmują całe tylne siedzenia, miejsce obok kierowcy i miejsce na nogi pasażera, to i tak nie jest to nawet połowa kolekcji ojca, którą ma zamiar podarować Frost Library. Przed wejściem do Converse Hall umówiła się z Erykiem, który pomoże jej dostarczyć książki w odpowiednie miejsce. Pokój Eryka wychodzi na Boltwood Avenue, jeden z niewielkich pasów zieleni w mieście. W zeszłym miesiącu drzewa były jeszcze przepiękne, ale prawie nic nie

zostało z oszłamniających szat jesiennych, rośliny zrzucały je stopniowo w coraz chłodniejsze dni i noce.

Kiedy Ray przeszedł na emeryturę, mógł zachować swój pokój jeszcze przez kilka lat, dopóki był aktywny i wygłaszał gościnnie wykłady. Było dosyć pomieszczeń, żeby zapewnić miejsce pracy nowemu personelowi i początkującym naukowcom. Na jego pokój usytuowany obok hałaśliwej windy nie było zbyt wielu chętnych. Pięć lat temu Ray usłyszał, że musi zwolnić pokój, ale Erykowi udało się go przejąć raczej z sentymentu niż dla wygody. zaproponował Rayowi, żeby nadal korzystał z pokoju, ale ten mu podziękował.

– Myślę, że wystarczy. Pocieszam się Seneką: każdy nowy początek wywodzi się z końca innego początku. Zaczęłam tu pracować kilkadziesiąt lat temu. Cieszę się, że koniec mojej pracy jest początkiem dla kogoś innego.

Po jakimś czasie Eryk przyzwyczaił się do dźwięku windy, a w zamian miał pokój, do którego kilkadziesiąt lat temu pukał jako student, kiedy przychodził na konsultacje do profesora Vernona.

Jeszcze wiele lat przed śmiercią Raya Elżbieta wiedziała, że Eryk jej pomoże i że będzie mógł zatrzymać sobie niektóre książki. To był rodzaj spuścizny dla jedyne go intelektualnego potomka Raya. Pracowali razem przez ponad dwadzieścia lat. W karierze Eryka Ray odegrał rolę mentora. Nim cokolwiek przedsięwziął, omawiał to najpierw z Rayem. Postępował tak, nawet kiedy sam został profesorem, a w pracy akademickiej, z punktu widzenia dzisiejszych standardów, odnosił większe sukcesy niż kiedykolwiek Ray.

W przeciwieństwie do Raya Eryk miał zdolność analizy własnych przemyśleń i umiejętność pisania kolejnych artykułów, będących wariacjami na ten sam temat. Artykuły czytała tylko garstka specjalistów, a największy sukces polegał na powołaniu się przez autora artykułu na określony tekst, czytany także tylko przez garstkę specjalistów. Ta umiejętność stała się synonimem kompetencji naukowych, lecz dla Raya była tożsama z przerażającym zubożeniem środowiska akademickiego. Współczesny naukowiec musi więcej pisać niż myśleć, ale nie można napisać nic sensownego, dopóki odpowiednio nie przemyśli się tematu. Eryk zawsze zgadzał się z Rayem, że zasadniczym zadaniem profesora jest przekazywanie wiedzy i pasji do wiedzy następnym pokoleniom. Eryk dobrze wiedział, że w tym nigdy nie dorówna Rayowi. Musi się zadowolić pięciorgiem, dziesięciorgiem studentów, którzy wykażą zainteresowanie jego przedmiotami, tymczasem na wykłady Raya zapisywały się tłumy. Biedny Ray na początku każdego semestru miał nieprzyjemne zadanie: poinformować o odmowie uczestnictwa w wykładach niektórych studentów, chociaż niekiedy przenosili się z innych uczelni specjalnie ze względu na niego. Sala wykładowa była zawsze wypełniona po brzegi, i to niezależnie od tego, czy zajmował się różnymi aspektami historii muzyki niemieckiej czy literaturą, architekturą bądź

malarstwem.

– Nawet jeśli poświęcisz wykład w całości historii niemieckich maszyn do szycia, to i tak zjawia się tłumy studentów – powiedział kiedyś Eryk.

Odkąd Elżbieta pamięta, Eryk stanowił część życia ojca, a więc także i jej. Znała go od zawsze, więc w tym sensie znali się dobrze, chociaż właściwie go nie znała, bo rozmowy z nim trwały zazwyczaj najwyżej kilka minut i nigdy nie dotyczyły istotnych tematów. Zależnie od pory roku chwalili lub krytykowali pogodę i omawiali prognozę na najbliższe dni. Eryk przychodził tak często, że nie krępował się wchodzić do domu przez ganek bez pukania i zaglądać do kuchni, żeby zobaczyć, czy Ray jest w domu. Po krótkiej, niezręcznej rozmowie z Elżunią zamykał się z Rayem w gabinecie, mając nadzieję na owocną wymianę myśli. Przychodził zawsze z butelką wina bordeaux, więc Elżbieta nazywała go „człowiekiem bordeaux”.

– Czy człowiek bordeaux czasem jeszcze przychodzi? – pytała ojca w ostatnich latach, kiedy znienacka zaczynały dręczyć ją obawy, że ojciec marnieje w domu przy Farview Way.

– Był w zeszłym tygodniu...

*

Jeszcze zanim zaparkowała samochód, zobaczyła, że Eryk macha do niej ręką ze swojego pokoju na najwyższym piętrze. Łatwo go było rozpoznać po łysej głowie, kilkudniowym zarostcie i wąsach.

– Schodzę na dół! – krzyczy, stojąc za oknem, chociaż wie, że Elżbieta w samochodzie nie może go usłyszeć. Potem znika we wnętrzu. Elżbieta patrzy na fasadę budynku z ciemnoczerwonych cegieł, na kremowe framugi okien i sześć kolumn z wapienia, na których wsparty jest architrav z napisem „Converse Memorial Library”.

Budynek już od lat sześćdziesiątych nie pełni funkcji biblioteki, a jego nazwę zmieniono na Converse Hall, ale wyryty w wapieniu napis trwale przypomina o pierwotnym przeznaczeniu.

Jakąś minutę później otwierają się wielkie drewniane drzwi i Eryk wychodzi z budynku energicznym krokiem. Tak widziała go w najwcześniejszych wspomnieniach. Mimo nikłej postury, smukłej budowy ciała i bladego, czasami chorobliwego koloru skóry jego sposób poruszania się emanował optymizmem i żywotnością. Chyba pierwszy raz widzi go bez butelki wina w ręce. I nie rozmawiają o pogodzie.

– Cześć, Eryku, jak się masz? – Nie czekając na odpowiedź, ciągnie dalej: – Tych książek jest bardzo dużo. Będziemy musieli kilka razy obrócić, a to jeszcze nie wszystko.

Otwiera bagażnik.

– Wezmę jedno pudło i zablokuję nim drzwi windy. Załadujemy do niej wszystko i wtedy zawieziemy na górę. To nam oszczędzi wysiłku.

– Powinam poprosić cię wcześniej o selekcję książek. Teraz powkładałam wszystkie do pudeł, więc będziesz musiał je przejrzeć, a potem z powrotem włożyć do pudeł, nim trafią do biblioteki. Powinam o tym wcześniej pomyśleć.

– Nie szkodzi, miałem ostatnio dużo zajęć. Chętnie przyjdę przejrzeć pozostałe książki. To zaoszczędzi trochę czasu. Poczekaj tutaj. Zaniosę pudła do windy.

Elżbieta ignoruje jego słowa i niesie pierwsze pudło do windy. Eryk powinien wiedzieć, że ona nie pozwoli, by sam wszystko dźwigał. Ray mówił wielokrotnie, że Elżbieta jest niezależną duszą i rzadko słucha rad innych. Tą niezależnością tłumaczył to, że widywał córkę rzadziej, niżby chciał. Eryk chce naprawdę oszczędzić Elżbietę, świadom wysiłku, jaki włożyła w przywiezienie takiego mnóstwa książek, dlatego proponuje, że będzie odbierał od niej pudła na dole schodów, przy wejściu do budynku.

Z dwoma ostatnimi kartonami wsiadają do wąskiej windy. Eryk poustawiał pudła w porządku stopy, więc się jeszcze zmieścili.

– Wiele z tych książek wraca na swoje miejsce. Ile to człowiek się nanosi w życiu – mówi Eryk, klepiąc dwa razy górne pudło.

Myśli o dniu, w którym pomagał Rayowi opróżnić pokój i zawieźć wszystko na Farview Way. Elżbieta wie, że Eryk jest myślami przy jej ojcu.

– Już jesteśmy – mówi, kiedy winda zatrzymuje się na trzecim piętrze. Od razu wysiada, żeby nie słuchać wspomnień Eryka.

– Wody? – Eryk przynosi butelkę wody gazowanej z małej lodówki znajdującej się pod jego biurkiem.

– Czy to jest jeszcze lodówka Raya? – pyta zdziwiona.

– Takich lodówek już nie robią – Eryk patrzy z niejaką dumą na ponaddwudziestoletni przedmiot.

Pokój się zmienił, ale widok jest ciągle taki sam. Staje przy oknie i patrzy. Znowu ogarnia ją to dziwne uczucie obecności ojca, które wbrew jej woli tak często pojawiała się w trakcie opróżniania jego domu.

– Muszę zaraz iść – mówi, nie patrząc na Eryka, który podaje jej szklanekę.

– Nie widziałem cię po pogrzebie, ale dużo o tobie myślałem. Bardzo za nim tęsknimy. – Eryk widzi smutek w oczach Elżbiety i ma nadzieję, że te słowa trochę ją pocieszą.

– My? – Eryk był żonaty, jednak o ile pamiętała, przychodził do ojca zawsze sam, bez żony i dzieci.

– Ja... Bernard i reszta Exiles. – Wzdycha, żeby pokazać, że naprawdę tęskni. – Spotkaliśmy się wszyscy trzy tygodnie po pogrzebie. Głupio, że nigdy wcześniej nie pomyśleliśmy o takim spotkaniu. Wiedziałaś, że utrzymywał kontakt

z nami wszystkimi?

Elżbieta nie reaguje, pijąc pospiesznie wodę.

– Najpierw listownie, ale nie zawsze z sukcesem, lecz kiedy Internet podbił świat, wszyscy odnowiliśmy z nim kontakt i pisał do każdego z nas. Na pewno by się bardzo ucieszył, gdyby mógł się z nami spotkać.

– Masz na myśli spotkanie z waszym klubem Exiles? – mówi trochę bardziej pogardliwym tonem, niż zamierzała, i stawia pustą szklanekę na parapecie.

– Tak, z naszym klubem. Jeśli ci to nie przeszkadza, to może im zaproponuję, żeby wybrali sobie coś z księgozbioru Raya. Wydaje mi się, że wszyscy chcemy mieć taką pamiątkę po nim, i myślę, że twój ojciec by się na to zgodził, ale decyzja należy do ciebie.

– Oczywiście. Skoro większość trafi do Frost Library, to nie mam nic przeciwko temu. W końcu to darowizna. Ile to osób?

– Sześć. Zawsze było nas w Exiles sześcioro. – Po krótkiej chwili dodaje: – Och nie, nie zawsze, przez krótki czas było nas siedmioro, kiedy Anna do nas dołączyła. Ale nie trwało to długo, jeden semestr, może nawet krócej. Nie była więc prawdziwym członkiem Exiles.

– Sześcioro? To żaden problem. Mogą wybrać po dwie, trzy książki, jeśli chcą. Dlaczego właściwie zaczęliście się spotykać?

– Ponieważ byliśmy już na tyle dorośli, żeby pić wino, i nie chcieliśmy przepuścić żadnej okazji – odpowiada ze śmiechem.

Ten powód często podawał jako uzasadnienie istnienia Exiles, ale wie, że tym razem nie ucieknie od prawdziwego wyjaśnienia.

– Właściwie nie wiem. Może jednak wiem. Twój ojciec był wspaniałym nauczycielem, potrafił niezwykle inspirująco opowiadać. Oblegaliśmy go ciągle po wykładach, a na konsultacje zawsze była do niego kolejka. Szczególnie ja i Bernard zabieraliśmy mu coraz więcej czasu. Bernard chciał wiedzieć wszystko o niemieckiej muzyce romantycznej, a ja o estetyce. Byliśmy obaj studentami trzeciego roku i mieliśmy wrażenie, że mimo różnorodnego programu wykładów brakuje nam czegoś istotnego. Czegoś, co by się przyczyniało do rozwoju osobistego, czegoś, co choćby w zarysach przypominało ideał humanistyczny człowieka renesansu. A twój ojciec był chodzącą encyklopedią. Na wykładach zajmował się istotnymi zagadnieniami. Znał odpowiedź na każde pytanie, niekoniecznie właściwą odpowiedź, ale zawsze dobrą. Każda odpowiedź aż prosiła się o więcej pytań, więc dosłownie wisieliśmy na jego ustach. Może było to chwilami nawet żenujące, że tak za nim chodziliśmy. Pochłanialiśmy jego słowa i myśli jak pijawki i dręczyliśmy dopóty, dopóki nie nakarmił nas odpowiednią porcją wiedzy. Teraz, kiedy sam jestem profesorem, mogę sobie wyobrazić, że było to dla niego kłopotliwe, ale zawsze cierpliwie odpowiadał. Myślę, że jego koledzy z zazdrością patrzyli na kolejkę studentów, którzy przychodzili do niego na

konsultacje. Może dlatego zaproponował spotkania w swoim pokoju wieczorem, w luźniejszej atmosferze. Właściwie dopiero wtedy, w tym swobodnym otoczeniu, poznaliśmy go jako człowieka, a kiedy poznaliśmy go od tej strony, to była miłość na całe życie.

– Miłość na całe życie? Nie na dłużej? – Bezimienny cytat z ostatniej nocy sprawił, że Elżbieta bezwiednie powiedziała na głos to, co myślała.

– Nadal go lubię, jeśli chcesz wiedzieć. Był dla mnie jak drugi ojciec.

Eryk jest wyraźnie wzruszony ostatnimi słowami. Zdejmuje okulary, jakby w ten sposób mógł się pozbyć emocji, czyści szkła kawałkiem zmiętej koszuli, która w trakcie noszenia pudeł wyszła mu niechlujnie ze spodni.

– No cóż, ty chyba wiesz lepiej niż inni, jaki był. Nie muszę ci opowiadać. I tak się to potoczyło. Najpierw byliśmy tylko ja z Bernardem, potem kogoś przyprowadziłem, potem ten ktoś. Z kolei następni przyprowadzali kogoś, kto, jak sądzili, jest zainteresowany ciekawymi spotkaniami. W połowie semestru było nas sześcioro. Ray powiedział wtedy stop, nikt więcej nie może do nas dołączyć. Rzeczywiście, nie było już w pokoju więcej miejsca i krzeseł. W tym pokoju. Inaczej wtedy wyglądał...

*

– Zanim odjedziesz, proszę, tu jest jeszcze poczta do twojego ojca. – Eryk podaje Elżbiecie stos listów leżących na dużej kopercie. – Teresa, sekretarka, wkładała pocztę do niego do mojej skrzynki, bo wiedziała, że go często odwiedzam. Tym razem większość korespondencji jest do ciebie.

Przegląda pospiesznie listy. Rzeczywiście, to są kondolencje, a w dużej kopercie pod spodem znajduje się pewnie jakieś czasopismo lub folder reklamowy. Obraca kopertę zaklejoną brązową taśmą, taką samą jak do oklejania kartonów. Nie ma nadawcy.

Kładzie listy na fotelu pasażera, nagle Eryk całuje ją niespodziewanie w policzek, co ją niepotrzebnie zawstydza i Elżbieta odjeżdża.

„Był dla mnie jak drugi ojciec?”. Eryk naprawdę myślał, że pocieszy mnie tymi słowami? Ojciec nie potrafił być prawdziwym ojcem dla swojej jedynej córki.

Ray poprosił mnie, żebym pojechała autobusem do Springfield i powiedziała wszystkim, którzy mogliby za mną tęsknić, że nie będzie mnie przez trzy dni. Od wymiany zdań na temat Bernarda i Zuzanny nasze spotkania były otoczone mgiełką smutku. Nie dało się ukryć, że nie należymy całkowicie do siebie, i żadne z nas nie wydawało się zadowolone z tej prawdy. Często z prawdą da się żyć, póki nie zostanie wypowiedziana na głos. Jak długo jest skryta w naszej świadomości, możemy ją omijać.

Powiedziałam Julii i Bernardowi, że jadę na kilka dni do Bostonu i zamierzam sama zwiedzić miasto. Mój ojciec zauważył kiedyś w trakcie jednej ze swoich licznych opowieści z podróży, że nigdy się dobrze nie pozna miasta, jeśli się w nim chociaż raz nie zagubi. Dlatego udawałam, że planuję wielogodzinne spacer, aż zabłądzę. Przypomniałam im, że muszę się stopniowo żegnać z Massachusetts, więc taka wycieczka mi w tym pomoże. Oboje od razu zrozumieli moje intencje i nie nalegali, żeby mi towarzyszyć. Na temat Bostonu mogłam szybko coś wymyślić, gdyby pytali mnie potem, jak było. Trzeba było po prostu włączyć radio i wysłuchać prognozy pogody, a resztę mogłam zmyślić i udawać. Żeby dotrzeć do Bostonu, trzeba najpierw pojechać autobusem do Springfield, więc Bernard odprowadził mnie na przystanek i byłam spokojna, że nic nie podejrzewa. Uścisnął mnie na pożegnanie i wręczył papierową torebkę z pączkiem.

– Boston Cream. Na podróż, tylko nie czekaj za długo. Jest tak gorąco, że czekolada i krem mogą się szybko rozpuścić.

Nie wiedziałam, co Ray powiedział żonie, ale że często wyjeżdżał służbowo, nie powinna nic podejrzewać.

Wysiadłam w Springfield, opuściłam nieprzyjemną stację i przeszłam na drugą stronę ulicy, gdzie Ray miał mnie odebrać. Nie od razu zauważyłam jego granatowego mercedesa, chociaż stał pierwszy w zaparkowanym rzędzie aut. Wsiadłam, a Ray od razu ruszył, nawet mnie nie pocałował na powitanie. Dopiero na autostradzie zapytał:

– Wszystko w porządku?
– Czy mogę spytać, dokąd właściwie jedziemy?
– Do bardzo szczególnego miejsca, gdzie przez chwilę będziemy mogli spokojnie być sobą.

Pocałowałam jego rękę, którą trzymałam w dłoniach.

– Czekam z niecierpliwością.

Niewiele rozmawialiśmy podczas pierwszej godziny podróży. Ray był spokojnym, uprzejmym kierowcą. Jechał bez pośpiechu może dlatego, że nikt na nas nie czekał, a może uważał jazdę samochodem za bezpieczne bycie razem. Od

czasu do czasu patrzył na mnie. Oczy mu się śmiały – rozumiałam, że cieszy go myśl o następnych dniach. W tle towarzyszyła nam cicha muzyka fortepianowa, nie od razu rozpoznałam utwór. Na obwolucie przeczytałam: Franz Liszt, *Weihnachtsbaum*.

– Choinka. Ale nie brzmi jak muzyka bożonarodzeniowa. Może trochę, miejscami.

– Słucham tej kasety od grudnia. Ciągle zapominam ją wymienić, zanim ruszę, a w czasie jazdy jest na to za późno.

Muzyka świąteczna w maju? Dlaczego nie?

Przez chwilę bałam się, że to oznaka demencji spowodowanej wiekiem. Lecz Ray dodał, że bardzo lubi ten utwór i nie ma serca zmieniać go w połowie. Przerwanie czegoś tak pięknego wydawało mu się kalaniem świętości.

– Ale możesz zmienić taśmę. Pudełko z kasetami jest w schowku.

Jednak po tych słowach Raya chciałam wysłuchać utworu w całości. To było pierwsze wykonanie solowe Alfreda Brendela i jednocześnie pierwsze nagranie tego utworu Liszta. Dopiero potem wyszukałam inną taśmę. Pudełko było wypełnione kasetami z muzyką klasyczną, oprócz jednej, z piosenkami dla dzieci. Nie udało mi się powstrzymać westchnienia. Nie chciałam teraz myśleć o jego córce, zwłaszcza kiedy próbowałam uwierzyć, że naprawdę do siebie należymy.

– Nie pochwalam tego, że Elżunia słucha tych piosenek – powiedział. – Ale nie pochwalam wielu rzeczy: zabawek, słodyczy. Niestety, jak każdy rodzic, przegrywam walkę. – Teraz on westchnął. – Może wcale nie jestem dobrym człowiekiem. Byłbym zadowolony, gdybym chociaż w połowie był taki jak w twoich oczach.

Nic nie odpowiedziałam, bo cóż mogłam powiedzieć, nie poruszając tematu żony czy córki, a tego nie chciałam. Wybrałam pieśni Schuberta i włożyłam taśmę do magnetofonu. Przewinęłam ją do odpowiedniego utworu. *Sei mir gegrüßt*, powiedziałam, całując Raya w policzek. Słuchał, nie odrywając oczu od jadącego przed nami samochodu.

– Muzyka Schuberta do wiersza Rückerta, śpiewa sopran Elly Ameling. Powiedz, Anno, czy to nie jest definicja obiektywnego niekwestionowanego piękna? Czy nie jest równie podatna na subiektywizm jak prawa fizyki Newtona?

Jeszcze raz pocałowałam jego dłoń i uśmiechnęłam się.

Minęliśmy Hartford i nadal jechaliśmy Route 91 w kierunku Nowego Jorku. Czy to tam zmierzaliśmy? Nie pytałam, ale słuchałam pieśni i cieszyłam się chwilą, tym, że Ray siedzi obok mnie. Pomyślałam, że moglibyśmy więcej rozmawiać, ale widać wspólne milczenie jest równie cenne jak dobra rozmowa. Wjechaliśmy na Route 95, a potem do Bronksu. Tablice coraz częściej pokazywały New York City.

Ray zaparkował na środkowym Manhattanie, przy Gramercy Park.

– Jesteśmy! – Odwrócił się do mnie i pocałował, pierwszy raz tego dnia.

Całował powoli, z oddaniem, jego język wolno tańczył z moim.

Zameldowaliśmy się w wyjątkowym hotelu.

– To nie jest hotel, Anno. To jest National Arts Club. Tu nie można dostać pokoju ot tak. Trzeba być członkiem klubu.

Słuchałam tego, co mówił, jednym uchem, bo gdy szliśmy korytarzem, moją uwagę pochłaniały zdjęcia Nowego Jorku w śniegu oraz pomieszczenie wypełnione obrazami, ze stojącym w rogu steinwayem. Wszystkie przedmioty, poustawiane harmonijnie, stwarzały domową atmosferę. Zapomniałam, że znajduję się w centrum Nowego Jorku.

– To jest nasz dom na kilka następnych dni czy raczej na kilka następnych godzin. Albo przynajmniej na tyle, ile będzie to trwało. – Ray z dumą otworzył drzwi do naszego pokoju.

Nie powiem, jak się czułam, kiedy mówił o naszym domu i naszym pokoju. Czy naprawdę istniało coś takiego na tym świecie, co rzeczywiście należało tylko do niego i do mnie? Może czekało nas tylko kilka wspólnych chwil, ale dopóki trwały, dawały mi szczególną radość.

Rozejrzałam się. Pierwsze, co zauważyłam, to dwa jednoosobowe łóżka. Odległość między nimi wynosiła przynajmniej półtora metra.

– Tak mamy spać? – zapytałam z nieskrywanym rozczarowaniem.

– Nie, miałem nadzieję, że dadzą nam pokój obok, ten sam co poprzednio.

– Często tu bywasz?

– Raczej nie, kilka razy w roku. Jeśli mam jakiś wykład w Nowym Jorku i sam mogę wybrać sobie nocleg, to zawsze chętnie zatrzymuję się tutaj. Musisz przyznać, że to szczególne miejsce. I mamy małą kuchnię, więc mogę wieczorem coś ugotować.

Mówiąc to, zaczął mnie rozbierać, najpierw spokojnie, potem pospiesznie. Oboje byliśmy niecierpliwi, kochaliśmy się na łóżku najbliżej drzwi, obok stały nierozpakowane walizki. Patrzył mi prosto w oczy, kiedy przekładał moje nogi do przodu, żeby położyć łydki na swoich ramionach.

Podziękował mi potem i przytulił się do mnie, tym razem układając głowę nie na moim brzuchu, ale na piersiach.

– Musimy kupić pomidory, sałatę i jakąś rybę. I oliwę, bo to jest tajemnica dobrego jedzenia.

Powiedział to tak poważnym tonem, że aż się roześmiałam.

– Ale z ciebie romantyk! Tak, musimy natychmiast kupić oliwę, oliwa nie może czekać w takim momencie.

*

Poszliśmy spacerem do Union Square Greenmarket i kupiliśmy cytryny, krewetki, łososia, sałatę, pomidory i świeży chleb. Nie szliśmy pod rękę. Czasami

na znak uczucia pozwalaliśmy sobie na dotyk dłoni lub nawet na uścisk. Kiedy nas obsługiwano, stawaliśmy się parą. Pewien sprzedawca popatrzył na nas podejrzliwie, bo miał wątpliwości, czy to ojciec z córką, czy para. Pogłaskałam Raya po plecach, żeby wszystko było jasne. To jest mój facet i jestem dumna, że z nim jestem, mówiła moja ręka przesuwająca się nonszalancko po plecach Raya aż do szyi. On zaś był świadom tej gry i poddawał się jej z przyjemnością.

Kiedy na niego patrzyłam, nie dostrzegałam jego wieku. A przecież mógłby być moim ojcem, mój ojciec był nawet o dziesięć lat młodszy od niego. Przeżyte lata odcisnęły ślad na twarzy Raya, ale jego sposób poruszania się i postawa sprawiały wrażenie, że jest znacznie młodszy. Zapominałam o zmarszczkach, siwych włosach, niezbyt już elastycznej skórze, zarysowującym się brzuszku. Wszystko to widziałam i jednocześnie tego nie widziałam.

Podczas spaceru rozpoczął wywód o jego zdaniem największym problemie nowoczesnej architektury: obsesji dotyczącej linii poziomych. Twierdził, że zasadą kompozycji ładnego budynku są linie pionowe, i zwracał mi uwagę na niektóre mijane budynki.

– Jeśli cię to nie interesuje, to powiedz, przestanę.

– Ależ skąd.

– Nie wszyscy to lubią. Niektórzy uważają, że ja nie mówię, tylko wykładam.

– Niektórzy?

– Niektórzy... Nie chcę wymieniać...

– Masz na myśli Zuzannę?

– Między innymi.

– I córkę też?

– Tak, Elżunię też. Widzę, że zazwyczaj nie jest zainteresowana tym, co opowiadam, ale udaję, że tego nie widzę. Nie chcę jej urazić, a może nawet bardziej urazić siebie.

– Może to nie takie dziwne, że dziewczynka w jej wieku nie jest zainteresowana wywodem o liniach w architekturze i historią kultury niemieckiej.

– To też usłyszałem. Dlatego zacząłem postrzegać tę cechę jako ułomność. Rodzaj skrzywienia zawodowego.

To, co powiedział, potwierdzało, kim był i jaki był: lubił głośno myśleć, dzielić się swoją wiedzą i myślami, nie po to, żeby pouczać i wyklądać, ale raczej po to, żeby nie zatrzymywać swoich myśli tylko dla siebie.

– Czyż te betonowe wieżowce, o, tam, nie są straszne?

Wskazał ręką trzy budynki mieszkalne University Village.

– Ten tutaj nazywa się 505 LaGuardia Place, dwa pozostałe to Silver Towers. Mieszkają w nich studenci i profesorowie wykładający na tej uczelni. Zawsze mnie dziwiło, że w takich budynkach potrafią myśleć.

Roześmiałam się i przyjrzałam wieżowcom. Były naprawdę bardzo brzydkie.

– Dziwne, że są ludzie, którym się podobają.

– Wątpię, czy komuś się podobają. Podejrzewam, że nie podobają się nawet architektom, Jamesowi Freedowi i I.M. Peiowi, o ile mają w sobie choć trochę artystycznej duszy. Być może oddaję im za duży honor tym podejrzaniem. Jak ktoś, kto ma prawdziwe poczucie estetyki, może uważać, że piramida ze szkła jest obiektem najbardziej pasującym do dachów i fasady Palais Royal, siedziby Luwru? Zwiedzałaś Luwr? Ja byłam tam na szczęście wtedy, kiedy nie było jeszcze tej szklanej konstrukcji. Tego szklanego szkaradztwa.

– Byłam w zeszłym roku, z rodzicami. Piramida to atrakcja turystyczna.

– Pewnie tak, wszystko, co jest łatwe w odbiorze, przyciąga tłumy. A co jest trudnego w kompozycji czterech płaszczyzn, które rozchodzą się z jednego punktu?

– Piramida jest bardziej imponująca, niż ją przedstawiasz, i myślę, że taka konstrukcja ma sens. Jej wysokość wynosi ponad dwadzieścia metrów, a szerokość trzydzieści metrów. Nie pamiętam szczegółów, ale zużyto do jej budowy trzysta ton metalu i wprawiono ponad sześćset okien w kształcie rombów. Samo zaprojektowanie takiej konstrukcji jest osiągnięciem.

– Ale czy ta piramida ci się podobała?

– Może nie od razu, ale myślę, że Pei miał jakieś pojęcie o architekturze, jeśli obmyślił, jak skonstruować solidną budowlę z czterystu pięćdziesięciu ton szkła i betonu, to wszystko. Jest mądrzejszy, niż nam się wydaje.

– Oczywiście, że jest mądry. Na tym polega problem z inteligencją: nie zawsze idzie w parze z dobrym smakiem i dobrym sercem. Połączenie złego smaku i głupoty daje zazwyczaj mniej szkodliwych skutków ubocznych niż kombinacja inteligencji i złego smaku. Skoro już mówimy o smaku: jesteśmy na miejscu.

Byłam tak pochłonięta rozmową, że dopiero teraz zauważyłam, iż stoimy przed sklepem z winami. Ray otworzył drzwi.

– Wino francuskie jest tutaj tańsze niż we Francji. Teraz wiesz, gdzie kupować wino, jeśli znowu będziesz w Nowym Jorku.

Zadziwiająco szybko przeglądał butelki w chłodziarce i od razu znalazł to, czego szukał. Zatrzymał się dłużej przy czerwonym winie.

– Widzisz tę etykietkę? To znaczy, że to jest drugie wino.

– Drugie wino?

– Duże winnice *château* mają często nadprodukcję winogron. Chcą utrzymać wysokie ceny swoich win i dlatego produkują określoną ilość *grands vins*, trunków ekskluzywnych. Jednak winogrona niezużywane do drogich win są zbierane w tych samych winnicach i z taką samą starannością co ich drogi braciszek, toteż winiarze z Bordeaux wymyślili w osiemnastym wieku inną etykietę. Popatrz tutaj: Les Forts de Latour, 1989. Pauillac jest takim *deuxième vin*. Przeszedł pewnie krótszy proces winifikacji niż jego starszy brat, ale dbał o niego taki sam zespół enologów.

Najwyższa jakość za ułamek ceny. *Une bonne affaire*, jak to mówią we Francji.

Wyszliśmy ze sklepu z dwiema butelkami – białego i czerwonego wina. Poszliśmy spacerem z powrotem w kierunku The National Arts Club. Budynek wyglądał z zewnątrz tak samo imponująco jak wewnątrz. Był to mały labirynt, w którym Ray poruszał się bez trudu. Wyraźnie przebywał tu nie po raz pierwszy. Najpierw schody na dół, potem dwa czy trzy pokoje wypełnione obrazami, przejście długim korytarzem skręcającym na końcu w lewo, w kierunku wind. Winda była pierwszym bezpiecznym miejscem, w którym mogłam go pocałować.

– Czy obejrzałaś te kafelki, są wyjątkowo piękne, prawda?

Roześmiałam się.

– Jesteś prawdziwym romantykiem!

– Przepraszam, widzisz, to jest naprawdę skrzywienie zawodowe.

Skierowałam wzrok na podłogę.

– Nie, są rzeczywiście wyjątkowe. Wiesz, co jest jeszcze bardziej wyjątkowe?

Nie czekałam na odpowiedź i pocałowałam go w szyję, a rękę przesuwając coraz niżej po jego klatce piersiowej.

Kilka chwil potem leżeliśmy na łóżku, którego nie pościeliliśmy przed wyjściem. Inaczej niż za pierwszym razem, dotarło do nas, że możemy uprawiać miłość, nie narzucając sobie wymogu ciszy. W naszych jękach i dyszeniu pobrzmiwało wyzwajające upojenie, uwolnione ze wszystkich codziennych ograniczeń. Podniecenie, pożądanie i rozkosz wyczerpały nas całkowicie. Dwa ciała nie mogą się bardziej zbliżyć do siebie.

*

– Czy masz ochotę na drinka w barze przed obiadem? Tutaj jest zbyt ładnie, żeby nie odwiedzić wszystkich zakątków tego budynku.

Wsadził sobie książkę pod pachę, więc zrobiłam to samo. Czytałam akurat *Lekcje oddychania* Anne Tyler. Popatrzył na okładkę, kiedy opierałam się o lustro w windzie wiozącej nas na dół.

– Uważasz, że zasłużyła na Nagrodę Pulitzera?

– Co to znaczy „zasłużyła”? Wy, Amerykanie, zawsze uważacie, że zwycięzcy zasługują na sukces, prawda? *You can't argue with success.*

– Dobrze, że wygrała kobieta. Pisarki są stanowczo niedoceniane.

– To bardzo feministyczna uwaga, Rayu.

– Naprawdę?

– Nie powinno mieć znaczenia, czy nagrodę dostaje kobieta, czy mężczyzna, byle książka była dobra.

– Ludzie potrzebują wzorców, chcą im dorównać. Ponieważ wiem, że zarówno kobieta, jak i mężczyzna potrafią napisać dobrą książkę, chcę, żeby to

kobieta wygrała. Potrzebujemy przykładów, które to udowodnią.

– Jak gdyby kobiety musiały coś udowadniać. Jeśli ktoś tak myśli, to potwierdza stereotyp, że są one na niższym szczeblu rozwoju. Mówiąc, że jesteś zadowolony z nagrody dla kobiety, sprowadzasz Nagrodę Pulitzera do paternalistycznego klepnięcia w ramię, okraszonego słowami: „Widzicie, też można”. Dla mnie płeć pisarza nie ma żadnego znaczenia.

– Powinnaś wiedzieć, że jeszcze wielu ludzi jest przekonanych, że mężczyźni są naprawdę bardziej twórczy i inteligentni od kobiet. Myślę, że nie doceniasz wagi problemu. Może jesteś jeszcze za młoda, żeby to w pełni zrozumieć.

Drzwi windy otworzyły się. Wysiadłam i poszłam korytarzem, nie czekając na niego.

Za recepcją, usytuowaną tuż po prawej stronie wejścia, były małe schody prowadzące do góry. Przy barze zostaliśmy zatrzymani przez grupkę żołnierzy ubranych w wyjściowe mundury. Zarządzono minutę ciszy, barman odstawił wycierany kieliszek, wyprostował się i położył prawą rękę na sercu. Wzięliśmy udział w ceremonii i milczeliśmy przez minutę, wpatrzeni w żołnierzy. Ray także położył rękę na sercu. Ja nie, chociaż było mi trochę nieswojo. Czułabym się jak zakłamana turystka, gdybym się przyłączyła, szczególnie teraz, kiedy po zakończeniu wojny w Zatoce Perskiej Amerykanie z żałobą w sercu upamiętniali licznych żołnierzy, których ciała wracały do kraju w workach. Wszyscy trwali w ciszy z wielką powagą, co kojarzyło się z nastrojem świątyni, w której czczono poległych półbogów.

– Dwa kieliszki chablis poproszę – powiedział Ray do barmana, który od razu po minucie ciszy wrócił do przerwanej zajęcia. Ray spojrzał na mnie. – Przypuszczam, że masz ochotę na kieliszek białego wina.

Jeszcze nim powiedziałam, że z powodu upału wołałabym napić się najpierw wody mineralnej, dodał:

– Czyż nasz Dzień Pamięci to nie wspaniała tradycja? Europa źle skończy, jeśli się nie nauczy nosić na rękach ludzi gotowych za nią umrzeć i uroczyście czcić pamięć tych, którzy za nią zginęli. Sposób czczenia zmarłych świadczy o stosunku do życia.

Barman podał nam kieliszki. Upiłam spory łyk, raczej niezbyt elegancko, ale pragnienie i drobna scysja w windzie spowodowały, że łapczywie chwyciłam kieliszek. Miałam tyle wina w ustach, że aż musiałam przechylić głowę do tyłu, żeby je przełknąć, a wtedy ujrzałam sufit baru.

– Ray, spójrz do góry! – powiedziałam, a on skierował wzrok na sufit.

– Tak, sklepienie Tiffany’ego jest tutaj jedną z najpiękniejszych rzeczy. Klub to naprawdę wspaniałe miejsce. Połączenie czerwono-brązowego piaskowca z delikatnymi elementami wiktoriańskiego gotyku... Jak to się stało, że

oduczyliśmy się tworzyć piękną architekturę?

Usiedliśmy przy stoliku pod oknem, plecami do ściany, żeby patrzeć na to piękne wnętrze. Trochę czytaliśmy, ale niewiele, trochę rozmawialiśmy o sprawach bieżących, na przykład o przemówieniu królowej Elżbiety II na forum amerykańskiego Kongresu. Polityczna władza domów królewskich w Europie była dla Raya niezrozumiała. Uważał, że to nie służy demokracji. Ja, Belgijka, wyjaśniłam to obszernie, choć niezbyt wyczerpująco.

– Oczywiście, że monarchia jest możliwa w demokracji, chociaż już samo istnienie domu królewskiego uważam za niedemokratyczne – powiedział. – Przywileje są słuszne, nawet konieczne, ale tylko gdy są kwestią zasługi, a nie dziedziczenia. Przywileje szlacheckie szkodzą wolności społeczeństwa i jednostki, co dotyczy zarówno tych, którym się tych przywilejów odmawia, jak i tych, którzy się nimi cieszą. Przypomina mi to jednego z moich dawnych słuchaczy. Zawsze na początku semestru pytam każdego studenta, kim chce zostać w przyszłości, a nie czego się spodziewa tu nauczyć. Na podstawie tych odpowiedzi układam program wykładów. Pewien student sprawił, że oniemiałem, gdy odpowiedział: „Zostanę księciem Monako, nie mam specjalnego wyboru”.

– Uczyłeś księcia Monako? – zapytałam zdumiona.

– Nie, nie księcia Monako, ale Alberta Grimaldiego.

– On jest przecież księciem!

– Czy możesz mówić bez wymachiwania rękami? Tak się wczuwasz w to, co mówisz, że machasz rękami jak wiatrak.

Ta uwaga sprawiła, że zaniemówiłam, nie potrafiłam rozmawiać bez gestykulacji. Zawsze uczestniczyła w opowiadaniu historii.

– Zazwyczaj moje ręce ci nie przeszkadzają.

– Teraz też nie – odpowiedział ciepłym tonem. – Nie chciałem cię skrytykować, tylko udzielić rady. Sztuką jest dobrze przemawiać. Gesty rąk powinny podkreślać sens wypowiedzi, a nie rozpraszać słuchaczy. Twoje ręce mnie rozpraszają.

– Jesteś pewien, że to ma związek z moim brakiem talentu oratorskiego?

Przesunęłam ręką po wewnętrznej stronie jego prawego uda, czego nikt nie mógł widzieć.

*

W pokoju panował upał. Otworzyliśmy wszystkie okna, lecz niewiele to pomogło. Na zewnątrz było tak samo gorąco jak w środku, a przytłaczający zapach miejskiego powietrza wdzierał się do wnętrza. W kuchni znajdującej się obok pokoju, przed łazienką, Ray począł wyjmować z szafek sztuczne i talerze.

– Nie mamy stołu z prawdziwego zdarzenia, więc może przesuniemy biurko na środek pokoju, żebyśmy mogli siedzieć po obu jego stronach?

Ray kroił chleb i pomidory, a ja przesunęłam biurko i krzesła. Było tak małe, że talerze, kieliszki i koszyczek do chleba ledwo się mieściły na jego blacie, a butelki wina i karafka z wodą musiały stać na podłodze.

– Chyba nieczęsto gotowano w tej kuchni. Mieszkańcy Nowego Jorku lubią jeść, ale nie lubią gotować. Prawie nie ma tu garnków i patelni. Dobrze, że zdecydowaliśmy się na coś na zimno.

Patrzyłam na Raya krzątającego się w kuchni – rozdzielał właśnie łososia na talerze – i poczułam, że te pozornie banalne czynności przywiązują mnie do niego jeszcze bardziej. Wspólna kolacja – jej przygotowywanie i spożycie – jeszcze nigdy nie miała dla mnie tak istotnego znaczenia. Może dlatego Jezus zebrał apostołów po raz ostatni przy stole, żeby podzielić się chlebem. Dzielenie chleba i wina to największe małe szczęście. Nic dziwnego, że Kościół upamiętnia je w każdą niedzielę podczas eucharystii. Myślę o swoim ojcu, który powiedział, że religię mogą zrozumieć tylko ci, którzy kochali. „Nauczyciel religii, rodzice, ksiądz, wszyscy będą próbowali ci wytłumaczyć, ale tylko serce pozwoli ci zrozumieć”. I podczas pierwszego obiadu z Rayem wydawało mi się, że rozumiałam Ostatnią Wieczerzę. Chciałam się z nim podzielić tą myślą, ale trudno było rozmawiać o moim związku z Bogiem z kimś, z kim tak bezbożnie spędzałam czas.

Wieczór nie przyniósł ochłodzenia. To był historyczny upał, najcieplejszy maj, odkąd zaczęto odnotowywać temperaturę – „New York Times” nazwał go „Balmy May”, balsamicznym majem. Po kolacji mieliśmy ochotę na spacer, żeby ochłonać i przedłużyć ten nasz pierwszy wieczór. Spacerowaliśmy po Park Avenue, gdzie panował wyjątkowy tłok jak na tę porę, zmierzaliśmy w kierunku Madison Square Park. Mieliśmy nadzieję, że odpoczniemy na ławce, ale wszystkie były zajęte. Mijaliśmy wielu bezdomnych. Opuścili swoje podziemne legowiska w metrze, gdzie było nieznośnie gorąco, i szukali tymczasowego miejsca do spania. Ray wygłosił mały wykład na temat neorenesansowej elewacji budynku Flatiron, usytuowanego w pobliżu Madison Square Park. Potem postanowiliśmy wrócić Broadwayem do Wschodniej Dwudziestej Ulicy i pójść w kierunku Gramercy Park, gdzie znajdował się klub. Nasz dom.

Położyliśmy się najpierw razem w jednym łóżku, ale upał nas rozdzielił.

– Nie będziesz miała nic przeciw temu, że przeniosę się do tamtego łóżka? – spytał z wahaniem w głosie, bo niezupełnie był pewien, czy tego chce.

– Masz jutro wykład – odpowiedziałam. – Powinieneś się wyspać. Dobrze, śpij tam.

Nie wiem, czy to cokolwiek zmieniło, upalna noc pozwalała tylko na płytki sen.

Jeszcze przed świtem wrócił do mojego łóżka. Obudził się wcześniej ode mnie i w półśnie zdałam sobie sprawę, że mi się przygląda. Obudził mnie powoli,

pieszcząc moje ciało otwartą dłonią, od ramion do palców u nóg. Potem zaczął całować moje stopy i przesuwając się wolno po łydkach i udach coraz wyżej.

Kiedy jego głowa spoczęła na brzuchu, zaczął rysować palcami na skórze, zdawało mi się, że pisze coś na mojej pachwinie.

– Co robisz? – zapytałam, gładząc go po włosach.

– Graweruję.

Wyprostował się i zbliżył twarz do mojej. Pocierał brodą o moją brodę jak przy pierwszym pocałunku, a potem pocałował mnie w nos.

– Próbuję wyryć twoje ciało i rysy twarzy w pamięci, a raczej w duszy, żebym zawsze miał cię przy sobie. Tak mało czasu nam zostało.

– Chciałbyś mnie zawsze mieć przy sobie?

Nic nie odpowiedział, tylko pocałował mnie czule w czoło.

– Czy grawerowanie w duszy jest jedyną metodą?

Nie odpowiedział. Wstał, żeby wziąć prysznic, zrobił herbatę dla nas obojga i siadł do pracy. Nie było jeszcze ósmej, a on już zaczął robić notatki o tym, co właśnie przeczytał.

– Przygotowujesz się do wykładu?

Po kilku sekundach spojrzał na mnie smutno znad papierów. Zmarszczył czoło.

– Wykład jest gotowy, ale czytam jeszcze trochę, na wypadek jakichś pytań.

– Może jesteś zdenerwowany?

– Nie bardziej niż zwykle.

– Ale przecież tak często prowadzisz wykłady na temat rewolucji w muzyce, którą zapoczątkował Beethoven. Nikt na sali nie będzie wiedział więcej niż ty. Odpręż się. Na pewno wszystko pójdzie dobrze.

– Może, ale tu nie chodzi o to, co wiedzą lub czego nie wiedzą słuchacze. Chodzi o to, jak ja im przekażę wiedzę. Wiem dużo na ten temat i właśnie dlatego zawsze mam uczucie, że nie docieram do sedna w trakcie krótkiego wykładu.

Czytaliśmy jeszcze przez jakieś dwie godziny. Siedziałam na łóżku i od czasu do czasu patrzyłam na niego: pisał, czytał, zaglądał do książek lub wyglądał przez okno, żeby wchłonąć to, co przeczytał. Mogłabym tak całymi dniami patrzeć, jak siedzi przy pracy – poczułam w duszy ukłucie zazdrości wobec Zuzanny. Ta kobieta nie wiedziała, jakie ma szczęście, że żyje z takim mężczyzną... A może wiedziała i kochała go tak samo jak ja? Ale czy można być szczęśliwym z mężczyzną, który zdradza? Czy zdradzałby mnie, gdybym była jego żoną? Stłumiłam te myśli, bo zrobiło mi się smutno, a nie chciałam być smutna w tych chwilach, kiedy Ray należał do mnie.

– Co się stało? Jesteś taka blada, Anno, czy dobrze się czujesz? – Ray patrzył na mnie zatroskany.

– Dobrze. A raczej niedobrze. Mam mdłości. Jest za gorąco.

Wyszłam na balkon, na próżno szukając ochłody. Ray przyniósł mi szklanę wody, pocierał plecy i całował kark.

– Powinnaś odpocząć, gdy będę miał wykład. Wrócę za jakieś trzy godziny.

– Dobrze.

Wypiłam wodę i położyłam się do łóżka. Spałam półtorej godziny, ale mdłości niezupełnie przeszły. Tęskniłam za Rayem, chociaż miał wrócić lada moment. Opanował mnie strach, że po tych dniach w Nowym Jorku nie będę potrafiła żyć bez niego. Stał się częścią mojego DNA, wszedł mi pod skórę i wydawało mi się, że bez niego uschnę z rozpacz. Nigdy nie czułam się tak zależna od kogoś lub czegoś. Nie panowałam nad swoim sercem, teraz ono panowało nade mną. Przerazało mnie to i wzmagало mdłości.

Ray zapukał lekko i jeszcze zanim otworzyłam drzwi, próbował otworzyć je własnym kluczem.

– Nie chciałem pukać za mocno, w razie gdybyś jeszcze spała. Lepiej się czujesz? Już nie jesteś taka blada.

Przytuliłam się do niego mocno. Biała koszula lepiała mu się do pleców.

– Cieszę się, że wróciłeś. – Wdychałam woń jego potu, wydawała mi się najwspanialszym zapachem na świecie.

– Cieszę się, że jestem z powrotem – zdjął krawat i buty. – A poza tym noszenie krawatu w taki upał to mordęga.

– Ray, co teraz będzie?

– Co masz na myśli?

– Z nami. Nie wiem. Nie czuję się dobrze z myślą, że jestem twoją kochanką. Czuję, że to jest złe, ale jednocześnie czuję się dobrze, kiedy jestem blisko ciebie. Chcę tego i jednocześnie nie chcę.

– Nie jesteś kochanką. Jesteś... – szukał odpowiedniego słowa, ale nie od razu je znalazł – ...o wiele ważniejsza.

– A to, co jest między nami, to co to jest?

– Staram się tego nie nazywać.

– Chcę, żebyś to nazwał. Jeśli nie można czegoś nazwać, nie da się tego zrozumieć. A jeśli nie można zrozumieć, nie można w pełni kochać.

– Nie wiem. Wiem tylko, że nie chcę, żeby się skończyło. Z każdą sekundą nasze bycie razem zbliża się do końca.

– A jaka jest definicja naszego bycia razem?

– Przy tobie mam poczucie, że mogę być sobą, że nie muszę udawać. To jest coś wyjątkowego.

– Chciałabym po prostu wiedzieć... Co to jest, oprócz tego, że jest wyjątkowe? Chciałabym umieć znaleźć na to odpowiednie słowa. O adekwatnym znaczeniu.

– Może należy przyjąć, że nie ma kategorii, w której to się mieści. Nie

wymagaj ode mnie, żebym został Linneuszem miłości, nie potrafię. Myślę, że miłości nie można skategoryzować jak roślin.

– Więc nazwałbyś to miłością?

– Pewnym rodzajem miłości. Na pewno. Zapewne.

Zapadła cisza, patrzyliśmy na siebie apatycznie, jak gdybyśmy się pograżyli we własnych słowach i myślach. Wolałam nie podejmować tego tematu, ale milczeć też nie mogłam. Chcąc przerwać tę chwilę, zapytałam o wykład.

– Prawie nikt nie przyszedł z powodu upału. Ale dobrze było zobaczyć kilku kolegów z tutejszego uniwersytetu.

Wieczór przebiegał podobnie jak poprzedni. Do jedzenia mieliśmy wczorajsze resztki, ale jedliśmy niewiele, a ze względu na gorąco musieliśmy wyrzucić nawet resztki resztek. Po kolacji Ray poprosił w recepcji o klucz do Gramercy Park. Jest to jeden z dwóch prywatnych parków w Nowym Jorku, do których dostęp mają tylko mieszkańcy okolicznych domów, płacący coroczną składkę, oraz członkowie The National Arts Club i jeszcze kilkoro wybrańców. Dzięki temu byliśmy pewni, że znajdziemy wolną ławkę. Ray otworzył furtkę kluczem, który dał mu portier, wyjaśniewszy najpierw pokrótce zasady obowiązujące w parku. Można było odnieść wrażenie, że uznał nas za dwójkę dzieciaków planujących jakieś wybryki, i to w jednym z niewielu momentów, kiedy zachowywaliśmy się wzorowo.

– Jedzenie, picie alkoholu, chodzenie po trawie w parku jest zabronione, nie można zrywać kwiatków, karmić wiewiórek, no i oczywiście nie można zgubić klucza od furtki. Bez niego nie można wyjść z parku. Aha, i proszę wrócić na czas. Nie można przebywać w parku po zmroku.

Park otoczony ogrodzeniem z kutego żelaza wydawał się pusty. Dwa hektary bezpiecznego terenu, odgrodzone od świata zewnętrznego, toteż po raz pierwszy ośmieliłam się spacerować z Rayem za rękę. Widziałam, że czuje się nieswojo podczas tych kilku metrów spaceru, chociaż nikogo nie spotkaliśmy.

– Boisz się, że ktoś nas zobaczy i cię rozpozna?

– Nie, nie o to chodzi, ale nie spacerowałam za rękę, odkąd skończyłam szesnaście lat – wyznał nieśmiało.

– Uważasz, że to coś dla nastolatków?

Ray zignorował pytanie, ale zamiast tego dodał:

– Wiesz, ktoś powiedział, że ten park jest wiktoriańskim dżentelmenem, który nie zgodził się umrzeć.

Usiedliśmy na ławce i wtedy, jak znak z nieba, nadeszła wiekowa para, trzymając się ze ręce. Pozdrowiliśmy się, a kiedy odeszli dostatecznie daleko, powiedziałam:

– Widzisz, tak chcę się zestarzeć.

*

Następnego dnia wyjechaliśmy. W samochodzie oboje milczeliśmy, chociaż mieliśmy teraz więcej do powiedzenia niż kiedykolwiek. Nie włączyliśmy nawet radia, dopóki nie wyjechaliśmy z Nowego Jorku. Dopiero na Route 91 przerwałam ciszę – włączyłam kasetę. Głos Elly Ameling wypełnił wnętrze samochodu i pustkę w naszych sercach, która powstała z poczucia, że dogonił nas czas.

Zum Trotz der Ferne, die sich feindlich trennend

Hat zwischen mich und dich gestellt;

Dem Neid der Schicksalsmächte zum Verdrusse

Sei mir gegrüßt, sei mir geküßt!⁵

Czułam, że nie mogę dłużej powstrzymać płaczu, spojrzałam na Raya. Po jego policzkach spływały łzy. Jechaliśmy w milczeniu dalej, naprzeciw naszej rozłąki.

11

Elżunia Raya

- Elżbieta? Tu Eryk.
- Tak, słyszę – odpowiada sucho.
- Przeszkadzam? Zadzwoń innym razem.
- Nie, nie przeszkadzasz. Dzwonisz w sprawie książek?
- Owszem. I żeby zapytać, czy u ciebie wszystko w porządku.
- Jak na kogoś, kto niedawno stracił ojca, to tak.

Zapada krótka, dość niezręczna cisza, więc Elżbieta mobilizuje się i dodaje bardziej przyjacielskim tonem:

- A książki? Kiedy chcesz je zabrać?
- Powiedz, kiedy ci odpowiada.
- Wszystko jedno, możesz przyjechać w każdej chwili.

Rozgląda się po pokoju i widzi dookoła bałagan. Już od miesiąca nie używała odkurzacza. Na parkiecie jest mnóstwo burych kłaczków. Czarny miękki dywan, z którego pochodzą, leżący w części wypoczynkowej pokoju, to nie był dobry zakup. Czasami ma wrażenie, że ten dywan żyje, że jest jak zwierzę w rui. Ilekroć odkurza, worek momentalnie wypełnia się czarnymi włoskami, ale dywan wcale nie łysieje. Bez przerwy wytwarza kurz i Elżbieta wyobraża sobie, że jest siedliskiem mnóstwa mikroskopijnych żyjątek. Stanowczo musi go jak najszybciej wyrzucić.

Nie obchodzi jej, co Eryk o niej pomyśli, kiedy zobaczy, jak mieszka. Nigdy nie robiła tajemnicy ze swojego bałaganiarstwa. Jednak czuje, że powinna zachować pewien poziom wobec Eryka ze względu na przyjaźń, jaka łączyła go z jej ojcem, tak jakby ojciec mógł jego oczami zobaczyć, że nic się nie zmieniło w jej stylu życia.

- Och nie, tylko nie dzisiaj. Dzisiaj nie mogę.

Połowa dnia w żadnym razie nie wystarczy, by doprowadzić mieszkanie do porządku.

- Może jutro?
- Może być. Wiesz, a jednak wolę je sama przywieźć do ciebie.
- Dobrze. Myślałem, że ci pomogę znieść pudła. Są dosyć ciężkie.
- Dam sobie radę. Ale umówmy się lepiej po Święcie Dziękczynienia.

W okresie świątecznym mam zawsze dużo zajęć.

Komercjalizacja tego dnia wymuszonej wdzięczności oraz należącej do niego świętowanie zaczyna się z każdym rokiem wcześniej i coraz wcześniej ludzie pukają do gabinetu Elżbiety z prośbą o rozmowę. To jest dzień, który wręcz nakazuje, żeby siedzieć razem przy stole i dziękować za całe dobro, które spotkało nas w minionym roku. Nakaz obowiązkowego radowania się w tym dniu rządzi

w całym kraju, od wschodu do zachodu, co byłoby nie do zniesienia, gdyby goryczy tego święta nie przełamywał smak pieczonego indyka oraz purée ze słodkich ziemniaków, żurawiny i tarty dyniowej. Elżbieta wie z doświadczenia, że jeśli ktoś tego wszystkiego nie ma i jest sam, czuje się tego dnia podwójnie samotny.

Najgorzej radzą sobie nie prawdziwi samotnicy, ale ci, którzy dawniej spędzali święta z bliskimi przy zastawionym stole. Smutek nie jeździ na wakacje i w tych dniach Elżbieta często słyszy od swoich pacjentów nostalgiczne wspomnienia z dzieciństwa: kto zasiadał do stołu, co się jadało, kto co powiedział i odpowiedział lub też jaki był wynik pewnego ważnego i z jakichś przyczyn niezapomnianego meczu piłki nożnej. Są tacy, co tęsknią nawet za tymi członkami rodziny, którzy irytowali robieniem na pozór niewinnych uwag o czyjejs tuszy, staropanieństwie lub zużytym samochodzie do wymiany. Żalu nie topi się w smutku, ale w rozpacz. Zapłakują się z żalu po niedawno zmarłym członku rodziny, bo Święto Dziękczynienia nigdy nie będzie już takie samo. Chcą wiedzieć, jak mogą być znowu szczęśliwi w tej pustce, chociaż sami nie wierzą, że to możliwe. Jak można odzyskać poczucie szczęścia przy zastawionym stole, jeśli myśli się ciągle o pustym krześle i stracie? Czy można być szczęśliwym ze względu na obecnych przy stole i co zrobić, żeby smutek nie kładł się cieniem na atmosferze świąt? Nic nie można zrobić, więc odrzucają wszystkie zaproszenia. Elżbieta słucha i udziela rad, z których sama nigdy nie korzysta.

Smak, który Elżbieta kojarzy ze Świętem Dziękczynienia, to przede wszystkim łyż, słony smutek spływający między palcami. Kiedy zaczęła przyjmować klientów, zdecydowały z matką, że nie będą obchodziły tego święta. Będą jadły pieczonego indyka z żurawinami w każdy czwartek, jeśli tylko będą miały na to ochotę.

*

Elżbieta z niechęcią podchodzi do pudeł z książkami, które leżą w nich poukładane jak skazane na milczenie istoty. Musi zanieść je do samochodu. Złożyła tylne siedzenie, dzięki czemu zmieściło się więcej kartonów niż poprzednio. Wydaje się, że nie ma im końca, ale wreszcie przyniosła ostatni. Nosząc pudła, zastanawia się, co inni ludzie widzieli w jej ojcu, czego ona nigdy nie zauważyła. Był dobrym nauczycielem, często to słyszała. Sama nigdy nie uczestniczyła w jego wykładach, przynajmniej nie w auli ani w klasie. Na szczęście! Z trudem wytrzymała wykłady przy obiedzie. Zawsze miał coś do wytłumaczenia i niepotrzebnie długo się nad tym rozwodził. Na przykład skąd pochodzą ziemniaki: od historii podróży odkrywczych w Peru do ziemniaków na talerzu. Albo życie gwiazd: od obłoku molekularnego i pyłu po czerwone olbrzymy, białe karły i czarne dziury. A jeśli mówił o sztuce, bo padało takie

pytanie – lub też nie – można było spokojnie odejść od stołu na kwadrans, by zaparzyć herbatę, i wróciwszy, słuchać dalej, bo wciąż jeszcze opowiadał.

Przez jakiś czas próbowała cierpliwie słuchać improwizowanych wykładów ojca, pochylona nad talerzem zupy albo wyglądając przez okno podczas jazdy samochodem. Zawsze pozwalała mu mówić – przerywanie nie miało sensu, gdyż zagłębiał się w szczegóły i mówił jeszcze dłużej. Dopiero z czasem, kiedy czuła, że te przemówienia obracają się przeciwko niej i są pretekstem do uwag wychowawczych, zaczęła go uciszać.

Była już nastolatką. Miała czternaście lat i co drugi weekend nocowała u ojca. W niewielkim domku nie miała własnej sypialni i dlatego słuchała swojej muzyki w salonie. Kiedy ojciec wycofywał się do biblioteki i znikał z pola widzenia, ośmielała się pogłośnić discmana o kilka decybeli i zaczynała tańczyć. Wiedziała, że samodyscyplina nie pozwoli mu opuścić pokoju przez co najmniej godzinę. Aż zrobił kiedyś wyjątek. Elżbieta nie słyszała, kiedy wszedł. Kto wie, może już od dziesięciu minut stał w salonie i przyglądał się córce skaczącej z zamkniętymi oczami. Kiedy go zauważyła, przestraszyła się, jakby została na czymś przyłapana. Zawstydziliby się chyba mniej, gdyby przypadkiem zobaczył ją nagą.

– Czy człowiek nie ma prawa do prywatności! – krzyczała. – Chyba mogę potańczyć?

– Przecież nic nie mówię – zauważył Ray.

– Znam cię. Może nic nie mówisz, ale patrzysz na mnie karcąco. Jakbyś mnie przyłapał na paleniu papierosów, a ja po prostu tańczę.

– Tańczy się tylko z kimś, a nie samemu albo obok kogoś. I przycisz tę muzykę, bo inaczej zniszczysz sobie słuch, słyszę ją nawet u siebie – nakazał, nie podnosząc głosu i bez złości, ale w spojrzeniu miał dezaprobatę dla wywijasów córki.

– To nieprawda! Tak się teraz tańczy!

– To nie jest taniec. To są wygibasy, bez liczenia się z kimkolwiek. W tańcu wchodzi się w dialog z drugą osobą.

– Może i jesteś odcytany, ale daleki od rzeczywistości. Teraz wszyscy tak tańczą. Obok siebie albo naprzeciwko siebie. – Udało jej się wyrzucić go z pokoju, po czym usiadła ze złością na fotelu.

Zanim wrócił do biblioteki, spróbował jeszcze opisać wartość prawdziwego tańca:

– Weźmy na przykład tańce szkockie. Powinni ich uczyć w szkole. Nic dziwnego, że młodzi ludzie nie potrafią się teraz obchodzić z normami społecznymi. Podczas tańca można nauczyć się zbliżać do siebie: zaczyna się od kontaktu wzrokowego, po którym następuje kontakt fizyczny, ale zawsze z wzajemnym szacunkiem dla siebie i własnej przestrzeni. Tak powinien wyglądać

każdy kulturalny kontakt w życiu codziennym. Upadek tańca oznacza zagrożenie moralności.

Elżbieta uważała, że łączenie tańca z moralnością to przesada i czysta abstrakcja.

– Uważasz, że jestem mniej moralna i jestem mniej dobrym człowiekiem, ponieważ skaczę przed lustrem? Myślisz, że dobry tancerz nie może zabić z zimną krwią?

– Tego nie powiedziałem. – Wiedział, że nic z jego wywodu nie zrozumiała.
– Mam na myśli...

Elżbieta wpadła mu w słowo.

– Nie mam ochoty się dowiedzieć, co masz na myśli. Wszystko robię źle. Przestań mnie pouczać. Nie jestem twoją studentką. Sam załóż kilt, jeśli chcesz być takim światłym człowiekiem.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, że ludzie tak się zapalali do tego wiecznego pouczenia. Ale pamiętała przecież, że nie mogła przejść z ojcem przez centrum miasteczka, żeby nie spotkać któregoś z jego studentów. Pozdrawiali ich zawsze z sympatią, a z pogawędek, w które się czasami wdawali, wiedziała, że wysoko cenią ojca. Tak dalece nie kryli swojego szacunku i podziwu, że Elżbieta zaczęła się zastanawiać, czy nie chodzi im o dobre oceny. Początkowo, kiedy była dzieckiem, podobało jej się, że studenci zagadują ojca, ale z czasem zaczęło ją to irytować, zwłaszcza kiedy odszedł.

Na siedzeniu pasażera, gdzie chce położyć ostatnie pudło, leży jeszcze stos listów, które dał jej Eryk. Bierze je i przegląda pobieżnie, nie otwierając kopert. Na tej dużej jest stempel z Leuven i znaczek belgijski z napisem „Belgique”.

– Leuven, faktycznie, miał tam kolegów. Chyba muszę ich zawiadomić o jego śmierci.

Rzuca koperty na stertę i wychodzi z domu.

*

W centrum Amherst wydaje się, że wszyscy studenci jednocześnie opuścili pokoje. Setki ludzi stoją na ulicach. Elżbieta jedzie w ślimaczym tempie, w końcu dojeżdża do tego samego miejsca parkingowego przed Converse Hall co poprzednio. Wysiada i patrzy w okno, ale tym razem Eryk do niej nie macha. Jest już początek grudnia, za zimno, żeby niepotrzebnie otwierać okna. Bierze telefon, chce zawiadomić go, że przyjechała, ale właśnie w tym momencie Eryk zaskakuje ją – pojawia się przed nią i całuje w policzek.

– Przepraszam za spóźnienie, ale utknęłam w korku za dużą grupą studentów skandujących hasła: *Black Lives Matter* i *No Justice No Peace*.

– Nie szkodzi. Pewnie znalazłaś się na końcu pochodu. Wyruszyli w południe z Regional High, to marsz na cześć Michaela Browna. Wypadki

w Ferguson bardzo wszystkich poruszyły. Nawet na moich wykładach omawialiśmy ten temat, chociaż włoskie malarstwo ma tyle wspólnego z aktualną polityką, ile niedźwiedzie polarne z pingwinami. No tak, ale lubimy protestować z najmniejszego powodu. Sprzeciwianie się jest częścią amerykańskiego ducha. Od siedemnastowiecznego purytanizmu po ruch praw obywatelskich i ruch przeciwko wojnie w Wietnamie w dwudziestym wieku, a teraz ruch Occupy i Tea Party. Ci, którzy sprzeciwiali się ustalonym porządkowi, duchowi czasu, mieli zawsze tyle samo wpływu na przebieg naszej historii co establishment i duch epoki.

Elżbieta miała przez chwilę wrażenie, że to ojciec do niej przemawia, chociaż wcale nie prosiła o ten wywód.

– Czy wszędzie nie jest trochę podobnie? – powiedziała raczej obojętnym tonem, żeby go nie zachęcać do dalszych wnurzeń.

– Myślę, że nie. Nasza historia to historia protestów. Wynikają one z naszego umiłowania wolności. Wolność słowa i myśli to zachęta do wyrażania własnego zdania, a odrębne poglądy słyhać głośniej niż gdzie indziej.

– Może mamy wiele powodów do protestów. Wcale mnie nie dziwi to poruszenie. Dwanaście strzałów do bezbronnego dziecka.

– Brown miał osiemnaście lat.

– Zatem dziecko... mężczyzna staje się dorosły dopiero po dwudziestce. O ile w ogóle dorasta. Gdybym była studentką, stałabym w pierwszym rzędzie, krzycząc: *Black Lives Matter*.

– Każde życie się liczy, na pewno, jednak kto chce sprawiedliwości, nie zazna spokoju. Sprawiedliwość wymaga nieustannej walki. Hasło *No Fight No Justice* ma o wiele więcej sensu niż *No Justice No Peace*. Musimy protestować i buntować się przeciwko brakowi sprawiedliwości. Przed nami długa droga, a do tego wcale nie prosta. Wyboista i pełna zakrętów. Martin Luther King powiedział kiedyś: „*The arc of the moral universe is long, but it bends towards justice*”⁶.

– Ty też już wtrącasz cytaty w każdą wypowiedź? – pyta Elżbieta nieco zaczepnie.

– Zawsze byłem dobrym uczniem – odpowiada Eryk z pewną dumą.

– Ale czyż King nie powiedział, że potępia przemoc i walki w Wietnamie? Był przecież pacyfistą.

– Ach, pacyfizm. Pacyfizm jest przywilejem ludzi, którzy mogą myśleć nad problemem, ale nie muszą go rozwiązywać. W praktyce pacyfizm jest moralnie nie do utrzymania. – Eryk bierze ze stosu pudło i zmienia temat. – Nawiasem mówiąc, mam dla ciebie niespodziankę.

– Dla mnie? A co to jest? – Elżbieta nie lubi niespodzianek.

– Bernard wkrótce przyjedzie! W ramach delegacji pojawił się na kilka dni w Bostonie, więc nareszcie jest niedaleko. Właściwie miał mnie odwiedzić dopiero jutro, ale jest już w drodze. Widocznie szybciej załatwił swoje sprawy. Więc go

poznasz.

Ustawiają dwa pudła w windzie i przynoszą kolejne z samochodu, tak jak poprzednio.

– Tym razem przywiozłaś więcej pudeł?

– Tak. Nie damy rady zawieźć wszystkiego naraz na górę.

Ustawiają w windzie stos z sześciu pudeł, wynoszą je na trzecim piętrze i powtarzają wszystko od nowa: z samochodu do windy, z windy do pokoju Eryka. Eryk jest wyraźnie zmęczony tym wysiłkiem.

– Przez to dźwiganie pudeł uświadomiłem sobie, ile on miał naprawdę książek – mówi, przeciągając się. – I każda z nich jest warta lektury.

– To jedna z niewielu rzeczy, na którą bez skrupułów wydawał pieniądze: książki i bilety na koncerty Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej.

– I wino, nie zapominaj o winie – dodał zaraz Eryk – chociaż myślę, że nie uważał tego za luksus, tylko za artykuł pierwszej potrzeby. Tlen dla duszy.

Ostatnie słowa brzmią znajomo w uszach Elżbiety. Odkąd sięga pamięcią, na wszystkie święta wymagające prezentów zawsze dostawała od ojca książki: rok po roku, nawet kiedy wyraźnie prosiła o coś innego. Jako dziecko, odwinąwszy prezent z papieru, nie ukrywała swojego niezadowolenia i pytała, dlaczego nie dostaje zabawek tak jak jej przyjaciółki ze szkoły.

– Mama kupuje fajniejsze prezenty.

– Zabawki ogłupiają, a książka odświeża ducha. Jest tlenem dla duszy.

Uważał, że ludzie szukają szczęścia w niewłaściwych obszarach, które proponują szybką rozrywkę i odwracają uwagę od tego, co istotne, podczas gdy szczęścia trzeba szukać w tym, co zaostrza nasze władze poznawcze i pomaga dotrzeć do sedna. Ponieważ takie rozrywki szybko nużą, coraz częściej szukamy mocniejszych wrażeń, które wcale nie sprawiają, że stajemy się bardziej szczęśliwi.

– Ach, Elżuniu, radujemy się aż do smutku. Mamy tyle, że w tym zalewie dóbr nie potrafimy dostrzec, co jest naprawdę ważne i czego naprawdę potrzebujemy. Naucz się cenić „niedużo” i „niewiele”. Skromność jest umiejętnością i cnotą moralną, które pozwalają osiągnąć szczęście.

To lub coś w tym rodzaju mówił, kiedy Elżbieta uważała, że nie ma w co się ubrać, i marzyła o nowych ubraniach i błyskotkach albo gdy otwierała lodówkę i narzekała, że nie ma tam nic do jedzenia.

– To, że nie kupuję gotowych dań ani słodyczy, nie znaczy jeszcze, że nie ma nic do jedzenia. W domu jest dosyć zapasów, żeby smacznie jeść przez tydzień.

Zaraz potem przyniósł jej kanapkę z masłem i cienkimi plastrami posolonych pomidorów.

– Patrz, jaka ucztą! – oświadczył z entuzjazmem i zarazem z powagą.

*

– Wejdę po schodach, ty jedź windą.

Kiedy Eryk to mówi, czuje, że ktoś za nim staje i kładzie mu rękę na ramieniu.

– Berni!

Ściskają się serdecznie. Elżbieta stoi w windzie między pudłami i nie może się ruszyć, patrzy na obejmujących się mężczyzn. Bernard jest o głowę wyższy od Eryka, emanuje naturalnym wdziękiem. W szarym garniturze sztywnym na miarę wygląda elegancko, ale swobodnie. Nie ma krawata, kołnierzyk czarnej koszuli jest rozpięty, buty czyste, choć zbytnio nie błyszczą. Bardzo mu do twarzy w młodszej, niewymuszonej fryzurze, jak gdyby nie cesał włosów, tylko przegarnął je dłonią.

Elżbieta wyciąga rękę pomiędzy pudeł, żeby się przywitać.

– To jest Elżbieta, Elżunia Raya – mówi Eryk.

Elżunia Raya? A więc tak się o mnie mówi, myśli. Uśmiecha się niepewnie, ponieważ rzadko kto mówi do niej Elżunia. Bernard ściska jej rękę, uprzejmie naciska guzik windy i pozwala jej odjechać. Uśmiechając się szeroko, macha ręką:

– Do zobaczenia!

Na górze spotykają się we troje. Bernard odzywa się pierwszy:

– Jesteś do niego podobna. – Elżbieta zmarszczyła czoło, więc dodaje: – W najlepszym tego słowa znaczeniu. Masz takie samo rozważne spojrzenie.

– Przypuszczam, że to jest komplement?

– Oczywiście, że komplement. Po jego spojrzeniu można było od razu poznać, że ma się do czynienia z kimś niezwykłym. Twój ojciec był naprawdę nadzwyczajnym człowiekiem.

Patrzy na Eryka.

– Bardzo wiele dla mnie zrobił. Chyba o tym wiesz.

Kiedy to mówi, zdaje się, że w jego oczach widać duszę i Bernard pozwala zajrzeć w głąb siebie. Przez jakiś czas nikt się nie odzywa, w ciszy dźwigają pudła z windy do pokoju Eryka. Potem Eryk wpada na pomysł, żeby zaprosić Elżbietę na kolację. Zarezerwowali z Bernardem stolik w Paradise of India. Zadzwoń, żeby zmienić rezerwację na trzy osoby.

– Powspominamy razem. Mam wrażenie, że krzywdzimy go, kiedy rozmawiamy o nim, nie pijąc dobrego wina.

Niezdolność Elżbiety do mówienia „nie” znowu daje o sobie znać. Zgadza się. Podczas jazdy do domu, walcząc ze sprzecznymi uczuciami, zastanawia się, dlaczego się zgodziła.

Wszystko albo nic

Przez kilka miesięcy mieszkałam daleko od domu, odcięta od rodziny, więc myślałam, że wiem, co to znaczy za kimś tęsknić, aż do chwili kiedy po wizycie w Nowym Jorku pożegnałam się z Rayem. W następnych godzinach czułam się tak, jakbym miała suchego kaca. Wzięłam trzy tabletki nasenne, ale nadal nie mogłam spać. Jadłam, lecz ciągle byłam głodna. Nie jadłam i czułam się najedzona. Piłam, bo Julia przynosiła mi szklankę wody, chodziłam, bo wydawałam stopom rozkaz poruszania się, ale cokolwiek robiłam, moje ciało i myśli były gdzie indziej. Gorąco i mdłości nie ustawały.

– Może zorganizujemy imprezę w piątek przed twoim wyjazdem?

– Czym wyjazdem?

– Twoim, do Belgii, marzycielko! I trzeba pomyśleć, jak by ją najlepiej zorganizować.

– Będziemy świętować to, że wyjeżdżam? – zapytałam smutno.

– Nie, kochana, to, że cię poznaliśmy. Wzniesiemy toast za przyjaźń, której nawet odległość nie naruszy! – powiedziała Julia, obejmując mnie serdecznie.

Trudno było myśleć o pożegnaniu. Jak mam żyć dalej bez Raya? Julia zapewne wyczuła mój smutek, bo przytuliła mnie mocniej.

– Nie bądź taka smutna, kochana, pięknie wszystko zorganizujemy z Bernardem, a w przyszłym roku postaram się przyjechać do ciebie latem w odwiedziny. Wskoczymy do Paryża i Berlina. Może po drodze zawadzimy o Rzym. Wszystko jest tam przecież w zasięgu ręki.

– Nie dla nas. Ja tu na pewno wrócę, może nawet na początku przyszłego roku.

Julia była wzruszona.

Spotkania z Rayem trzy razy w tygodniu już nam nie wystarczały. Składniki były wciąż takie same, ale smak się zmienił. Po naszym wspólnym pobycie w Nowym Jorku wszystko było teraz inne: mówienie, milczenie, przebywanie razem, a zwłaszcza rozstania. Rzadko rozmawialiśmy o zbliżającym się pożegnaniu, chociaż zostały nam tylko trzy tygodnie.

Powiedział, że napisał do profesora w Leuven i liczy na współpracę. Dawałoby mu to szansę przyjeżdżania do Belgii przynajmniej dwa razy do roku na delegację. Mieliśmy się spotykać, to było przesądzone, jasne zarówno dla niego, jak i dla mnie. Jednak takie plany bardziej mnie smuciły, niż radowały, ponieważ uwzględniały koniec teraźniejszości.

Seks się zmienił: nie spieszyliśmy się zbyt, chociaż też się nie ociągaliśmy. Nasze ciała dobrze się znały. Wiedziałam, gdzie Ray ma pieprzyki, doskonale wiedziałam, jak pachnie i smakuje każde miejsce na jego ciele i w jaki

sposób należy ich dotknąć palcami lub językiem, żeby dać mu jak najwięcej rozkoszy. Kiedy byliśmy ze sobą, jego ciało stawało się przedłużeniem mojego. I odwrotnie, wydawało się, że jego dłonie i wargi posiadały podobną wiedzę. Kochanie się było powrotem do domu, wzajemnym odnajdywaniem swoich ciał. Czasami próbowałam sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał nasz ostatni raz i co sobie na koniec powiemy. Czy będziemy się kochać wolno i z czułością, znowu centymetr po centymetrze odkrywać swoje ciała? Czy będziemy się kochać szybko, ostro, wyrażając w ten sposób niedowierzanie i złość, że coś nieodwołalnie wymyka nam się z rąk? Tragiczne piękno, o którym często rozmawialiśmy w kontekście poezji, moglibyśmy zobrazować, rozrywając nawzajem swoje ubrania, zaślepieni pożądaniem.

Czas nigdy nie pozwolił tego zweryfikować.

*

Włożyłam figi i gdy się pochylałam po resztę ubrania, zrobiło mi się czarno przed oczami. Tylko na ułamek sekundy, ale Ray, który starannie zapinał koszulę, zauważył, że poczułam się źle.

– Znowu jesteś blada, jak się czujesz?

– Jako tako, ale ten upał jest okropny. Jak wy to wytrzymujecie przez całe lato? Te ciągle mdłości są wyczerpujące. Wczoraj prawie zwymiotowałam.

– Jesteś pewna, że to upał?

– A co innego?

Nic nie powiedział, ale uważnie obserwował moją twarz.

– Ray, już dobrze. To nie są poranne mdłości, jeśli to masz na myśli. Najczęściej czuję się gorzej pod wieczór.

Skinął głową i zapytał, czy coś jadłam. Zjadłam tylko kilka winogron, więcej nie mogłam. Jego pytanie wywołało we mnie niepokój. Dotychczas byłam przekonana, że mdłości są spowodowane upałem. Julia też narzekała na gorąco.

Ale dlaczego mdłości nasilały się pod wieczór, kiedy temperatura spadała i lepiej się oddychało, bo w powietrzu było więcej tlenu?

*

Bernard odłożył swój wyjazd do Kalifornii o dwa tygodnie. Nie chciał wyjeżdżać, póki tu jeszcze byłam. Widywaliśmy się prawie codziennie. Zabrał mnie kilka razy do pubu i na finały NBA. Był zapalonym kibicem Los Angeles Lakers i zapewniał mnie, że ich mecze z Chicago Bulls przechodzą do legendy, zanim jeszcze zostają rozegrane.

W pubie było niedużo ludzi. Po oficjalnym rozdaniu dyplomów miasteczko pustoszało w szybkim tempie. Studenci wracali do rodzinnych stron, a profesorowie rozjeżdżali się na wakacje. Gdy wróciłam z Nowego Jorku,

w Amherst panował taki sam spokój jak po moim przyjeździe w sierpniu. Julia również wyjechała do domu, a że mieszkała w odległości półtorej godziny jazdy samochodem od kampusu uniwersyteckiego, to jeszcze kilka razy przyjeżdżała autem rodziców do Doliny Pionierów.

– Zabiorę was dzisiaj do najpiękniejszej księgarni w Massachusetts – powiedziała wesoło do Bernarda i do mnie. – Że też wcześniej nie pomyślałam, żeby wam ją pokazać. To jest stary młyn, przerobiony na antykwariat.

Bernard ucieszył się z wycieczki, ja zaś z trudem zdobyłam się na entuzjazm, myślami byłam jeszcze przy rozmowie z Rayem. W drodze do Montague niewiele zapamiętałam z pogawędek Julii i Bernarda. Siedziałam na tylnym siedzeniu. Julia, w obawie, że zabłądzi, chciała, żeby Bernard usiadł obok niej z mapą. Jeśli chodziło o orientację w terenie i czytanie mapy, miała zaufanie tylko do mężczyzn. Kiedy jechały z matką, zawsze się gubiły.

Julia zaparkowała samochód kilkadziesiąt metrów od Bookmill, dach księgarni znajdował się na tej samej wysokości co nasz samochód. Musieliśmy zejść stromą ścieżką, żeby trafić do wejścia dawnego młyna, usytuowanego nad Saw Mill River. Iglaste i liściaste drzewa zapewniały miły chłodek w ten upalny dzień. Antykwariat składał się z wielu mniejszych i większych pomieszczeń, zabudowanych drewnianymi półkami pełnymi książek. Wszędzie były kąciki z fotelami, krzesłami i stolikami, gdzie można było chwilę odpocząć.

Usiadłam w fotelu, gapiąc się przez otwarte okno i przysłuchując leniwie płynącej rzece. Julia i Bernard rozdzielili się i każde buszowało gdzie indziej. Przepływająca woda i późne, popołudniowe słońce, które się w niej odbijało, były tak piękne, że nie chciało mi się wstać, by oglądać książki, bo i tak nie miałam już miejsca w walizce. I byłam bardzo zmęczona.

– Jak się czujesz, kochana?

Julia przysłała z trzema książkami pod pachą i usiadła obok mnie, żeby mi je pokazać. Nic nie odpowiedziałam, ale wyciągnęłam rękę po książki i stwierdziłam, że to doskonały wybór, chociaż nie miałam ochoty przeczytać ani jednej z nich.

Niebawem zjawił się Bernard ze stosem książek, między innymi z dwoma z trzech tomów biografii Roberta Frosta. Trzeciego tomu niestety brakowało na półce.

Julia i Bernard zapłacili za książki, usiedliśmy na tarasie, żeby razem popatrzeć na rzekę. Bernard nie mógł się powstrzymać od kartkowania swoich książek. Julia opowiadała o planach podróży po Europie, którą chciała odbyć ze mną następnego lata.

– Tymczasem będziemy do siebie pisać. Listy idą teraz bardzo szybko.

Bernard spojrzął znad książki.

– Tak, ale nie dość szybko. Będę pisał co tydzień. Obiecuję. Za rok wszystko będzie inaczej. Skończę studia. Cały świat stanie przede mną otworem, będę mógł

pojechać, gdzie tylko zechcę.

W jego słowach było tyle nadziei, że aż zaniemówiłam. W tym momencie Julia wyciągnęła jednorazowy aparat fotograficzny.

– Prawie zapomniałam. *Cheese!*

Zrobiła nam kilka zdjęć z Bernardem, a potem poprosiła go o parę fotografii nas obu. Na rolce zostało jeszcze pięć klatek, więc poprosiła księgarza, który nie miał teraz klientów, o zrobienie zdjęć całej naszej trójce.

– Jak tylko je wywołam, wyślę ci najładniejsze! Tylko musisz mi podać adres. Nie pamiętam, gdzie go zapisałam.

– Dziękuję, Julio.

Może to szum przepływającej wody, a może przyjemny chłodek, który się nad nią unosił, sprawiły, że nie czułam wieczornych mdłości. Pojawiły się dopiero wtedy, kiedy leżałam już w łóżku. Julia pojechała odwiedzić Bernarda. Weszła na chwilę do pokoju, który dzieliłyśmy przez dziewięć miesięcy, ale potem wróciła do domu, bo lubiła jeździć w nocy po pustych drogach, z radiem nastawionym na cały regulator.

Nie mogłam zasnąć. Nie tylko ciało, ale i umysł nękały mdłości. Pytanie „A co, jeśli...?” utkwilo mi w głowie i żadna racjonalizacja ani relatywizacja nie potrafiły usunąć ani złagodzić niepokoju wywołanego tymi kilkoma słowami. Leżałam w łóżku, lecz miałam wrażenie, że unoszę się na materacu wśród kołyszących się fal.

*

Tej nocy śnił mi się koszmar, wisiałam jak kamień na szyi Raya. Ciężar mojego ciała ścigał go w głąbinę. Nagle nie byłam już kamieniem, ale znajdowałam się pod wodą, obok niego, patrzyłam, jak szuka ratunku. Między nami pojawiło się śmiejące się szeroko niemowlę. To było nasze dziecko, od razu to wiedzieliśmy. Musiałam szybko coś zrobić. Z braku tlenu Ray zaczął kopać nogami, a ja musiałam złapać niemowlę, żeby nie utonęło w ciemnej głąbinie. Myślałam, jak będzie wyglądało życie Raya, kiedy wypłyniemy na powierzchnię. Nie mogłam pozwolić, żeby się utopił. Ale co miałam zrobić z tym dziwnym dzieckiem? Młoda kobieta z dzieckiem nikogo nie dziwi. Ale co z Rayem? Jak by wyglądał, pchając wózek? Miał ponad pięćdziesiąt lat, kiedy został ojcem Elżuni, co niektórzy komentowali z kpiną. Tym razem byłoby gorzej: jeszcze młodsza kobieta z o wiele starszym mężczyzną w roli ojca. Niemowlę wciąż się do mnie śmiało.

Obudziłam się i otworzyłam test ciążowy, który kupiłam wczoraj po drodze. Nie potrafiłam rozstrzygnąć wątpliwości: „A co, jeśli?”. Prosty test to potrafił. Ulotka informowała, że poranny mocz daje najbardziej wiarygodny rezultat. Właśnie nadchodził poranek.

*

Na twarzy miałam czerwone plamy, a moje oczy były opuchnięte z niewyspania. Mimo to musiałam iść do Converse Hall. Parking po lewej stronie budynku był prawie pusty, ale jego samochód stał. Powłócząc nogami, weszłam na trzecie piętro. Zapukałam do drzwi. Otwórz, to pilna sprawa, myślałam. Ray nie spodziewał się mnie i dopiero po chwili stanął w drzwiach.

– Co się stało? Wchodź szybko.

Kiedy tylko drzwi się za nami zamknęły, przywarłam do niego i się rozplakałam. Skuliłam się w jego ramionach jak małe dziecko. Trzymał mnie, nic nie mówił i o nic nie pytał. Potem próbował się uwolnić z moich objęć. Podniósł moją brodę, ucałował oczy i znowu zapytał:

– Co się stało, kochanie?

– Przecież wiesz. – Łzy pociekły mi po policzkach. – Wiedziałaś o tym.

Przycisnął mnie mocno do siebie.

– Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze.

– W jaki sposób?

Nic nie odpowiedział.

– Co zrobimy? Za tydzień muszę wracać do Belgii.

– Przepraszam, że o to pytam, ale, czy jesteś pewna, że...

– Nie musisz pytać i nie musisz kończyć zdania. Wiem, o czym myślisz, i odpowiedź brzmi: tak. Naprawdę myślisz, że potrafiłabym spać również z Bernardem, odkąd jestem z tobą? Nie mogłam. Nigdy ci tego nie mówiłam, ale ty miałaś Zuzannę, więc może dlatego, że chciałam, żebyś cierpiał przez Bernarda, tak jak ja cierpiałam przez Zuzannę. To jest głupie, wiem. Nie chciałam, żeby tylko mnie męczyła zazdrość. Ale nie potrafiłam spać z Bernardem, bo to byłaby zdrada.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? – Ray spojrzał ze smutkiem. – Pewnie to nie ma znaczenia, ale ja z Zuzanną też nie... – nie dokończył zdania.

Trzymając mnie w ramionach, zaprowadził do fotela w kącie. Sam usiadł za biurkiem.

– Jesteś pewna? – zapytał. – Dużo ostatnio przeżyłaś. Nic dziwnego, że często cię mdli.

Nie powiedział tego z pretensją, ale z pewnym zaniepokojeniem. Zdał sobie sprawę, że nagle karty zostały rozdane inaczej i że teraz jest jego kolej. Wcisnęłam mu test ciążowy do ręki.

– Tutaj, dwie jednoznaczne kreski. Nie można ich inaczej interpretować.

– Co to jest?

– To jest test ciążowy Ray. Nigdy tego nie widziałaś?

– Nie, nigdy. Kiedy Zuzanna... – Nie dokończył zdania, ale zaraz rozpoczął następne. – Elżunia miałyby zatem...

Zdawało się, że stracił zdolność mówienia całymi zdaniami. Na jego twarzy widać było, że z trudem trzyma się w ryzach. Nie rozmawialiśmy często o moim powrocie do Belgii. Ten temat wprawiał nas w dość ponury nastrój, a ponieważ wspólne chwile były rzadkie, nie chcieliśmy ich marnować na przygotowanie do rozstania, które zbliżało się w galopującym tempie i wcześniej czy później miało nam dać kopniaka.

Tylko jeden raz poruszyliśmy ten temat. Ray opowiedział mi swój dawny sen, który przyśnił mu się, kiedy był nastolatkiem, ale do dzisiaj uważał go za drogowskaz.

– Śniło mi się, że jechałem na rowerze, w nieznanym, ale przyjemnym miejscu. Spokojna, szeroka ścieżka, na niebie ani jednej chmurki, świeciło słońce, lecz nie było upału, ptaszki śpiewały, a ja jechałem przed siebie i cieszyłem się zapachem świeżo skoszonej trawy i wietrzykiem na twarzy. Nagle ścieżka zwęziła się, niebo się zachmurzyło, lekki wietrzyk stał się zimny i kłuł mnie w ramiona i nogi. Świat naokoło otaczała ciemność. Miałem wrażenie, że jadę po murze, a po obu stronach znajdują się przepaście. Mur był tak wąski, że musiałem się koncentrować na drodze przede mną. Nagle coś usłyszałem. Z przeciwnej strony nadjeżdżał rowerzysta. Na próżno starałem się hamować, z każdą sekundą zbliżaliśmy się do siebie. Zacząłem się pocić, a kiedy byłem już pewien, że się zderzymy, rowerzysta skręcił. Niespodziewanie pojawiła się ścieżka, której nie zauważyłem, ogarnięty paniką. Po zniknięciu rowerzysty wszystko wróciło do normy. Ścieżka rozszerzyła się, słońce przegoniło ciemne chmury i było spokojnie.

Do tego snu dodał wyjaśnienie, że musimy poczekać, aż wrócę do Belgii. Na początek będziemy pisać do siebie listy i zobaczymy, czy będziemy mogli żyć bez siebie, czy ugniemy się pod ciężarem oceanu, który nas dzieli. Ujął w ręce moje dłonie i powiedział:

– Jesteś jeszcze bardzo młoda, może myślisz, że jestem kimś, bez kogo nie potrafisz żyć, ale pewnego dnia pomyślisz inaczej. Spojrzysz inaczej na ten czas w Amherst i zaczniesz się zastanawiać, co widziałaś w tym starym facecie. Zakochasz się jeszcze z pięć razy, wyjdiesz za męża, będziesz miała dzieci, kto wie, może nawet paru kochanków. Kiedy będziesz w kwiecie wieku, to ja, stary i zniedołężniały, będę jeździł wózkiem inwalidzkim po domu starców, a pielęgniarka będzie przychodziła zmieniać mi pieluchy, bo być może nie będę już panował nad trzymaniem moczu. Jeśli zostaną mi jeszcze jakieś okruchy pamięci, to będę wspominał nasze wspólne chwile. Masz jeszcze całe życie przed sobą, Anno, ja swoje prawie już przeżyłem.

Przypomniałam Rayowi w tej rozmowie:

– Będziesz musiał podjąć decyzję. Nie możesz się więcej chować za różnicą wieku, za gadką o moim długim życiu, czekającym mnie po powrocie do Europy. Za pisaniem listów i tak dalej. Noszę w sobie twoje dziecko, ono rośnie z każdą

sekundą, którą spędzasz na zastanawianiu się.

– Jak długo jesteś w ciąży? Miesiąc?

– Może chcesz, żebym usunęła?

– Nie mów tak. Pytam tylko, który to miesiąc.

– Myślę, że jakiś miesiąc.

Zaczęłam liczyć na palcach: czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik... aż do dziewiątego miesiąca.

– Dziecko urodzi się gdzieś w lutym, może nawet wcześniej. Nie jestem pewna. Nie byłam jeszcze u ginekologa.

– Luty... – Oparł się łokciem o poręcz fotela i dotknął wargami kostek palców. Siedział tak chyba ze dwie minuty, niczym nieruchomy marmurowy posąg, patrząc przed siebie.

– Ray – wyrwałam go z zamyślenia. – Dziecko rośnie we mnie, nasze dziecko... Pisanie listów, czekanie, jak się będziemy czuli bez siebie, nie wchodzi w rachubę. Kiedy będę ci odpisywała, brzuch stanie się widoczny. Co powiem moim bliskim? Że ojciec dziecka zastanawia się, czy dostatecznie za mną tęskni i czy chce być ze mną?

Ray zdjął okulary i lewą ręką pocierał policzek. Następnie przejechał dłonią po czole, jakby chciał wygładzić zmarszczki i zmartwienia. Była w tym geście bezradność, czubki palców spotkały się między brwiami i Ray zaczął pocierać brwi kciukiem i palcem środkowym. Dopiero wtedy znalazł odpowiednie słowa.

– Wiem, że musimy podjąć decyzję. Jednak obawiam się tej różnicy wieku.

– Uważasz, że lepiej pozbyć się dziecka?

– Anno, wcale tak nie powiedziałem i nie chcę, żebyś tak mówiła. Powiadam, że jestem starszy od ciebie o czterdzieści lat. To jest fakt i musimy się z nim liczyć. Zarówno w związku z tobą, jak i z dzieckiem. Mam prawie sześćdziesiąt trzy lata, a kiedy dziecko będzie miało dziesięć lat, będę miał siedemdziesiąt trzy. Kiedy ono skończy dwadzieścia lat, ja, jeśli dożyję, przekroczę przeciętną długość życia mężczyzny i będę miał osiemdziesiąt trzy lata. Nie możemy rozmawiać romantycznie o tych danych, bo to w dramatycznym stopniu wpłynie na twoje życie.

– Jak sobie wyobrażasz dalszy ciąg? Wrócę do Belgii, zatrzymam dziecko, będę czekała na znak od ciebie i listy? Tymczasem ty nadal będziesz prowadził swoje niewinne życie w Amherst jak gdyby nigdy nic, dopóki nie urodzę. A potem będziesz mi przysyłał listy, pieniądze, jakieś zabawki, które w zasadzie potępiasz, dla dziecka, które będę wychowywała sama. Albo zatrzymamy dziecko i wychowamy je razem. Albo... wrócę do Belgii i usunę ciążę.

– Nie mów tak.

– Dlaczego nie? Musimy przeanalizować wszystkie scenariusze. Widzisz jeszcze jakąś inną możliwość?

– Pozwól mi pomyśleć. Ja...

Przerwałam mu.

– Nie mamy czasu na myślenie. Za tydzień odlatuję do Brukseli. Rozumiem, że to dla ciebie za dużo, ale ty także musisz zrozumieć, że muszę podjąć decyzję. Możesz mnie zatrzymać, wtedy zostanę. Jeśli nie, wrócę do Europy i usunę ciążę. Żeby potem, jak to powiedziałaś, cieszyć się całym życiem, które mam przed sobą.

– Anno...

– Żadne, Anno. Dałabym ci czas, naprawdę, gdybym sama go miała, ale nie mam. Tydzień to nie jest dużo, ale też nie krótko. Będę na ciebie czekała na ganku Evergreens, o czwartej po południu. Jeśli przyjdiesz, zostanę. Jeśli nie przyjdiesz, zamknę za sobą ten rozdział. Usunę w Belgii ciążę i nie będziesz musiał pisać listów do mnie.

– Wszystko albo nic. Nie potrafię jasno myśleć w takich warunkach, Anno.

– Niefortunnie się składa. To znaczy, że nigdy nie potrafisz jasno myśleć w ważnych momentach swojego życia, bo to są zawsze chwile „wszystko albo nic”. Może powinieneś gruntownie przestudiować Jankélévitcha i otrząsnąć się z uprzedzeń wobec francuskich filozofów. Żyje się pełnią życia albo się wcale nie żyje, nie ma drogi pośredniej. Nie można żyć połowicznie. Kto żyje na pół gwizdka, wcale nie żyje. Wiesz co, twoja odpowiedź nie ma właściwie znaczenia. W tym wypadku jest wszystko albo nic. Nie mogę być tylko trochę twoja i jednocześnie być matką twojego dziecka. Wszystko albo nic, Raymondzie Vernonie. Wszystko albo nic.

Pierwszy raz wypowiedziałam jego pełne imię.

*

W następnych dniach nie dostałam żadnej wiadomości od Raya i nie chodziłam już do niego. Rozumiałam, że potrzebuje czasu na przemyślenie sprawy. Odejście od żony oznaczałoby istotną zmianę w jego życiu, wstyd związany z rozwodem, i to jeszcze z powodu znacznie młodszej kobiety, wstyd, że inna kobieta jest z nim w ciąży. Życie nie byłoby dla niego łatwe. Jednak nasze dziecko miało prawo do rodziny i ojca takie samo jak Elżunia. Gdyby nie ono, jakim prawem miałabym rozbić rodzinę, żeby założyć własną? Czułam się winna wobec Zuzanny i Elżuni, a jednocześnie miałam nadzieję, że mi wybaczą. W końcu jedyną moją winą była miłość do Raya, a kto mógł to lepiej zrozumieć, jeśli nie one? Dziwna sprawa, człowiek musi liczyć na przebaczenie – najtrudniejszy i prawdopodobnie najbardziej altruistyczny czyn – właśnie tych osób, których życie utrudnia lub je burzy z powodu własnych, egoistycznych pobudek.

Postawiłam ultimatum i tak się martwiłam, że nie mogłam jeść, mimo że ciągle byłam głodna. Nienarodzone dziecko musiało wiele znieść i już wtedy czułam się złą matką. Musiałam się czymś zająć, żeby się nie załamać od tego

zamartwiania. Czas nie płynął przez to szybciej. Zajął się opróżnianiem swojego pokoju studenckiego. Przyjechałam z jedną walizką, a gdybym chciała zabrać ze sobą wszystko, co zgromadziłam przez ostatnie miesiące, potrzebowałabym przynajmniej czterech walizek. Wszystkie rzeczy w dobrym stanie, których nie chciałam zabrać do Europy, przekazałam kościołowi Julii, który rozpoczął akcję zbierania ubrań. Wyrzuciłam wszystko, co się nie nadawało do użytku. Niesamowicie, ile człowiek zbiera rzeczy, myśląc, że są mu potrzebne. W rzeczywistości nie wykorzystywałam nawet jednej czwartej tego, co posiadałam. Wyciągnęłam wielką zakurzoną walizkę spod łóżka i byłam zdecydowana zmieścić w niej wszystko. Nawet gdybym nie wyleciała w sobotę, ale rozpoczęła nowy rozdział życia z Rayem, nie było w nim miejsca na moje studenckie rzeczy. Za kilka miesięcy miałam zostać matką, bo niezależnie od decyzji Raya i tego, co mówiłam, nie potrafiłabym pozbyć się dziecka, jedyne namacalne kawałka Raya, jaki nosiłam w sobie.

Walizka była spakowana i gotowa do jednej z dwóch dróg: życia z Rayem albo powrotu do Belgii. Wszystko będzie dobrze. Może dwa tygodnie temu Ray mógłby wrócić do życia beze mnie, kierując się wyższym celem, utrzymaniem rodziny, którą już miał. Teraz wydawało mi się to nie do pomyślenia. Nasze dziecko... Z takim wyrzutem sumienia nie potrafiłby żyć.

*

Przyszłam piętnaście minut za wcześnie. Na ganku muzeum Evergreens⁷ skryłam się przed niespodziewanym deszczem. Postawiłam walizkę przy ścianie i usiadłam obok. Z podciągniętymi kolanami patrzyłam prosto przed siebie, na ogród The Homestead, domu, w którym wiele lat temu Emily Dickinson prowadziła żywot pustelnicy. Przelotny deszcz ożywił świat dookoła: zieloność trawy, zapach unoszący się z mokrej ziemi, szum wiatru i deszczu w drzewach.

Fala deszczu, która to wzmagala się, to słabła, spowodowała, że w mieście było pusto. Niewiele samochodów poruszało się po Main Street. Ręce mi się trzęsły na myśl, że niedługo przyjedzie. Wiedziałam, że przyjedzie. Nie chciałam ciągle patrzeć na zegarek, więc otworzyłam książkę, którą miałam ze sobą, chociaż zupełnie nie potrafiłam się skoncentrować na tekście i stale powtarzałam ten sam akapit jak mantrę. Była godzina czwarta, postanowiłam, że nie będę co chwila spoglądać na drogę. Chciałam, żeby zastał mnie nad książką, wtedy mogłabym ją odłożyć i paść mu w ramiona. Pięć po czwartej. Spojrzałam na drogę i wróciłam do lektury. Dziesięć po czwartej. Znowu spojrzałam na drogę i pomyślałam, że już powinien być. Kwadrans po czwartej. Rozejrzałam się, a potem znów starałam się czytać. Dwadzieścia po czwartej. Gdzie on się podziewa? Wpół do piątej. Z trzaskiem zamknęłam książkę. Za kwadrans piąta. Nie mogłam powstrzymać łez. Piąta godzina. Łzy lały mi się po policzkach. Wpół do szóstej. Byłam załamana.

Wieczorem miała się odbyć impreza pożegnalna, zorganizowana dla mnie przez Julię i Bernarda. Wyobrażałam sobie, że pójdę tam, zostawiwszy najpierw walizkę u Raya, i powiem im, że moje plany się zmieniły i zostaję na dłużej w Stanach, ale nie powiem im jeszcze dlaczego. W tej sytuacji nie mogłam tam pójść. Musiałam wyjechać teraz, nie było dla mnie miejsca w Amherst. Wzgórza dookoła wydawały się groźnie na mnie napierać, jakby chciały mnie zmiażdżyć. Pobiełam na przystanek przy South Pleasant Street, żeby zdążyć w Springfield na ostatni autobus do Nowego Jorku. Na przystanku, przemoczona i zdenerwowana, błagałam kierowcę, żeby uznał mój bilet, który był wystawiony na następny dzień, i żebym mogła pojechać już dzisiaj. Kierowca protestował, nawet kiedy mu powiedziałam, że moja matka umiera i muszę dojechać dzisiaj do Nowego Jorku.

– Masz dzieci, Lesley? – Jego imię widniało na emblemacie z logo Peter Pan Bus, przypiętym na lewej piersi.

Nie odpowiedział, ale drgnęły mu kąciki ust, więc widziałam, że ma.

– Jak byś się czuł, gdybyś nie mógł się z nimi pożegnać, bo jakiś kierowca chce ściśle przestrzegać wszystkich przepisów?...

– Okay, okay, wsiadaj. Wytlumaczę to potem moim kolegom w Springfield.

Autobus ruszył. Jeszcze dwie godziny temu myślałam, że znajduję się na początku nowej przygody, teraz jechałam ku przepastnej samotności. Mimo to wolałam przespać całą noc na walizce i spędzić dzień w terminalu, niż zostać choćby minutę dłużej w Amherst.

Elżbieta szykuje się do wyjścia do restauracji, w której Bernard z Erykiem mają czekać na nią za półtorej godziny. Suwak z boku wizytowej sukienki nie chce się zapiąć. Kiedy się to w końcu z trudem udaje, materiał opinający się na brzuchu przypomina, że w ostatnich tygodniach często szukała ucieczki w niezdrowych przekąskach. Przebiera się, ale musi się położyć na łóżku i wciągnąć brzuch, żeby zapiąć spodnie. Zakłada luźny, czarny sweter w beżowe paski, w którym chodzi na co dzień, chociaż delikatne wykończenie przy szyi sprawia, że nadaje się także na bardziej odświętne okazje. Sweter sięga do połowy ud. W najgorszym razie może rozpiąć spodnie.

Dzwoni telefon. To matka. Nie odbiera, chociaż obiecała jej to ostatnio. Jednak wie, że nie potrafi kłamać, a powiedzenie matce prawdy zdenerwowałoby ją bardziej niż nieodebrany telefon. Co miałyby powiedzieć? Idę na obiad z przyjaciółmi Raya? Podczas jazdy samochodem do Amherst zastanawia się ciągle: dlaczego?

Parkuje auto od tyłu, na parkingu przedszkola w przybudówce siedziby First Congregational Church, do którego sama kiedyś chodziła. Na placu zabaw stoi jeszcze duża drewniana łódź. Pamięta, jak lata temu wspinała się na nią, siadała za sterem i wyobrażała sobie, że jest piratem.

Gdzeniegdzie widać kupki nieco stopniałego śniegu. Po pierwszych zimowych opadach nadeszły cieplejsze dni, ale teraz mróz trzyma mocno. W nocy jest straszliwie zimno, a w dzień niewiele cieplej, bo słońce ledwo świeci. Elżbieta wychodzi z Churchill Street i zatrzymuje się raptownie przy narożnym budynku siedziby głównej policji. Na sto kroków przed restauracją dociera do niej, że jeszcze nie jest za późno, żeby wrócić do domu.

Przychodzi na czas, ale panowie już siedzą przy małym okrągłym stole i czekają na nią. Bernard rozlał wino do kieliszków i wznosi toast:

– Za twojego ojca, Elżbieto, najlepszego profesora i wyjątkowego przyjaciela!

Zebrani podnoszą kieliszki do ust. Eryk dodaje po pierwszym łyku wina „amen”. Na stole pojawiają się pierożki samosa i puri. Wraz z podaniem przystawek Elżbiecie mijają podły nastrój i przestaje myśleć o tym, dlaczego się tutaj znalazła. Panowie rozluźniają atmosferę, opowiadając o swoich dzieciach, i zadają pytania o jej pracę. Żaden z nich nie pyta o ojca, czego się początkowo trochę obawiała. Bernard ponownie napełnia kieliszki i daje znak, że teraz zabierze głos, żeby nadać rozmowie inny kierunek.

– Gdyby nie twój ojciec, nigdy nie skończyłbym studiów. To dzięki niemu się nie poddałem. Na trzecim roku spotkałem dziewczynę, Annę. Była wyjątkowo

inteligentna. Czasami nazywaliśmy ją w żartach żeńskim Vernonem, bo osobowością bardzo przypominała twojego ojca. Byliśmy niby razem, ale niezupełnie. Nie chciała się wiązać, bo przyjechała do Amherst tylko na rok. Na wymianę studencką, z Belgii.

– Z Leuven?

– Ej, znasz tę historię? Czy Ray ci ją opowiadał?

– Nie, ale byłam kiedyś z ojcem w Leuven. To jedyne miejsce, jakie znam w Belgii... oprócz Brukseli, Brugii i Antwerpii. Jeździł tam prawie co roku, o ile pamiętam. Jest tam ten słynny uniwersytet. Miał tam chyba kilku kolegów, był współpracownikiem ich czasopisma.

Elżbieta myśli o kopercie leżącej w domu na stole kuchennym. Żałuje, że przerwała Bernardowi. Nie chce wspominać pobytu w Leuven ani opowiadać o nim.

– Ale powiedziałaś, że nie skończyłbyś studiów bez niego.

– Mimo że nie byliśmy naprawdę razem, Anna była mi bardzo droga. A kiedy...

Bernard westchnął głęboko.

– To było dwadzieścia lat temu, może nawet dwadzieścia jeden, trudno mi o tym mówić. Chyba nikt mnie tak nie zranił jak ona.

Wypił łyk wina.

– Czasami myślę, że była kobietą mojego życia.

Kciukiem i palcem środkowym prawej dłoni zaczyna obracać powoli na palcu lewej ręki złotą obrączkę, która wydaje się nieco za duża.

– Nie wiem. To pewnie dziwne mówić coś takiego teraz, kiedy jestem szczęśliwie żonaty. Jednak możemy też błędzić po drogach, których nie wybraliśmy. Myślałem, że coś nas z Anną łączyło. Wyjechała bez pożegnania. Widać uważała, że nie ma takiej potrzeby.

– Dlaczego uważasz, że była kobietą twojego życia?

Elżbieta czuła, że psycholog bierze w niej górę. Intryguje ją zawsze, jak ludzie mówią o miłościach swojego życia. Pyta, co mają na myśli, a potem docieka, na czym opierają swoje przekonanie, w nadziei, że sama odsłoni coś z prawdy o złudzeniu prawdziwej miłości. Najczęściej odpowiadają, że to jest uczucie.

– Jeśli przyjdzie, to będzie wiadomo – mówią wtedy. – To objawienie, które wprowadza w stan zamieszania, ale mimo to będziesz je całkowicie rozumiała.

Czy jest to zatem wiedza, czy uczucie? Elżbieta pyta zazwyczaj dalej, bo naprawdę chce znać odpowiedź. Jednak ten, kto doświadcza tego niezwykłego uczucia, rzadko zdradza tajemnicę. Często odpowiedź brzmi podobnie:

– Człowiek wie, że ją czuje, i czuje, że to wie.

Zdaje się, że coś podobnego chce teraz powiedzieć Bernard.

– Wiedziałem od razu, kiedy tylko zobaczyłem jej plecy, rozmawiała z kimś.

Wtedy już wiedziałem: to jest ona. Przeznaczona mi. Nie dlatego, że wierzę w to, że los człowieka jest określony z góry. Nie jestem stworzony do wiary w determinizm.

Eryk, który właśnie upił łyk wina, zaśmiał się trochę niepewnie. W ostatnim momencie wytarł kciukiem spływającą z dolnej wargi kropelkę wina.

– Nie jestem stworzony do wiary w determinizm – powtarza.

Eryk zna Bernarda tak długo, że w tych poważnych słowach szybko rozpoznaje jego nieco nietypowe poczucie humoru.

– Ach, szczegóły nie mają znaczenia – ciągnie Bernard. – Kiedy wyjechała, załamane się. Gdyby nie twój ojciec, porzuciłbym studia. Całe lato i większą część następnego semestru... Czuję się zagubiony. Nic mi się nie chciało. Pragnąłem uciec. Nie chciało mi się uprawiać sportu. Po powrocie do Amherst nie miałem ochoty się z nikim spotykać – ani z przyjaciółmi z Kalifornii, ani z naszą grupką.

– W tym okresie Ray zrobił przerwę w spotkaniach Exiles – dodaje Eryk. – Myślę, że nie chciał się spotykać bez ciebie, Bernardzie. Chyba w ten sposób zamierzał ci przekazać, że nie może ciebie zabrać. Że byłeś zwornikiem spajającym naszą grupkę. Jeśli chce się komuś pomóc wyjść z opresji, trzeba mu dać odczuć, że jest ważny dla innych. Że inni na niego liczą. Tak to przecież jest, Elżuniu?

Nie dziwi jej, że Eryk zwraca się do niej. Często zdarzało się, że ludzie uważali cały świat za gabinet psychologa i prosili ją o potwierdzenie, kiedy przedstawiali jakąś teorię, która miała wyeliminować ze świata psychiczne cierpienie.

– Twój ojciec naprawdę ocalił mnie przed porzuceniem studiów – ciągnie Bernard. – I przed wszystkimi nieszczęściami, które byłyby tego następstwem. Powiedział, że złamane serce nie może łamać rozsądku, i nakazał mi studiować dalej. Zwłaszcza grać, dużo muzyki, to była jego najważniejsza rada. Nie ulegaj pokusie, żeby rzucić wszystko. Początkowo brałem trąbkę z niechęcią. Powoli zacząłem w niej znajdować pocieszenie. Ilekroć grałem, wydmuchiwałem z siebie część smutku. Trwało to jednak długo, wymagało wiele godzin grania.

– W tym samym czasie Ray się rozwodził – dodaje Eryk.

Elżbieta nie może się powstrzymać od jednej myśli: widocznie miał czas dla innych, tylko nie chciał go mieć już dla nas.

Żaden z panów nie zauważył, że Elżbietę zabolowały te słowa.

– Tak, to nie był łatwy czas dla niego – mówi dalej Bernard. – A jednak był przy mnie. Może właśnie dlatego, że sam przeżywał trudny okres. Bardzo mi współczuł. Pamiętam, że raz – nigdy tego jeszcze nikomu nie mówiłem – płakał razem ze mną, kiedy przyszedłem do niego pocieszyć swoje złamane serce i zrozumiałem, że wszystkie moje wysiłki, by odzyskać Annę, są daremne. Nigdy

nie zapomnę, że płakał wraz ze mną, będę mu za to dozgonnie wdzięczny.

Eryk i Bernard opowiedzieli jeszcze wiele anegdot o jej ojcu. Eryk potrafił bardzo umiejętnie naśladować intonację Raya, sprawiało mu to widoczną przyjemność. Opowiadał, że najważniejsza lekcja, jakiej udzielił mu Ray, dotyczyła przyjaźni.

– Często słyszymy, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. Ale prawdą jest też odwrotność. Prawdziwych przyjaciół poznaje się także wtedy, kiedy osiąga się sukces. Ray ostrzegał mnie przed tym, kiedy moja druga książka stała się bestsellerem. To znaczy: bestsellerem w środowisku naukowym. Wtedy rzeczywiście maski opadły. Pojawiła się zazdrość, ludzie, o których myślałem, że dobrze mi życzą, nagle zaczęli mi zazdrościć kariery... Miał rację: ludzie życzą ci jak najlepiej, byle nie wiodło ci się w życiu pomyślniej niż im.

Elżbieta z ciekawością słucha tych wszystkich opowieści tylko dlatego, że zapomina, iż dotyczą jej ojca. Dowcipny, zabawny, nawet śpiewał – takiego go nie znała. Nigdy nie miała szansy. Albo jej nie wykorzystała.

Kiedy zdała sobie z tego sprawę w restauracji, przy stole, uśmiechnęła się. W domu zaczęła głośno szlochać. Pierwszy raz płakała z powodu ojca.

*

W domu rozrywa kopertę z Leuven.

Leuven. Miała wtedy szesnaście lat. To były pierwsze i ostatnie wakacje ojca z córką. Niepełnoletnia Elżbieta musiała dostać od matki pisemne zezwolenie na wyjazd do Europy z ojcem. Ray chciał pojechać już wcześniej, w pierwsze wakacje po rozwodzie, ale Zuzanna powstrzymywała córkę, nawet jeśli Ray obiecywał codziennie dzwonić. Jednak kiedy Elżbieta miała szesnaście lat i stała się bardziej pyskata, Zuzanna poddała się pod presją córki.

Pojechali na dwa tygodnie i mieli odwiedzić cztery miasta, głównie Leuven. Ray chodził po ulicach całkowicie zamknięty w sobie, pochylony do przodu bardziej niż zazwyczaj i z dziwnym spojrzeniem w oczach: nieobecny i jednocześnie ostrym, jakby czegoś szukał. Zdawało się, że wcale nie cieszy się z tych wakacji.

– Jak się czujesz? Jesteś taki ponury.
– Nie jestem ponury, tylko myślę.
– Zawsze myślisz, ale nie widziałam cię wcześniej w takim nastroju. Prawie się nie odzywasz.

– Może dlatego, że mam niewiele do powiedzenia.
– Zawsze masz coś do powiedzenia. Jeszcze nim wyjechaliśmy z Amherst, już wiedziałam, że mają tu trzy oficjalne języki, sześć parlamentów i dom królewski.

– A więc słuchasz tego, co do ciebie mówię. Podoba ci się tutaj?

– Tak, tutaj wszystko jest inne niż u nas. Przede wszystkim domy i ulice, ale także sklepy. Pójdziemy zaraz na zakupy, obiecałeś mi.

Elżunia wskazała palcem Bondgenotenlaan.

– Tak, może. – Ray dopijał kawę bez pośpiechu i nie patrząc na nią, podał jej ciasteczko.

– Cieszysz się, że tu jesteśmy? Nie rozumiem tego. Od lat prosiłeś mamę, żeby mnie tu zabrać, a teraz kiedy tu jesteśmy, jesteś nieobecny. Dlaczego chciałeś przyjechać tu ze mną?

– Ponieważ mam uczucie, że jest tutaj część mnie, którą zgubiłem wiele lat temu. Może miałem nadzieję ją odnaleźć? Nie wiem.

Elżunia nic nie zrozumiała z wypowiedzi ojca, ale była do tego przyzwyczajona, więc dalej piła coca-colę.

– Pójdziemy teraz do sklepów, które chcesz odwiedzić? Nie chcę, żebyś myślała, że nie lubię być tutaj z tobą.

Przejrzenie korespondencji jest ostatnim obowiązkiem, jaki został Elżbiecie po śmierci ojca. Chyba musi zrobić listę osób, które powinna poinformować o jego śmierci lub podziękować za kondolencje. W grubej kopercie nie ma broszurowego katalogu książek mających się ukazać w tym roku akademickim ani dziesięciu egzemplarzy artykułu, który ojciec kiedyś napisał. Koperta zawiera dwie małe koperty i spięte zszywkami kartki. Koperty są ponumerowane, na jednej widnieje jedynka w kółku, na drugiej cyfra trzy. Na pierwszej, pustej kartce spiętego pliku jest cyfra dwa.

Brudnym nożem kuchennym Elżbieta otwiera pierwszą kopertę.

List został napisany ręcznie.

Ostatnie słowa

Najdroższy Raymondzie,

nie wiem, czy przeczytasz te słowa, ale to nie powstrzymuje mnie przed ich napisaniem. Nie wiem, ile jeszcze czasu mi zostało, czerpię siły z braku czasu. Nie, siła to za mocne słowo, zważywszy na stan mojego ciała. Pióro z trudem kreśli te słowa.

Właściwie nie wiem, dlaczego do Ciebie piszę. A może wiem. Te słowa są ostatnią rzeczą, jaką mogę Ci podarować, albo ostatnią rzeczą, jaką mogę podarować sobie. Wiem, że to są resztki, resztki niedokończonych zdań i myśli, ale są one mi drogie.

Nie zdołam już napisać spójnej historii. Nie jest łatwo powiedzieć wszystko w sposób łagodzący prawdę. Kiedy poinformowałam rodziców, chciałam im wytłumaczyć, że pogodziłam się z tym. Dodałam nawet radosną nutę, że niedługo do mnie dołączą. Nie potrafili się uśmiechnąć. Powinnam wiedzieć, że nie każdy ból da się złagodzić. Więc lepiej powiem od razu: jestem śmiertelnie chora.

„Nie wyzdrowiejesz, ale masz jeszcze trochę czasu”. Kiedy lekarz wypowiedział te słowa cztery miesiące temu, mój świat się zawalił. Wiedziałam, że choroba powróci. Może dlatego, że przyzwyczaiłam się żyć na ruinach własnego życia. Z miłości nie da się wyzdrowieć. Dlatego rak rozchodzący się po moim ciele, rosnący wraz z grubością tego listu, nie wydaje mi się wcale czymś obcym we mnie.

Lekarze nie wiedzą, ile życia mi pozostało. Może kilka tygodni, może kilka dni. Ta niewiedza jest dobra i zarazem nie do zniesienia. Za chwilę znowu włączę pompę morfinową. Zaraz potem będę zbyt oszołomiona, żeby pisać. Piszę w bólu. Kiedy mnie najbardziej boli, mam najwięcej siły do pisania. Morfina wysusza tusz moich myśli. Chwytam się tego pisania, kiedy piszę zdanie, odsuwam dawkę morfiny o kilka sekund. I jeszcze jedno zdanie. Nie chcę się za szybko poddawać środkom usmierającym. Chociaż dobrze wiem, że w końcu to zrobię.

Twój obraz nigdy mnie nie opuścił i zawsze się zastanawiałam, co się z Tobą dzieje przez te wszystkie lata i jak je przeżywasz. Czy długo za mną tęskniłeś? Czy po prostu zapomniałeś o mnie, jakbyś mnie nigdy nie spotkał? Czyż nie powiedziałeś, że powietrze w Amherst zawsze będzie pachniało inaczej, odkąd chodziłam po jego ulicach?

Czy zastanawiałaś się, co się stało z dzieckiem? Czy uspokoiłaś swoje sumienie myślą, że nie pozbędę się dziecka? Ostatnie słowa, które do Ciebie powiedziałam, brzmiały: „Wszystko albo nic, Raymondzie Vernonie, wszystko albo nic”. Czy mi wtedy uwierzyłaś? Sądzę, że nie, bo inaczej byś się pojawił, tak myślę. Czy już wtedy czułaś, że nie zdołam usunąć dziecka?

Budzę się i widzę Jezusa. Naprawdę. Żyję jeszcze i nie oszalałam. Moja świadomość budzi się z morfinowego snu. Leżę w szpitalu, w pokoju dwuosobowym, ale sama. Na stoliku pod drzwiami moja mama postawiła kwiaty, a tata ikonę. Sama ją namalowałam. Zaczęłam malować jeszcze w mrocznych latach. Człowiek musi coś robić, żeby usprawiedliwić wdychanie tlenu. Najpierw nauczyłam się techniki akrylu, lecz nie stała się moją pasją: za dużo kolorów, za mało precyzji. Przeszłam na ikony.

W opactwie w Holandii spędziłam tydzień, żeby opanować technikę ikonopisania, czyli malowania ikon. Było nas dziesięcioro. Każde chciało o czymś zapomnieć, zajmując się malowaniem. Nasz nauczyciel, Jurij, pochodził ze wschodniej Ukrainy. Zadanie polegało na odtworzeniu Chrystusa Pantokratora.

„Nigdy nie da się przewidzieć rezultatu – powiedział Jurij. – Dla malarza to jest także niespodzianka i odkrycie. Odkrycie siebie. Twarz, która ukazuje się po ukończeniu ikony, przedstawia nie Jezusa, lecz przede wszystkim Ciebie samego. Na pierwszej ikonie umieszczasz swoją duszę. Ona stanie się podstawą wszystkich następnych prac”.

Mimo że przez tydzień, krok po kroku, odtwarzaliśmy ten sam oryginał, różnice były ogromne. Na koniec tygodnia Jurij ustawił wszystkie dziesięć prac obok siebie. Robiliśmy zdjęcia i porównywaliśmy Jezusa, niby tego samego, a jednak wciąż innego. Niektórzy namalowali go niczym półboga, inni jako przygnębionego żebraka, z przypadkową aureolą wokół głowy. Najwięcej różnic kryło się w oczach i dłoniach. Od razu zrozumiałam, dlaczego Jurij powiedział, że pierwsza ikona mówi więcej o malarzu niż o kimś, kogo portretujesz. Przedstawiasz część siebie.

Mój Jezus był wrażliwy, trochę smutny, ale nie załamany. W oczach miał promyk nadziei, takie światło, które widziałam zawsze w Twoich oczach. Jurij powiedział, że mój Jezus ma złamane serce, widzi to po jego oczach, nadal nosi w sobie cierpienie, ale również miłość. Myślisz może, że Jurij mówił coś podobnego do każdego z nas, ale gdybyś zobaczył ikony naszego najstarszego i najmłodszego

uczestnika, Els i Kaat, to zrozumiałbyś, że nie na wszystkich ikonach Jezus jest taki wrażliwy. Els nie namalowała Jezusa, lecz albańskiego mafioso, z ciemnymi brwiami i dużą ilością żelu na włosach, grożącego palcem.

„Ach, uciekasz przed czymś albo ktoś ucieka przed tobą. Twój Jezus mi grozi”.

Jurija aż zemdlilo na jego widok. Za to Kaat namalowała Jezusa, który głęboko zaglądał do kieliszka. Nie za bardzo było wiadomo, na co patrzy, a co dopiero mówić o skupieniu w oczach, palec zaś wyglądał tak, jakby przywoływał kelnera, który ma przynieść następną kolejkę.

„Twój Jezus jest wyraźnie hedonistą”.

Zanim Jurij skończył zdanie, Kaat zaśmiała się głośno i powiedziała:

„Moja matka zawsze mówiła, że człowiek powinien próbować naśladować Chrystusa. Więc wypijmy za niego”.

To są dawne wspomnienia. Tymczasem namalowałam setkę ikon i udoskonaliłam swoją technikę. Aureola na pierwszej ikonie nie jest pozłacana, tego nauczyłam się później. Kiedy patrzę na nią teraz, widzę, co należałoby poprawić. Jednak zachowałam tę pierwszą ikonę, ponieważ w oczach Jezusa udało mi się uchwycić promień światła Twoich oczu.

Kiedy nie pojawiłeś się w Evergreens, pojechałam od razu do Nowego Jorku. Podczas jazdy autobusem, trwającej dłużej niż lot do Belgii, wyglądałam ciągle przez okno w nadziei, że zobaczę Twój samochód, że mercedes zatrzyma autobus. Miałam nadzieję, że mnie uratujesz, że powiesz, iż to było nieporozumienie, że ze stresu pomyliłeś godzinę, że wybierasz mnie i odjedziemy razem. Wiedziałam, że to niemożliwe, gdybyś mnie szukał, to pewnie gdzieś w Amherst, gdzie Julia i Bernard zaczęli się już pewnie o mnie niepokoić. A mimo to ciągle wyglądałam i szukałam między samochodami Twojego mercedesa.

Może popełniłam błąd, wyjeżdżając natychmiast, może powinnam zostać, pójść na pożegnalną imprezę, a następnego dnia wysłuchać Twojego wytłumaczenia, poznać powód tego, że nie przyszedłeś. Wiedziałam jednak, że nie potrafię, nie potrafię usłyszeć, że mnie nie chcesz. Tak jest na pewno lepiej, chyba.

Moja historia jest jedną z wielu prawdopodobnych. Wątpliwości! Nauczyłam

się żyć z niewiedzą, ale nie z wątpliwościami. Pogodziłam się, że nie wiem, jak wyglądałoby nasze życie razem, gdyby niektóre wydarzenia potoczyły się inaczej. Ale czy naprawdę coś nas łączyło, czy istniało coś takiego jak my? Czy było to tylko złudzenie? Te wątpliwości co do Ciebie okazały się gorzką pigułką, trudną do zniesienia. Jednak może właśnie to jest dowód, że łączyło nas prawdziwe uczucie. Fałsz nigdy nie rani tak jak prawda.

Czasami myślę, że bardzo źle postąpiłam, że byłeś złym człowiekiem, że wykorzystałeś moje niedoświadczone serce i moje współwinne, ale niewinne ciało. Nie chodziło Ci o mnie, przeżywałeś kryzys wieku średniego, a ja przypadkowo zaplątałam się w sieć kłamliwej miłości. Długo próbowałam w to uwierzyć, ale mi się nie udało. Ciągle widziałam przed sobą Ciebie, czyste spojrzenie Twoich oczu. Czy miłość można udawać? Czy mogła to być tylko ucieczka od Twojego zwykłego życia? Być może, lecz nie byłeś znowu tak dobrym aktorem. Nie byłeś człowiekiem, który chciał udawać życie. Nie próbowałeś nawet ukrywać zdenerwowania przed wykładem.

Tak próbuję się uspokajać, na chwilę, bo potem wątpliwości znowu się pojawiają i zastanawiam się, czy może nie kochałeś mnie, ale ucieczkę. Uczucie uwolnienia się od zwykłego życia, od żony i dziecka. Może ta miłość była szczerą, ale nieskierowaną do mnie. Może nie chodziło Ci o mnie, ale o wszystko, co wiązało się z byciem ze mną.

Nie pamiętam już, jak dotarłam na lotnisko. Część nocy spędziłam, śpiąc na walizce, część na ławce, a resztę – spacerując bez celu. Z rozpaczy zapomniałam o jedzeniu i picciu. Nie czułam zimna, głodu, pragnienia. Poczulałam się gorzej, kiedy wsiadłam do samolotu.

Zdrzemnęłam się, dwie godziny przed lądowaniem wyrwał mnie ze snu ból. Na początku nie wiedziałam, skąd się bierze, wydawało mi się, że boli mnie wszystko. Nieco później pojęłam, że źródłem bólu jest brzuch. Poszłam do toalety i zobaczyłam krew. Niewiele, ale za dużo. Poszukałam w plecaku dwóch testów ciężowych, jeden pokazałam Tobie, drugi kupiłam w dzień przed naszym umówionym, ostatnim spotkaniem. Drugi test był dla pewności. Dwie kreski na obu testach.

Skąd wziął się ten ból i krew, kiedy moje ciało szybowało nad chmurami, przez ocean, z szybkością kilkuset kilometrów na godzinę? Czy to możliwe, że utraciłam jeszcze więcej, w chwili kiedy myślałam, że straciłam już wszystko? Pocieszałam się myślą, że to niemożliwe, że nie można stracić więcej niż wszystko.

To tylko trochę krwi. Krwi miesięcznej, słyszałam o tym. Krwawienie wywołane zagnieżdżaniem się dziecka w macicy.

Rodzice czekali na mnie w Zaventem. Zamiast powitać mnie łzami radości, wyraźnie zaniepokoiли się. Byłam blada, wyczerpana i odwodniona, trzęsłam się. Od razu wiedzieli, że coś się stało. Jeszcze tego samego dnia mama wezwała lekarza. Poprosiłam o dyskrecję, nie chciałam, żeby rodzice dowiedzieli się o Tobie lub dziecku. Jednak matka domyśliła się od razu, miałam to wypisane na twarzy, kodem, który potrafią odczytać tylko matki: byłam w ciąży i straciłam dziecko.

The road not taken. Nie to, co jest, ale co by mogło być, doskwiera człowiekowi najbardziej. Gdyby? Gdybym nigdy nie spotkała Bernarda? Gdybym nie obiecała mu, że przyjdę na Twój wykład? Zapłaciliśmy wysoką cenę za bycie razem. Zaciągnęliśmy długi, których nie możemy spłacić.

Nie ma uroku w doskonałości, powiedział ktoś kiedyś. Nie ma kuszenia. Nie ma iskrzenia. Bernard był doskonały, to była jego jedyna wada. Był przyjacielski, przystojny, inteligentny, z poczuciem humoru. Prawie w moim wieku. Teoretycznie naprawdę mogło coś być między nami, chyba. Dopóki nie zobaczyłam Ciebie. Lub Ty mnie. I nic się nie zgadzało. Jeśli Bóg wezwie mnie kiedyś na przesłuchanie, zaświeci lampą w twarz i zażąda wyjaśnień, to na pewno pojawi się sprawa Bernarda. Na szczęście nie wierzę już w Boga, mam pełne ręce roboty ze swoim własnym sumieniem.

Wysoka cena za miłość... Za wolność także. Nie można kupić uciech za wolność. Gonimy za nią jak pies za piłką, która wpadła do błota, stawu albo w głęboką otchłań bez dna. Gonimy za wolnością prosto w objęcia własnego nieszczęścia. Do tej pory upadam po skoku w poszukiwaniu wolności, którą znalazłam w Twoich ramionach.

W pierwszym tygodniu nie wstawałam z łóżka, w pierwszym miesiącu nie wychodziłam z domu, w pierwszym roku nie robiłam nic, tylko odcinałam się od świata zewnętrznego. Zamiast po zakończeniu lata zająć się badaniami poezji Emily Dickinson, sama stałam się częściowo taka jak ona: bojaźliwa wobec ludzi i nieobecna. Zakładnik porywający samego siebie, porywacz, który uwięził sam siebie. Sama narzuciłam sobie areszt domowy. Nigdy nie czytałam już jej wierszy. Nie rozpoczęłam doktoratu.

Nie powinnam grozić usunięciem dziecka. Wiele lat zajęło mi wybaczenie sobie samej. Sama ściągnęłam na siebie nieszczęście. Wiele lat zajęło mi pozbycie

się tego przekonania.

Chciałam tylko spać i nigdy więcej nie wstawać. Jednak co rano zaczynał się nowy dzień, ciągle od nowa. W końcu wstałam i postanowiłam żyć. Chociażby dla moich rodziców. Do dzisiaj nie wiem, czy to była dobra decyzja. Czy byłoby lepiej, gdyby moje życie się wtedy skończyło? Czasami samo życie jest czynem odważnym, chociaż może Seneka nie miał racji. Czy śmierć nie jest niekiedy czynem o wiele bardziej szlachetnym? Może miałam rację, kiedy powiedziałam, że nie można żyć w połowie? Myślę, że dokładnie tak zrobiłam: uciekałam przed przeszłością, której nie chciałam porzucić, i nigdy nie odnalazłam się całkowicie w terażniejszości.

Co roku zastanawiałam się, jak wyglądasz. Czy przybyło Ci zmarszczek i smutku w oczach, tak jak mnie. Czy masz dużo starczych plam na rękach, czy skóra stała się szorstka, czy raczej bardzo cienka. Czy posiwiałeś, a może masz łysinę, chociaż wtedy nic tego nie zapowiadało.

Czybyśmy się rozpoznali, gdybyśmy spotkali się przez przypadek? Czy iskra przeszłaby Twoje ciało, a promień oświetlił duszę? Kilka lat temu siedziałam w autobusie w Leuven, w drodze na dworzec. Dojeżdżaliśmy i stanęłam przy oknie. Nagle poczułam, że ciało przesywa mi prąd, nie z miłości, ale ze strachu. Wydawało mi się, że zobaczyłam Ciebie. Nieczęsto spotykałam mężczyzn o podobnym wyglądzie, ale jeśli tak się zdarzyło, nawet najmniejszy szczegół wywołujący to uczucie – sposób poprawiania okularów na nosie, Twój sposób chodzenia – rozświecił mnie od wewnątrz przez wiele dni.

Próbowałam pokochać innych mężczyzn. Spotykałam się z paroma, ale nie potrafiłam. Już nie. Moje serce było puste i wciąż pełne Ciebie. Długo cierpiałam z powodu braku miłości. Przez wiele lat nie czułam się w pełni człowiekiem.

Co czyni nas ludźmi? Co różni nas od innych stworzeń w przyrodzie? Nasza świadomość? To jest przecież tylko złudzenie naszego umysłu. Może rozum? Spotykam więcej rozsądku w zachowaniu wiewiórek niż w zachowaniu ludzi. Potrafią przemyślnie ukrywać żołądki na czas zimowego snu, a kiedy tylko wiosenne słońce je wybudzi, odnajdują je bez trudu. Kryje się za tym precyzja tak sprytna jak w szwajcarskim zegarku. Nie, to nie rozum, ale umiejętność kochania czyni nas ludźmi. Człowiek kieruje się przede wszystkim emocjami. Dotyczy to zwłaszcza ludzi pełnych nienawiści. Nienawiść to wypaczona miłość. Wszystko sprowadza się do miłości. Wciąż od nowa. Zwierzę jest zdolne do uczucia i czegoś, co przypomina instynktowny altruizm. Lecz nie do miłości. Człowiek jest pewnym rodzajem miłości.

Jakże inaczej przewidywałaś moje losy, pamiętasz? Miałam stać na szczycie świata, mieć dzieci i wielu kochanków. A Ty miałeś dożywać swoich dni w domu opieki. Niedoleżniejesz? Chyba nie. A mój szczyt jest płaski, przypomina raczej dolinę, z której nie potrafię się wydostać.

Wydaje mi się, że jeszcze żyjesz, chociaż nie jestem pewna. Czulabym, gdybyś miał umrzeć, tak zawsze myślę. Pozostaję przy myśleniu, bo dawno minął czas, kiedy ufałam swoim uczuciom. Nadal myślę, że świat stałby się nagle bardziej pusty, gdybyś odszedł, a ja bym musiała to odczuć. Czułam, że jesteś moją drugą skórą. Ilekroć leżałaś z głową na moim brzuchu, próbowałam wyryć Twoje ciało w mojej duszy. Twoją twarz potrafię wydobyć z pamięci do dzisiaj, jak zdjęcie z albumu. Widzę Twoje plecy, brzuch, klatkę piersiową i kark. Widzę brodę z malutkim dołeczkiem, miękkie policzki, nos, oczy. Lubiłam, kiedy zdejmowałeś okulary, gdy się kochaliśmy. Twoje oczy nie potrzebowały szkieł, żeby mnie wyraźnie widzieć.

Wiadomość sprzed dwóch lat stała się dzisiaj znowu sensacją, ponieważ na YouTubie obejrzało ją dwanaście milionów osób. Istny fenomen naszych czasów. Dwoje kochanków, artystów, zobaczyło się w MoMa po dwudziestu dwóch latach. To był happening, czyli coś, co pozwala ukryć współczesnym artystom brak talentu. Artystka, o którą mi chodzi, nie pamiętam jej imienia, miała siedzieć przez wiele godzin przy stole w muzeum. Proszono zwiedzających, by patrzyli jej prosto w oczy przez minutę, w milczeniu. Ludzie przychodzili i odchodzili, nie działo się nic. I wtedy pojawił się on. Nie mogli mówić. Łzy płynęły im po policzkach. Wtedy wiedziałam, że chcę do Ciebie napisać. Na świecie powinno być miejsce, gdzie zagubieni kochankowie mogliby się odnaleźć. Jeśli nie ma adresu, telefonu, wystarczy stół i dwa krzesła. Nic więcej nie potrzeba. Myślisz, że wielu ludzi by się zgłosiło?

Poszłabym tam, usiadła przy stole i czekała na Ciebie, nie godzinę, nie półtorej godziny jak dwadzieścia trzy lata temu w Evergreens, lecz cały dzień, a gdybyś nie przyszedł, to wróciłabym następnego dnia. Zastanawiałam się często, czy nie za krótko na Ciebie czekałam. Może miałeś wypadek samochodowy, mało prawdopodobne, choć możliwe. A jeżeli przyjechałeś do Evergreens dwie godziny później, o szóstej, a może nawet o siódmej? Może Cię coś zatrzymało? Czasami o tym myślę, ale zaraz dodaję uwagę, że to są moje życzenia. Że chcę Cię usprawiedliwić, wierzyć w Twoją miłość, bo ciągle w nią wierzę. Nie wątpię, że mnie kochałeś, ale nie wiem, czy mnie dosyć kochałeś. Mimo że nie wiem, co to znaczy kochać dosyć.

Kochać dosyć. Ta myśl mnie nie opuszcza. Czy to nie sprzeczność? Czy kochanie nie musi zawierać elementu nieograniczenia? Czy można kochać dotąd i nie więcej? Czy to nie to samo co kochać nie dosyć, czyli po prostu za mało? Czy można to jeszcze nazwać miłością? Zażyłam wiele środków przeciwbólowych i moje myśli są mętne, ale wiem jak nigdy wcześniej, że nie podniosłam się z naszej miłości. Nigdy nie wróciłam do równowagi. Czulałam się człowiekiem bez serca, ponieważ nie potrafiłam kochać innego mężczyzny. Jednak czyja zdolność do miłości jest większa? Tego, komu całe serce wypełnia jedna osoba, czy tego, kto znajduje miejsce dla wielu, nawet jeśli na krótko?

Próbowałam kiedyś opisać naszą historię, żeby się wyleczyć. Ubrać ją w słowa, żeby móc zapominać słowo po słowie. Włożyć nas do szuflady pamięci i nigdy jej nie otwierać. Chciałam zrobić to samo, co Dickinson robiła w swoich wierszach. Złożyć nas w archiwum, najwyżej pośmiertnie ktoś mógłby nas stamtąd wydobyć na światło dzienne. Nie udało się, nie potrafiłam zapomnieć o Tobie, pisząc. Wtedy zaczęłam malować.

Cały czas myślę o Tobie. Może nawet nadal Cię kocham. Ale co to znaczy kochać? Co to jest miłość? Miłość nigdy nie spełnia naszych oczekiwań. A może to my nie spełniamy wymogów miłości? Może jest za ciężka dla słabego ludzkiego serca?

Czy taka nieudana miłość jak nasza może być szczerą? „Choć zginą kochankowie, lecz nie zginie miłość”⁸. Czasami chcę w to uwierzyć, chociaż przeżyłam coś i doświadczyłam czegoś wręcz przeciwnego. Zbyt często fale miłości rozbijają się o falochrony rzeczywistości.

W pierwszych latach rezultatem podsumowania naszego związku było postanowienie, że przestanę Cię kochać. Czulałam się wykorzystana. Moje ciało było Twoim placem zabaw. Powinieneś wiedzieć, że nie igra się z niedoświadczonym sercem. Pierwsze lata były najtrudniejsze, potem powoli robiło się lepiej, kiedy postarałam się rozważyć naszą historię z Twojego punktu widzenia. Spojrzenie z perspektywy drugiego człowieka jest właściwie niemożliwe. Można najwyżej spojrzeć na czyjąś perspektywę swoimi oczami, czyli przyłożyć własną perspektywę do czyjegoś rozumowania i czynów. Przyszedł jednak czas, kiedy w tej historii znowu zrobiłam miejsce dla Twojej miłości. Przyznałam, że Twoje ciało było też moim placem zabaw. Że przyszłam i zażądałam wszystkiego, jakby mi się to należało. Że Ty także podjąłeś spore ryzyko, decydując się być ze mną. Czyż nie postawiłeś wszystkiego na jedną kartę: długiej kariery na bardzo dobrym

uniwersytecie, podziwu studentów, córki? Gdybym później powiedziała, że nie chcę być dłużej z Tobą, to wtedy straciłbyś wszystko. Teraz to widzę.

Mówi się, że czas leczy rany, ale to nieprawda. Przynajmniej nie zawsze. Nie całkiem. Nie zawsze dobrze. Czas wyrył blizny w moim sercu. To jest inny ból, inny smutek. Z czasem człowiek przenosi się od źródła bólu na jego peryferie, do pustki tęsknoty. Tęsknota jest przedmieściem smutku. Tam mieszkam.

Czy pamiętasz, kiedy pierwszy raz zdałeś sobie sprawę z siły i znaczenia Internetu? Wystarczy wpisać kluczowe słowo i wyszukiwarka od razu znajdzie odpowiedzi. Czy pamiętasz, co wpisałeś najpierw? Ja pamiętam: Raymond Vernon. Poszłam do biblioteki miejskiej, bo wtedy posiadanie Internetu w domu było luksusem, a moja karta biblioteczna pozwalała mi przez pół godziny korzystać z sieci. Wstukałam Twoje nazwisko i wcisnęłam klawisz Enter. Zrobiłam to bez zastanowienia, nie byłam pewna, czy chcę dalej patrzeć. Co zrobię, jeśli pokażą się Twoje zdjęcia, a może klepsydra? Czy naprawdę chcę wiedzieć i widzieć? Pokazało się kilka informacji. Nie przeglądałam ich, od razu wyłączyłam komputer. To nie był jeszcze odpowiedni moment.

Nie mogłam potem spać przez wiele tygodni. Te wszystkie możliwości. Czasami człowiek nie chce się zmierzyć z rzeczywistością. Ogarniała mnie gorączka na samą myśl, że po tylu latach mogłabym się czegoś dowiedzieć. Jedyнным sposobem powstrzymania gorączki było zdobycie się na odwagę i jednak wyszukanie informacji o Tobie. Zdecydowałam się na to sześć tygodni później.

Raymond Vernon.

Enter.

I oto byłeś. Na stronie Amherst College. A więc żyłeś, dalej mieszkałeś w dolinie, prowadziłeś wykłady. Byłam jednocześnie zadowolona i smutna. Czy naprawdę Twoje życie wcale się nie zmieniło? Chciałam, żebyś żył, ale czy chciałam, żebyś był szczęśliwy beze mnie? Nie wiem. W pociągu z Brugii do Gandawy słyszałam, jak dziewczyna mówi do chłopaka: „Tak bardzo cię kocham, że chcę, żebyś był szczęśliwy beze mnie”. Nie wiem, czy to ona z nim zrywała, czy on z nią. Nie ma znaczenia, ale to zdanie utkwiło mi w głowie. „Tak bardzo cię kocham, że chcę, żebyś był szczęśliwy beze mnie”. Czy ja też kochałam Cię w ten sposób? Nie. Nie chciałam, żebyś był szczęśliwy beze mnie. Ze mną albo wcale. Myślę, że pocieszyłaby mnie wiadomość, że jesteś nieszczęśliwy. To straszne, jestem tego całkowicie świadoma. Jednak to jest tak, jak sam powiedziałeś: „Nie chcę się

tobą dzielić”. Nie chciałam się Tobą dzielić, kiedy byliśmy razem, nie chcę się też dzielić po rozstaniu.

W Internecie szukałam śladów Twojego smutku, ale nic nie znalazłam. A więc byłeś szczęśliwy z Zuzanną i Elżunią. Wpisałam nawet hasło „Zuzanna Vernon”, lecz poczułam mdłości. Porzuciłam ten zamiar.

Nie wiem, czy próbowałeś mnie odnaleźć, ale nie znalazłeś. Ukryłam się w fałdach przeszłości. Nie chciałam zostać odnaleziona.

Dlaczego nie napisałam do Ciebie wcześniej? Nie potrafiłam, starałam się z całej siły Cię znienawidzić. Teraz, kiedy patrzę na Jezusa na stoliku, wiem, że to nieprawda. Znoszę cierpienie z miłością, a miłość z cierpieniem. Dlatego nie mogłam.

Niedawno ponownie przeczytałam naszą historię. Nie wiem, czy się zgadza z rzeczywistością. Wiem tak mało. To, jak ją zapisałam, nie świadczy jeszcze o tym, że tak naprawdę było. Może kiedy Ty ją przeczytasz, ktoś coś z niej ostatecznie zrozumie. Kto kiedyś kochał chociaż raz, naprawdę kochał, nie zadowoli się cieniem tego uczucia. Kto chociaż raz, nawet na krótko, wstąpił w świat idei i zobaczył idealną rzeczywistość, nie może już uwierzyć w cienie. Życie staje się uwięzieniem w jaskini Platona.

Nie napisałam nic przez trzy dni. Nie leżę już w szpitalu. Jestem w domu, to znaczy u moich rodziców. Przeczytałam ostatni akapit. Jestem szczęśliwa. Cieszę się, że mogłam poznać coś więcej niż tylko cienie. Chociaż trwało to tylko jeden semestr, wiele lat temu. To i tak więcej, niż większość ludzi poznaje w ciągu całego życia. Kocham Cię, mimo że nie wiem dokładnie, co to oznacza. Czym ostatecznie jest miłość?

To jeden z takich dni, kiedy już teraz czuję, że dobrze się skończy.

Sei mir geküßt.

Anna Gudens

Zmieniająca się przeszłość

Sei mir geküßt. Nagle ten widok pojawia się wyraźnie przed oczyma Elżbiety. To były ostatnie słowa, jakie ojciec z trudem wypowiedział przed śmiercią. Żegnał się z ukochaną czy to było pozdrowienie? Znowu nie może uciec od myśli o tym, w co nie wierzy. Czy umierający może widzieć zmarłych? Czy ona już wtedy umarła? Przecież tego nie wiadomo. Może w tym momencie umierała, ale jeszcze żyła. Umieram, więc jestem, przelatuje jej przez głowę. Własne myśli zaczynają ją irytować. Anna była jego ostatnią myślą. Anna. Jej imię dźwięczy w głowie Elżbiety. Jak to możliwe, że do tej pory nie wiedziała o jej istnieniu? W nieokreślony sposób imię i życie Anny brzmią zarazem obco i znajomo w jej uszach. Jak gdyby zawsze w nich była.

Czytała prawie całą noc, aż do czwartej rano. Czowała zamęt po przeczytaniu tego ręcznie napisanego listu. O co właściwie chodziło? Przewróciła pierwszą kartkę zszytych stron i zaczęła czytać. „Zaczęło się od kaca...”. Ma wrażenie, że trochę rozjaśniło jej się w głowie, ale jeszcze nie wszystko może zrozumieć.

Przez ten cały czas Elżbieta stoi, w ciszy, w kuchni. Jedyne ruchy, jakie wykonuje, to mruganie oczami i przewracanie kartek. Brudny nóż, którym otworzyła kopertę, leży jeszcze w zasięgu ręki. Odwraca się do apteczki i szuka środków uspokajających. Palce zdrętwiały jej z zimna. Zielona buteleczka stoi na dolnej półce, ale jest pusta. Dopiero teraz zdaje sobie sprawę, że przez ostatnie tygodnie jej spokój za często zależał od dziesięciu miligramów melatoniny. Nastawia wodę w czajniku, żeby zaparzyć herbatkę z melisy, lecz nie wypuszcza z rąk zszytych kartek.

Patrzy na czajnik i chce jej się płakać i śmiać jednocześnie. Czy to wyczerpanie uniemożliwia jej podjęcie decyzji, co właściwie powinna odczuwać w tej chwili? Niektórzy pacjenci mówią niekiedy, że nie wiedzą dokładnie, co czują w danym momencie, że pojawiają się u nich dwa przeciwstawne uczucia i nie potrafią wybrać żadnej możliwości. Wydaje się, że są bezduszni, tymczasem targają nimi ogromne emocje. To jest histeria ukryta za apatią, powiedział jeden z nich. Zastygnąć w bezruchu, bo w środku można pęknąć. Elżbieta podtrzymuje teraz apatię i ma nadzieję, że melisa zapobiegnie pęknięciu.

Czy powinna poszukać kontaktu z Anną? Czy ona wciąż żyje? Po raz kolejny ogląda dokładnie brązową kopertę, jednak nie ma na niej adresu nadawcy. Może Eryk coś wie. Może powinna do niego zadzwonić. Bierze telefon do ręki, ale uprzytamnia sobie, że jest jeszcze bardzo wczesnie. Czy jej matka wiedziała coś o tym romansie? Prawdopodobnie nie. Nigdy nie powinna się dowiedzieć o tym liście i tej historii. Postanawia trzymać matkę od tego z daleka. Matka nigdy nie pogodziła się z tym, że była na drugim miejscu, myślała jednak, że na pierwszym

była kariera ojca; na pewno nie pogodziłaby się z całą prawdą.

Jest zbyt zmęczona, żeby prześledzić po kolei wszystkie kroki. Po głowie tłuką jej się różne myśli i możliwe scenariusze, jak chaotyczne ruchy cząstek pyłku kwiatowego w zawieszynie wodnej. Zbliżają się do siebie, uderzają, odskakują i znikają. Poruszają się bez żadnego wzoru, nie dążą do określonego celu. Może powinna zadzwonić do matki? Ma prawo się dowiedzieć. Może zrozumie lub znajdzie w niej jakąś pociechę? Ale wtedy słyszy w głowie odpowiedź matki: „Nie chcę nic od Raya. Teraz już nie”. To ją przekonuje, że lepiej pozwolić matce żyć w nieświadomości. Rzeczywiście, często można znieść tylko niewypowiedzianą prawdę. Wszyscy chcemy znać prawdę, ale z trudem znosimy łagodniejsze kłamstwo.

Przygniata ją wybór, którego musi dokonać ze względu na matkę. Krąkłymi ruchami masuje sobie klatkę piersiową. Ostrożnie wypija kilka gorących łyków herbaty i myśli o Annie. Czy powinna ją odnaleźć, jeśli ona jeszcze żyje, czy pozwolić jej spokojnie umrzeć? I wtedy dostrzega małą kopertę.

– Jeszcze numer trzy.

Wyciąga powoli zawartość, podejrzewa, że są tam odpowiedzi na niektóre pytania. To nekrolog, zawiadomienie o śmierci. Jest napisany w języku niderlandzkim, ale nie trzeba znać języków, żeby zrozumieć istotę śmierci.

Anna Gudens, zmarła 28 sierpnia 2014 roku w Huldenbergu.

28 sierpnia. Czy może istnieć aż tak ogromny zbieg okoliczności?

Chce zadzwonić do Eryka, ale postanawia poczekać do dziewiątej. Tymczasem dzwoni do Sary, ponieważ wie, że niemowlę nie śpi już o szóstej. Nie wita się, tylko mówi:

– Nie mogę dzisiaj przyjść do pracy.

– Co się stało, Elżbieto? Masz taki smutny głos. Wszystko w porządku? Jesteś chora czy to cios po śmierci ojca?

Cios – tak Sara określa spóźniony smutek, rozpacz, która może zaatakować po jakimś czasie. Ostrzegła Elżbietę przed nim. Wcześniej czy później dopadnie ją i uderzy prosto w twarz w nieoczekiwanym momencie, jeśli Elżbieta nie da sobie dosyć czasu na żalobę, jeśli będzie uparcie zaprzeczała znaczeniu śmierci rodzica, nawet jeśli uważa, że ojciec nie bardzo ją obchodził.

– Może. – Elżbieta wzdycha w wymowny sposób, tak jak jej matka, ale ucho Sary nie jest przyzwyczajone do rozróżniania znaczenia westchnień.

– Najlepiej idź do lekarza. I nie martw się o pracę, panuję nad wszystkim. Odpocznij przez kilka dni. To nie jest rada, ale rozkaz, Elżbieto.

– Dziękuję. Nie spałam całą noc, czytałam, muszę... – Głos Elżbiety się załamuje.

– Wypłacz się. To przynosi ulgę. Po pracy idę odebrać Noego ze żłobka,

a potem wpadnę do ciebie. Zobaczysz, czy będziesz miała ochotę mi otworzyć, znam cię.

Z telefonem w ręce Elżbieta myśli cały ranek o Eryku, jednak nie dzwoni do niego. O co go zapytać, nie mówiąc za wiele. Po raz kolejny ma świadomość ciężaru wiedzy. Często lepiej zdecydować się na niewiedzę niż niepewność. Co ma z tym zrobić? Chciałaby się dowiedzieć, co wie Eryk, ale pytając go o Annę, mogłaby powiedzieć za dużo. Mógłby się domyślić, że chce się czegoś dowiedzieć.

Zanim zdecydowała, co powinna robić i czy telefon do Eryka jest dobrym pomysłem, sam zadzwonił do niej wczesnym popołudniem.

– Halo, Elżuniu, dzwonię, żeby zapytać, czy dotarłaś wczoraj bezpiecznie do domu. Spędziliśmy z Bernardem bardzo miły wieczór, chciałem ci jeszcze raz podziękować za przyjście.

– Tak, wróciłam bezpiecznie do domu.

– Jak się czujesz? Masz taki słaby głos.

– Nie, nie jestem chora. Nie martw się.

– Spędziłem bardzo miły wieczór, ale rano pomyślałem... Nie było ci przykro, że cały czas rozmawialiśmy o twoim ojcu i że go chwilami naśladowałem? Może to nie było taktowne z mojej strony, ale miałem najlepsze intencje, bardzo go podziwiałem.

– Nie, to nie było nieprzyjemne. Swoją drogą masz talent do tego.

– Do czego?

– Do naśladowania.

– Przez dwadzieścia pięć lat znajomości miałem czas, żeby to opanować. Znaliśmy się na wylot.

– Naprawdę, Eryku? Jak dobrze się znaliście?

*

Elżbieta bierze do ręki notatnik ojca z cytatami, w nadziei, że poukłada kawałki z przeszłości. Po rozmowie z Erykiem wie, że ojciec znosił swój ból w samotności. Ten kawałek układanki poznała. Jednak nadal nie było jasne, dlaczego nie pojechał wtedy do Evergreens. Co go powstrzymało? Dlaczego nie wybrał nowego życia z Anną, by potem zerwać ze swoim dotychczasowym życiem? Przegląda notatnik z cytatami.

Już od sześciu miesięcy mieszkam sam. Elżunia odwiedza mnie tylko w weekendy. Przed zaśnięciem czytam jej Alicję w krainie czarów. Alicja pyta Białego Królika: „Jak długo trwa wieczność?”. „Czasami tylko sekundę” – odparł Królik. Chciało mi się płakać, ale poczekałem, aż zaśnie. Moje dziecko widziało już za dużo łez.

Przewraca kilka kartek, wraca do wcześniejszych wpisów.

„Nasze dusze są jednakowe, niezależnie od tego, co w nich tkwi”⁹ – Emily

Brontë. Nie wiem, czy mam jeszcze duszę, ale wiem, że moja nie stanowi już całości.

Kartkuje dalej, wraca do jeszcze wcześniejszych wpisów.

Nigdy nie chciałem uwierzyć, że ktoś taki jak ona chodzi po tym świecie, że swoim słodkim oddechem pozbawi mnie mojego oddechu.

To była jego własna myśl, bo nie było przy niej autora. Teraz, kiedy wie, że nie są puste, te słowa podobają się Elżbiecie.

Znajduje granicę, gdzie szczęście się skończyło, ale nie wie dlaczego. Przestał notować cytaty codziennie. Dopiero po rozwodzie rozpoczął na nowo. „*Bo skrucha i żal są echem utraconej cnoty*”¹⁰ – *sir Edward Bulwer-Lytton*.

Dlaczego do niej nie pojechał? Czy ze strachu przed rozwodem? Nie. Nigdy nie miał wypadku samochodowego. Prawie nie chorował, a nigdy tak, żeby jego praca na tym ucierpiała. Zawsze dotrzymywał słowa, na pewno wobec studentów. Ojciec nigdy się nie spóźniał, pomijając sytuacje, kiedy to ona była powodem opóźnienia. Jednak w tym wypadku by jej nie zabrał. Co go powstrzymało? To musiało być w czerwcu 1991 roku. Czerwiec był zawsze spokojnym miesiącem: egzaminy były już sprawdzone, oceny wystawione, dyplomy rozdane. Ray mógł w każdej chwili bez kłopotu wyjść z domu. Mieli opiekunkę, Vivianne, mieszkała na sąsiedniej ulicy. Nikt go nigdy nie powstrzymywał, z wyjątkiem tego jednego razu... „Minka, Minka, Minkuniu!” – krzyk Viv wciąż brzmi jej w uszach.

*

Minęło dziesięć dni. Dziesięć dni, kiedy targały nią sprzeczne emocje. Przeszłość nie jest tym, czym była. Wspomnienia Elżbiety powoli się zmieniają i obraz ojca przesiąka miłością. Czy nie potrafił żyć z cieniem miłości i dlatego rozwiódł się z matką? Czy powinna mieć mu to za złe? Anna miała rację, zapłacili wysoką cenę za swoją miłość. Ale nie tylko oni. Może za wiele oczekujemy od miłości albo od siebie?

Elżbieta wchodzi do antykwariatu Billa Frenzla, który rozmawia z jakimś klientem. Pewnie próbuje go na coś namówić, ale tamten kiwa głową bez przekonania. Antykwariusz peroruje dalej. Bez powitania i wbrew swoim zwyczajom Elżbieta im przerywa.

– Czy sprzedał pan pianino?

– Eeee, dzień dobry, Elżbieto. Tak chyba pani na imię?

– Tak.

– Nie, nie. Pianino jeszcze stoi, proszę zobaczyć, tam.

Elżbieta rozgląda się po antykwariacie, lecz w salonie jest tyle przedmiotów, że w pierwszym momencie nie dostrzega instrumentu. Pianino stoi w odległym kącie, na wpół ukryte za dwiema wielkimi chińskimi wazami.

– W zeszłym tygodniu zamówiłem nowe klawisze, może wtedy szybciej je sprzedam.

– Nie, nie. Odkupię je od pana, z połamanymi klawiszami.

– Proszę bardzo, ale co mam zrobić z moim zamówieniem? Nie wiem, czy mogę je anulować. Pani ojciec nie grał na standardowym pianinie, to nie jest yamaha. To jest nietypowa praca, ktoś musiał przyjść i zmierzyć klawisze. Sporo mnie to kosztowało.

– Rozumiem. Zwrócę panu koszty. Może jednak nie od razu wzięli się do ich wykonania. Czy może pan spróbować anulować zamówienie, może się uda? Tak jak mówiłam, zwrócę panu za mierzenie klawiszy.

– Tak, ale pianino stało tu przez jakiś czas, zajmowało miejsce, miałem mniej powierzchni wystawowej. Nie mogę pani sprzedać pianina za kwotę zakupu. Mam nadzieję, że pani to rozumie.

– Rozumiem.

– I jeszcze transport. Koszty przewozu pianina z domu pani ojca tutaj. Musiałem specjalnie wynająć ludzi.

Po pewnym czasie dochodzą do porozumienia. Antykwariusz nie potrafi ukryć zadowolenia, chociaż próbuje udawać, że zrobił Elżbiecie przysługę. Ma na twarzy uśmiech i lekko potrząsa głową. Dla Elżbiety nie ma to znaczenia. Pianino nie zostało jeszcze sprzedane i teraz należy do niej – tylko to się liczyło. Powinna słuchać ojca i wiedzieć, że lepiej nie robić interesów z tym typem.

Bill Frenzel od razu wystawia fakturę i prosi o pokaźną zaliczkę. Elżbieta wypisuje czek, oczy antykwariusza aż błyszczą.

– Jednak zmieniła pani zdanie.

– Tak, chcę znowu zacząć grać.

– Ach, miłość do muzyki. To bardzo ważne.

– Nie wiem. Co to jest miłość? – pyta Elżbieta z przygnębieniem w głosie. Kieruje to pytanie bardziej do siebie niż do antykwariusza, lecz on tego nie dostrzega i myśli nad odpowiedzią.

– Takie poważne pytanie w poniedziałek rano. Nie umiem szybko znaleźć odpowiedzi. Zawsze uważałem swoich rodziców za wzór miłości. Ponad sześćdziesiąt lat małżeństwa. Tak długo razem, tego się często nie spotyka.

– Może wzorem miłości jest nie tylko wspólne życie, ale wspólna śmierć.

*

Siada na chwiejnym, drewnianym stołku, którego wysokość z trudem daje się regulować. W świecznikach na pianinie, stojącym teraz w jej salonie – z jego powodu musiała przenieść telewizor – palą się nowe świece. Elżbieta kładzie ręce na klawiszach. Zanim zacznie grać, patrzy na obraz stojący na bechsteinie: musi go powiesić jutro na ścianie. Scena wiejska z psem myśliwskim.

¹ Dante Alighieri, *Czyśćciec*, Pieśń III, w. 78, tłum. Julian Korsak, <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/boska-komedia-czysciec.html> (dostęp: 14.05.2017). (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² University of Massachusetts.

³ *Five college area* – część Doliny Pionierów obejmująca miejscowości: Amherst, Northampton, Hadley, South Hadley, na której terenie znajduje się pięć uczelni.

⁴ Antoine de Saint-Exupéry, *Mały Książe*, tłum. Jan Szwykowski.

⁵ *Choć oddalenie, które, niczym szańce, / Ma wbrew nam dzielić cię i mnie; / W zawiści jest nam dola nazbyt przykra, / Pozdrawiam cię, całuję cię, całuję cię!* – fragment pieśni F. Schuberta *Sei mir gegrüßt* (Bądź mi pozdrowiona), sł. F. Rückert, tłum. Piotr Kulawik, cyt. za: <http://www.chopin.darmowefora.pl/index.php?topic=163.675> (dostęp 16.05.2017).

⁶ Łuk moralności wszechświata jest długi, ale ciąży ku sprawiedliwości.

⁷ Evergreens to nazwa domu w Amherst, w którym obecnie mieści się muzeum Emily Dickinson.

⁸ Dylan Thomas, *A śmierć utraci swą władzę* [w:] *Wiersze wybrane*, tłum. Stanisław Barańczak, Kraków 1974, s. 75.

⁹ Emily Brontë, *Wichrowe Wzgórza*, tłum. Janina Sujkowska, Warszawa 2015, s. 80.

¹⁰ Edward Bulwer-Lytton, *Zanoni*, tłum. F. Kawecki, t. 2, Wilno 1849, s. 485.

